

Atak na „Bolesława Krzywoustego” był pomyłką.

Nikt im nie powiedział, że tam jest wojna na morzu

KRZYSZTOF RÓŻYCKI

M/S „Bolesław Krzywousty”: nośność 5547 DWT, moc silnika 8000 koni mechanicznych, drobniowice, jeden z pięciu z królewskiej serii statków, które pod polską banderą pływają od przeszło dwudziestu lat.

Rejs na Morze Czerwone.

6.11.1989 wyruszył z Gdyni w swój ostatni rejs. Z kraju statek zabrał konstrukcje metalowe oraz 28 ton amunicji. Pierwszy postój czekał go już w szwedzkim porcie Halmstad, gdzie załadowano drewno i płyty pilśniowe. Do Zatoki Biskajskiej wszystko przebiegało pla-

nowo. Tam nastąpiło typowe dla tego rejonu załamanie pogody. „Bolesław Krzywousty” schronił się w pobliżu portu La Coruna.

Morze Śródziemne przemierzyl w tydzień bez żadnych niespodzianek. Kapitana Andrzeja Sikorskiego nie bez czi zwanego „królem Morza Czerwonego”. W Port Saidzie wszystko przebiegało jak zwykle. O północy wraz z innymi statkami ruszyli do Suez. Stąd już tylko krok do jordańskiej Akaby.

Wylądunek części towarów przebiegł sprawnie i po trzech dniach statek skierował się na

południe — do jemeńskiej Hodeidy. Tu postój trwał jeszcze krócej. Wylądowano amunicję przeznaczoną dla tajemniczego kontrahenta. Wiele wskazuje na to, że zamówienie pochodziło z... Erytrei. Dalej „Bolesław Krzywousty” popłynął na północ, do saudyjskiej Dżeddy.

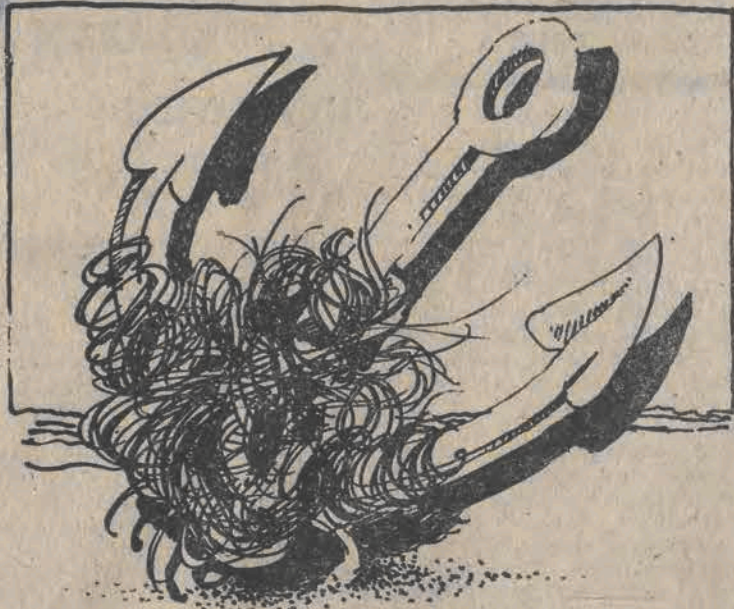
Dziedza to wrota Mekki.

Dziedzę dzieli tylko kilka godzin od Portu Sudanu. To zupełnie inny, choć także islamski świat. Położone po obu stronach rzeki miasto jest sennie i brudne. Urządzenia portowe pamię-

tają jeszcze Anglików, a miejscowi robotnicy uważają, że szybka praca nawet w porze zimowej jest niewskazana. W Portu Sudanie opróżniono resztę ładunku i załadowano 1300 ton bawelny dla Hamburga.

Postój przeciągnął się ponad dwa tygodnie. Na słuchaniu radia i oglądaniu znanych już filmów ze starego projektora przyszło załozce i jednemu pasażerowi (żonie starszego mechanika) spędzić święta i Nowy Rok. W porcie nie można kupić nic atrakcyjnego, więc ochemistrz Zbigniew Wilczyński

6



Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NR 6 (1663)

ROK XXXIII

11 LUTEGO 1990 ROKU

CENA 1000 ZŁ

To był kolejny warszawski dzień

Wieczór pod Pałacem Kultury

ANNA GRONCZEWSKA

W sobotnie popołudnie, 27 I 1990 roku pod Salą Kongresową w Warszawie. Odświetnie powiewały czerwone flagi. Wokół Pałacu Kultury i Nauki (dawnie im. J. Stalina) wśród autokarów, którymi przybyli delegaci na XI Zjazd PZPR leniwie spacerują milicjanci. Wzmoczone patrole można też zauważyć na pobliskich ulicach. Taka cisza przed burzą... Na godzinie 16.00 właśnie tutaj NZS, „Solidarność Walcząca”, KPN, Front Wyzwolenia Społecznego wyznaczyły wiec, na którym mają pożegnać Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Pochodzą do jednego z milicjantów.

— Jesteście przygotowani? — pytam.
— A jak pani myśli? — pada enigmatyczna odpowiedź.

Okolo wpół do czwartej przy ul. E. Plater zaczynają gromadzić się pierwsi ludzie. Są to na razie przede wszystkim dziennikarze, fotoreporterzy i emeryci. Reporterka francuskiej telewizji poprawia makijaż, a operatorzy przygotowują sprzęt. Kiedy się „zacznie trzeba być gotowym”...

Uwagę zwraca grupa starszych ludzi, gorąco o czymś dyskutujących. Niektórzy mają wplecione w klapy płaszczy znaczki „Solidarność”, „Solidarność Walcząca” i KPN. Tak naprawdę to chyba sami nie wiedzą kogo popierają. Pani, która pracowała w zakładach „E. Wedel” mówi, że jest „za” Wałęsą, Mazowieckim i... KPN. Podobnie robotnik z Żoliborza, chociaż on nie ma też nie przeciwko Sewerynowi Jaworskiemu i Andrzejowi Gwiazdźcie. Tylko zachrypnięty staruszek nie ma wątpliwości.

— Jestem za „Solidarnością Walcząca” i będę z nimi do końca walczył z komuną.

Wyjaśnia motywy swojej postawy:
— Oni tylko zmieniają kolor, a twarze pozostają te same. Dlaczego teraz ja, stary człowiek mam przez tych, sk...ów głodować?

Przy grupie na chwilę przystaje starsza kobieta.

— Panie, co panu z tej walki zostało — zwraca się do zachrypniętego emeryta.

— Nie szum pan! Przecież to przez tych komunistów całe nasze zadłużenie! — słyszy odpowiedź.

— Może i tak, ale po co rozróbę robić. I tak wszystko ponowi oddają. Najważniejsze żeby spokój był i było co jeść — mówi kobieta i oddala się.

Przed wejściem do Sali Kongresowej zebrało się kilkunastu głuchoniemych. Wszyscy myśla, że przyjechali na wycieczkę i tu im wyznaczono zbiórki. Czym bliżej godziny „0”, tym więcej ludzi gromadzi się przed PKiN. Do jednej z grup podchodzi milicjant z czterema gwiazdkami na czapce.

— Milicja w kościele przystępowała, to chyba dzisiaj nie będzie rozrabiać — wola ktoś w kierunku pana w niebieskim mundurze.

— Przecież ani my, ani wy nie rozrabiacie — odpowiada spokojnie kapitan. — Chcę tylko się dowiedzieć, po co tutaj przyszliście?

— Na pogrzeb PZPR — krzyczą ludzie.

— Uroczyście! — dorzuca młody człowiek i

po chwili dodaje — Rakowski powiedział, że się nie da, to chcemy zrobić tak, żeby wreszcie poszedł na dno!

— To ja wiem, tylko jak to chcecie wyrazić?

— Rozbić komunę — krzyczy zachrypnięty staruszek.

— Niech do roboty do kopalni idą! Jaruzelski też! A policję nową stworzymy, taką jak w 1939 roku!

— Daj pan spokój — uspokajają staruszka ludzie — ten milicjant to porządny chłop.

— Nie poznajecie? To Jankowski z Gdańska, ze związków zawodowych — wtrąca wysoki mężczyzna.

— Kto? — jakaś „babcia” nie rozumiała.

— No, ksiądz Jankowski w przebraniu milicjanta — informuje młody chłopak.

Rozlega się śmiech. Kapitan odchodzi. Tymczasem zainteresowanie wszystkich przenosi się na mężczyznę w futrzanej czapce z białym kiem w ręku, który na schodach Pałacu Kultury śpiewa góralskie piosenki. W pewnej chwili do „górała” podchodzi mężczyzna w czapce z daszkiem.

— Skąd pan „to” wzięł? — pyta wskazując na biały kij.

— Co wy „stalinowcu” czapkę po Leninie macie? — odpowiada „górał”.

— Zdejmij czapkę! — krzyczy ktoś z tyłu, trąca lekko głowę „Stalinowca” i za chwilę czapka znajduje się w rękach „górała”.

— Oddajcie czapkę! — wola „stalinowiec”.

— Oddasz legitymację, dostaniesz czapkę!

— Legitymację?! Skąd mam ją wziąć?

— To po co towarzyszu na zjazd idziesz?

— pyta zachrypnięty staruszek, który również i tu się znalazł.

— Ja nigdzie nie idę. Ja na Ochotę jadam! Przechodziłem tylko tędy — tłumaczy przerażony człowiek. — I nie jestem żadnym towarzyszem. Panem jestem. Oddajcie mi czapkę. Ja na Ochotę jadam!

Wreszcie tłum lituje się nad nim i oddaje czapkę. Starszy mężczyzna szybko opuszcza „strefę zagrożoną”.

Milicjanci legitymują przyszłych demonstrantów. Budzi to ich niezadowolenie.

— Milicjanci! Nie bądźcie pacholkami PZPR! — krzyczą.

Sytuację rozładowuje starszy wiekiem i rangą milicjant, który prosi grzecznie, by opuszczono schody przed Salą Kongresową. Ludzie posłusznie spełniają jego prośbę i udają się na chodnik przy ul. E. Plater.

Dochodzi 16.00. Wszyscy z niecierpliwością czekają na studentów z NZS. Wreszcie idą! Skandują: „Młodzi z partią się rozliczą”. To znak, że „pogrzeb” może się rozpocząć. Okazuje się, iż głuchoniemi nie przyjechali na wycieczkę. Też przyszedł na wiec. Wyciągają swoje transparenty: „Pod sąd PZPR za 45-letnią dyskryminację głuchych”.

„PZPR nie dała ani słówki na rehabilitację głuchych”.



Rys. Dariusz Romanowicz

- ◆ Program TV na cały tydzień — str. 15
- ◆ Miejsce „Solidarności” — str. 7
- ◆ Widmo bezrobocia? — str. 10
- ◆ Zapiski więzienne — str. 11

Po śmierci Feliksa Dzierżyńskiego na czele GPU stanął Władysław (Wiesław) Mienżyński. Faktycznie organami bezpieczeństwa kierował Henryk Jagoda. Za sznurki pociągał Józef Stalin.

Dlaczego Henryk Jagoda uwierzył w Boga?

RYSZARD BADOWSKI

Niektórzy uważają go za Polaka. Krąży legenda, że był synem krawca z Łodzi. Faktycznie Henryk Jagoda urodził się w jednym z kresowych miasteczek, w żydowskiej rodzinie. Swą oszalałą karierę zrobił dzięki spowinowaceniom z głową państwa. To utorało mu drogę z małej prowincjonalnej gazety na szczyty władzy.

Był generał NKWD Aleksander Orłow, który w 1938 roku zbiegł do Kanady, tak pisze o swoim wieloletnim szefie:

„Stalin i Jagoda potrzebowali się wzajemnie. Był to związek, w którym nie było miejsca dla trzeciego partnera”.

Sekretarz osobisty Stalina, Borys Bażanow, również dezerter z Kremla, ujawnia, iż Henryk Jagoda jeszcze za życia Feliksa Dzierżyńskiego przejął ster władzy w GPU. Do 1926 roku był jednak formalnie drugim zastępcą szefa resortu bezpieczeństwa. Funkcję pierwszego zastępcy Feliksa Dzierżyńskiego piastował inny Polak, Władysław (Wiesław) Mienżyński.

O Władysławie Mienżyńskim wiadomo niewiele. Rzadko pojawiał się publicznie. Cierpiał na rzadką chorobę kręgosłupa. We wspomnieniach „Kreml. Lata dwudzieste” Borys Bażanow zdradza, iż Mienżyński znaczną część życia spędził w

pozycji leżącej na kanapie. Jego choroba była prawdopodobnie skutkiem pobytu w więzieniu. Z ruchem rewolucyjnym związany był od 1895 roku. Uczestniczył w rewolucji 1905—1907 roku. Był członkiem Organizacji Wojskowej przy Komitecie Petersburskim Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Redagował bolszewickie pismo „Kazarna”, adresowane do żołnierzy.

Władysław Mienżyński urodził się w Petersburgu.

W rodzinie, zachowującej polskie tradycje. W domu nazywano go Wiesławem. Jego ojciec, Rudolf Mienżyński, inteligent, postarał się, aby syn zdobył odpowiednie wykształcenie. Przyszły zastępca Dzierżyńskiego ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Petersburskiego, ten sam, na którym jako ekstern zdał egzamin Włodzimierz Lenin. Należał do studenckiej organizacji rewolucyjnej. Również dwie jego siostry związały się z ruchem socjalistycznym. Starsza, Barbara, ukończyła kursy pedagogiczne i medyczne, została nauczycielką. Do SDPRR wstąpiła w 1905 roku. Po Rewolucji Październikowej pracowała w Komisariacie Ludowym Oświaty. Młodsza, Ludmiła, także nauczycielką należąca do partii bolszewickiej, stała się członkiem Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich Piotrogrodu, a następnie komisarzem Wy-

4

Adres redakcji:
80-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony redaktor naczelny
36 82 44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89 70

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Problematyka kulturalna:
Marian Zdrojewski.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Konrad Gębarowski,
Andrzej Frejdllich,
Eugeniusz Iwanicki,
Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński,
Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,
Bogumił A. Makowski,
Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz
Romanowicz, Janusz
Szymański-Glanc,
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński,

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk,
Stale współpracują:
Tadeusz Białejewski,
Marek Brzeziński,
(Paryż — Londyn),
Grzegorz Gazda,
Andrzej Grun, Janusz
Janyst, Andrzej Karolczak,
Witold Kasperkiewicz,
Andrzej Kempa, Wasyl
Kocznow (Moskwa),
Włodzimierz Krzemieński,
Zenon J. Michalski,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Henryk
Pustkowski, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5,
tel. 32 59 11.
Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiński, tel. 36 80 99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.
Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe, RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch” Łódź, ul. Armii Czerw-
nej-28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990
roku: 1) Z możliwości prenume-
rowania mogą korzystać miesz-
kańcy wsi, osiedli oraz miastec-
zek w których nie ma Oddział-
ów RSW, a także osoby nie-
pełnosprawne bez względu na
miejsce zamieszkania. 2) Natio-
malnie nie mają możliwości pre-
numerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przy-
jmowane są tylko na okresy
kwartalne. Należność za przyjętą
prenumeratę pocztową obejmuje
cenę tygodnika oraz opłatę
za doręczenie. Prenumerata za
zleceniem dostawy za granicę
jest o 100 proc. wyższa: w przy-
padku zlecenia dostawy drogą
lotniczą — koszt dostawy lotni-
czej w pełni pokrywa prenu-
merator.

B-10

Przegląd prasy

„Klęską dzisiejszego życia
publicznego jest nienawiść, która
dzieli obywateli państwa
na nieprzejeźdźne oboje, postę-
pującą z przeciwnikami polity-
cznymi jak z ludźmi zię woli,
ponieważ ich bez względu na
godność człowieka. Panoszą się
klamstwo, demagogia, oszczer-
stwo, nieuczciwość i niski
sposób prowadzenia dyskusji i
polemik. Żądza władzy i pry-
wata prowadzą bezwzględna
walkę o rządy i stanowiska, a
porozumienie jest troską o państwo,
które zwykle odłamy polityczne
utożsamiają z sobą. Chorobli-
we podniecenie i namiętność
polityczna zastanawia spokojny
sąd o ludziach i sprawach, mie-
szają politykę do wszystkiego,
wszystko osadzają ze stanowis-
ka partyjnego...”

Wystręgać się należy utoż-
samiania pewnych kierunków i
interesów partyjnych z Kościo-
łem, nadużywania jego powagi
dla celów wyborczych, partyj-
nych i wciągania go do sporów
na korzyść tego lub owego od-
łamu politycznego. Byłoby to
bardzo szkodliwym wypacze-
niem jego misji. Kościół nie
pozostaje na usługach stron-
nictwa politycznych, z nim
w związek polityczny nie wcho-
dzi i zostawia katolikom swo-
bodę należenia do stronnictwa,
które nie są sprzeczne z etyką
katolicką. Chęć wyciągnięcia
korzyści politycznych z wiary
przez jakiegokolwiek stronnictwo
odstręczałoby od Kościoła lu-
dzi innych przekonań politycz-
nych”.

Jest to fragment listu paster-
skiego prymasa Polski, księdza
kardynała Augusta Hlonda, z
23 kwietnia 1982 roku, który
przypomina obecnie w mie-
ścieńniku katolickim „POW-
ŚCIAGLIWOŚĆ I PRACA” (nr
12). Prezydentem Rzeczypos-
politej Polski był wówczas Iga-
ncy Mościcki, a premierem Alek-
sander Błażej Prystor. Najwię-
cej mandatów w Sejmie i Sena-
cie miał Bezpartyjny Blok
Współpracy z Rządem.

RELIGIA A ŻYCIE CODZIENNE

W okresie międzywojennym
Polska miała dość złożoną
strukturę narodowościową i
religijną. W 1931 roku ludność
deklarowała następujące wyzna-
nia: rzymskokatolickie obrządku
łacińskiego — 64,8 proc., rzym-
skokatolickie obrządku greckie-
go — 10,4 proc., prawosławne
— 11,8 proc., ewangelickie —
2,6 proc., inne chrześcijańskie
— 0,5 proc., mołdawskie — 9,8
proc., inne niechrześcijańskie
— 0,0 proc., nie określone i
nie podane — 0,1 proc. W
1926 roku wśród żołnierzy Wojs-
ka Polskiego było: rzymskich
katolików — 72,6 proc., greck-
kich katolików — 7,7 proc., wy-
znawców prawosławia — 11,9
proc., ewangelików — 2,2 proc.,
wyznawców religii mołdawskiej
— 5,3 proc., wyznawców isla-
mu — 0,01 proc., innych —
0,28 proc.

Natomiast obecnie około
95 proc. społeczeństwa pol-
skiego należy do Kościoła rzym-
skokatolickiego i zaledwie
3 proc. do wszystkich pozosta-
łych związków wyznaniowych.
Jesteśmy najbardziej religij-
nym narodem w Europie, a
równocześnie moralność indy-
widualna i społeczna stoi na
bardzo niskim poziomie. Dla-
czego? Paradoksalnie wyjaś-
nienie daje w tygodniku „KA-
TOLIK” (nr 4) Jan Waleczek:

„Jan Szczepański powtarza
od 30 lat, że Kościół w Polsce
swoją kondycję zawdzięcza
marksizmom. Mówi się o pol-
skim katolicyzmie, że jest ma-
sowy i mało pogłębiony. Choć
w kraju jest ponad 95 proc.
katolików, to jednak wielu z
nich nie zna zasadniczych
prawd wiary. Wiele jest w
naszym kraju chrześcijan-kato-
lików ochrzczonych, którzy na-
leżą do Kościoła i nawet prakty-
kują, ale jeszcze nie odpo-
wiedzieli osobom na wzesza-
nie Chrystusa. Nie dokonali za-
sadniczego kroku, który polega
na przyjęciu Go wiara jako
osobistego Zbawiciela i Pana.
Są wśród nich tacy, którzy
usłyszeli Słowo, ale zapomniałi.
Są chrześcijanie, którzy utór-
nie stali się poganami. Wyko-
nują niektóre praktyki religij-
ne, ale całe ich życie poddane

jest pogańskiej hierarchii wos-
tości”.

Do końca tego stulecia Kościół
pracować będzie nad nową
ewangelizacją. Ma ona pogłębić
religijność, zmienić błędne kry-
teria ocen, hierarchię wartości
i umacnianie Kościoła w świecie,
a prawosławie przywiązuje wa-
gę do pokory wobec Boga, lu-
dzi i władzy. Człowiek prawo-
sławny nie może uznać się za
dobrego. Zawsze ma poczucie
winy i grzechu.

W bardzo religijnym spo-
łeczeństwie rosyjskim pojawiła
się w XIX wieku antyreligijna
inteligencja. Była to grupa opę-
tana ideą swojej winy wobec
ludu. Buntowała się przeciw-
ko światu, który uważała za
zły, i przeciwko Kościołowi
prawosławnemu, który akcep-
tował ten świat.

PUNKT WIDZENIA FILOZOFIA

Szerzej o problemach świa-
topoglądowych współczesnego
świata mówi w tygodniku
„KIERUNKI” (nr 4) prof. Hen-
ryk Skolimowski z Uniwersy-
tetu Michigan. Na temat katol-
icyzmu polskiego ma następu-
jącą opinię:

„Często przejawiał się bar-
dziej jako manifestacja przeciw
komunizmowi niż sama wiara.
Obserwując postawy ludzkie
zastanawiam się, czy odnowie-
nie polityczne wiąże się z od-
nową duchową i etyczną. Lu-
dzie, którzy masowo chodzą do
kościółków, w życiu codziennym
okazują innym pogardę —
dotyczy to szczególnie sklepów
i urzędów. Co to znaczy być
katolikiem w naszej rzeczywisto-
ści? W życiu tzw. normal-
nym panuje aura niechęci, aby
nie powiedzieć wrogości. Nie
kojarzy mi się to z idealami
katolickimi. Zastanawiam się,
dlaczego znajdujemy się w
sponach tej zimnej, obojętnej,
ekonomicznej mentalności, która
nie ma szacunku dla czło-
wieka. Wydaje mi się, że jako
naród jesteśmy straszliwie ze-
konomizowani. W teorii negu-
jemy marksizm, a praktycznie
jesteśmy jego zwolennikami i
propagatorami. Myślimy w
kategoriach par excellence ekono-
micznych i materialnych. Jakby
mamona była dla nas
głównym bogiem...”

Jako bardzo twórczy jawi
mi się fakt, iż mimo uzyska-
nia niezależności politycznej i
społecznej, w sferze świadomo-
ści pozostałymi niewolnikami
obiektywnych i materialistycz-
nych struktur. Uważam, że
powinien nastąpić teraz krok
oczyszczenia naszych umysłów
z naleciałości poprzedniego, ko-
munistycznego okresu. W prze-
ciwnym wypadku zaczną gra-
zić nam pewnego rodzaju schi-
zofrenia: będziemy chodzili do
kościółków i uważać się za ka-
tolików, a w życiu codziennym
staniemy się poganami, kształ-
tującymi swoje wartości przez
doświadczenia”.

Zupełnie inne problemy re-
ligijne występują w krajach
zachodnich, gdzie kościoły co-
raz bardziej są wykluczone.
Biskup angielski w Durham
oświadczył, że Anglii nie moż-
na uważać za kraj chrześcijań-
ski, ponieważ tylko 3 do 6 proc.
ludzi uczęszcza na msze.

Henryk Skolimowski twierdzi,
że mamy do czynienia z pow-
szecznym kryzysem wszystkich
religii. Powstały bowiem 2-3
tysiące lat temu i odpowiada-
ły prostszej kondycji człowie-
ka oraz mniejszej komplikacji
świata. Potem religie zmieniały
się w zależności od rozwo-
ju społecznego, lecz w XX wie-
ku nie nadążają za tempem
przemian.

Zalążkami są jednak nie ty-
lko religijna wizja świata, lecz
również odwieceniowa. Nauka
podważała głównie założenia
światopoglądu religijnego, ale
nie stworzyła satysfakcjonują-
cych podstaw nowego świato-
poglądu. Przez to współczesny
człowiek czuje się zagubiony.

Henryk Skolimowski jest wy-
chowankiem warszawsko-lwows-
kiej szkoły filozofii anali-
tycznej. Uzyskał doktorat z
słynnym Uniwersytecie w
Oxfordzie. Od 1986 roku prze-
bywa w Stanach Zjednoczo-
nych, gdzie stworzył filozofię
ekologiczną. Wyróżnia ją od
innych koncepcji apoteoza życia
i Kosmosu. Uznaje tezę Pierre'a
Teilharda de Chardina, że czło-
wiek to ewolucja świadoma
siebie.

POKORA LUDU I PYCHA INTELIGENCJI

Religia wywarła ogromny
wpływ na historię, kulturę i
charakter narodu rosyjskiego.
Prawosławie należy do chrześ-
cijaństwa, ale różni się od
katolicyzmu. Mówi o tym w

obszernym wywiadzie na la-
mach tygodnika „MŁODA POL-
SKA” (nr 3) pisarz i publicysta
rosyjski Władimir Zieliński. Ka-
tolicyzm kładzie silny nacisk
na działalność zewnętrzną i
umacnianie Kościoła w świecie,
a prawosławie przywiązuje wa-
gę do pokory wobec Boga, lu-
dzi i władzy. Człowiek prawo-
sławny nie może uznać się za
dobrego. Zawsze ma poczucie
winy i grzechu.

W bardzo religijnym spo-
łeczeństwie rosyjskim pojawiła
się w XIX wieku antyreligijna
inteligencja. Była to grupa opę-
tana ideą swojej winy wobec
ludu. Buntowała się przeciw-
ko światu, który uważała za
zły, i przeciwko Kościołowi
prawosławnemu, który akcep-
tował ten świat.

„W latach 60. i 70. polary-
zacja między społeczeństwem a
inteligencją jest już znaczna,
narodnicy stają się terrorys-
tami, potem marksistami. Wszy-
stko się bez ustanku
radikalizowało — aż do Leni-
na. Marksizm — najpierw ekono-
miczny — nieszkodliwy jak
sądono — doprowadza do re-
wolucji. Lenin to punkt zwrot-
ny, to kres ewolucji rosyjskiej
inteligencji; od tego czasu po-
jęcie inteligencji wyraża się.
Społeczeństwo przegrało histo-
rię przez inteligencję, a i sa-
ma inteligencja padła ofiarą te-
go, co zwyciężyło...”

Rosyjską inteligencję jakby
prowadziła czarna ręka. Kosę
coś doprowadzało do wyda-
rzenia, które tak odmieniło jej
los. Każde następne pokolenie
inteligencji było bardziej ra-
dykalne niż poprzednie. Było
bardziej niecierpliwie i mniej
kulturalne — nie tyle w sensie
wyszkolenia, co kultury uczuć.
Wojując ateizm można okre-
ślić jako konsekwencję zaniku
kultury...”

U inteligencji, która zwycię-
żyła w rewolucji, pojawiła się
pycha zdobywcy, pogarda bar-
barzyńcy, który dokonał podbo-
ju. Stopniowo, z inteligentów,
ludzi związanych z jakąś in-
telektualną pracą, duchową
działalnością, przekształcał się
w barbarzyńców. Przyszli jak
barbarzyńcy podbijają rosyjską
ziemię”.

Dlaczego ludzie tak łatwo
godzili się z tym, że zamykano
i niszczone świątynie? Wynika-
ło to z charakterystycznego dla
prawosławia ducha pokory, kon-
formizmu i kwietyzmu. Nie
protestowano, bo sądzono, że
taka wola Boża. Pierwszymi
zresztą, którzy się godzili, by-
li biskupi. A za nimi przy-
mował wszystko naród.

W zachowaniu Cerkwi rosyj-
skiej Władimir Zieliński dost-
ręga wady i zalety. Nie wszy-
stko mu się też podoba w Ko-
ściele polskim. Pod koniec wy-
wiadu mówi:

„W Polsce, o której wiele
myślę i często porównuję ją z
Rosją, pierwszy raz byłem dzie-
sięć lat temu i byłem wstrząś-
nięty widokiem pielgrzymki do
Częstochowy, setkami tysięcy
młodych ludzi, którzy w niej
idą. Tego nie można sobie wy-
obrazić u nas. A teraz byłem
w Lublinie na obchodach rocz-
nicy odzyskania niepodległości.
Moje wrażenia konkretyzują
się. Ludzie chodzą do kościo-
łów i pod symbolami Solidar-
ności, Armii Krajowej słuchają
w kazaniach o cierpieniach na-
rodu, o polskiej historii. To jest
bardzo dobre dla narodu i
bardzo niebezpieczne dla Ko-
ścioła. Wielu ludzi — kardynał
Wyszyński, Lech Wałęsa, Pa-
pież — mówią o niepodległości, o
sprzeciwianiu się zewnętrznej
przemocy — to wszystko bar-
dzo dobre dla Polski. Ale czy
również dla życia wewnętrzne-
go, dla związku duszy czło-
wieka z Bogiem? Nie jestem prze-
konany. Myślę, że jedno z dru-
gim zbyt jest splecione, że
ludzie wychodzą z Kościoła
często z poczuciem triumfaliz-
mu... Także wyznawanie win w
katolicyzmie bywa bardziej for-
malne, uzgodnione. Tak, że są-
dzą — to już całkiem inny
temat — że oba Kościoły po-
trzebują siebie nawzajem i nie-
dostatkii każdego z nich od-
zwierciedlają wartość drugie-
go”.

Rosjanie szukają obecnie
nowych wartości. Wielu zwraca
się ku Cerkwi, niektórzy
skłaniają się ku nacjonalizmo-
wi i patriotyzmowi, inni ule-
gają światopoglądowi konsum-
pcyjnemu i pragną żyć jak na
Zachodzie. Sytuacja w tym na-
większym kraju świata jest bar-
dzo skomplikowana: ekono-
miczna, polityczna, narodowo-
ściowa. Władimir Zieliński
twierdzi, że spośród wszystkich
republik najbardziej nieszcze-
śliwym i zniszczonym krajem
jest Rosja.

RACJE EKONOMISTY I ZWIĄZKOWCA

Nasze problemy gospodarcze
i polityczne są również złożo-
ne. Nikt nie ma pewności, czy
program reform zakończy się
sukcesem. Wacław Wilczyński
podkreśla w „TYGODNIKU
KULTURALNYM” (nr 5), że
1 stycznia 1990 roku obnażył
całą naszą nędzę. Jego zdaniem,
już od 1971 roku żyliśmy po-
nad stan, na koszt przyszłych
pokoleń.

Ekonomista poznański nie
zgadza się z poglądem, że pro-
gram Leszka Bałcerowicza po-
winien w większym stopniu
uwzględniać działania interwe-
ncyjne państwa. Najpierw mu-
si zacząć funkcjonować mecha-
nizm rynkowy, a potem mogą
być jakieś ingerencje i korek-
ty.

„Znajdujemy się w sytuacji,
która wymaga szczególnego na-
silenia przymusu ekonomicz-
nego. Od społeczeństwa, które w
ogromnym stopniu uległo demo-
ralizacji (dotyczy to przede
wszystkim miasta), które utra-
ciło w znacznej mierze elemen-
tarne cnoty obywatelskie, jak
solidarność, słowność, poczucie
odpowiedzialności i obowiązku
itp., musimy wymusić całkowi-
tą zmianę zachowań, oddolną
aktywizację gospodarczą. Oczek-
ujemy tego od społeczeństwa,
które dziś jeszcze lekceważy
prawo i państwo; a jednocześnie
wszystkiego od niego żąda,
od społeczeństwa głęboko
przywykającego do centraliz-
mu, do podejmowania decyzji
przez kogoś”.

Kwestia poprawy gospodar-
czej stawiana jest na płaszczy-
nie alienacji — to państwo po-
winno obiecać, kiedy będzie
lepiej. To „oni” powinni to za-
pewnić, a nie „my”. Tę atmos-
ferę „czekania na Godota” mo-
że przerwać tylko głęboki
ustrząk, wymuszający zmianę
mentalności presją materialną.
Nie ma co się ludzi: w pier-
wszej chwili kluczową ideę mu-
si w tym odegrać blokada nie-
ograniczonego dotąd popytu. Bę-
dzie ona wynikiem liberalizacji
i urealnienia cen z jednej stro-
ny oraz poniesie wstrzymują-
cych niepoahomowany dotąd
strumień wyplat z drugiej. Mu-
si się okazać, że brak nam pie-
niędzy na zakupy i równocześ-
nie, że niesprzedanie towaru
oznacza brak pieniędzy u pro-
ducentów i sprzedawców —
w tym także na płace”.

Politykę gospodarczą rządu
Tadeusza Mazowieckiego kry-
tycznie ocenił Marian Jurczyk
podczas 8 spotkania Porozumie-
nia na Rzecz Przeprowadzenia
Demokratycznych Wyborów w
NSZZ „Solidarność”, które od-
było się we Wrocławiu. Tekst
jego wystąpienia opublikował
tygodnik „SPRAWY I LU-
DZIE” (nr 4). Przywódca szcze-
cińskiej „Solidarności” stwier-
dził, że złe reformy niszczą ro-
dzinę — najważniejszą komórkę
społeczną. W szkołach mdleją
dzieci.

Marian Jurczyk obawia się,
że grozi nam kolejny rozbiór
Polski. Przygraniczne tereny
zachodnie mogą zostać wyku-
plone i przejść pod panowanie
obcego narodu. Polska stanie
się kolonią, a Polacy będą zam-
niatać ulice.

„Są u nas ludzie — zakończył
Marian Jurczyk — także na
tej sali, którzy potrafia rządzić
naszą ojczyzną i naszym narodem.
Nie chcemy, żeby nami
rządzili obcy”.

Z sondażu CBOS — jak po-
dała „RZECZPOSPOLITA” (nr
24) — wynika, że w połowie
stycznia na „Solidarność” gło-
sowałoby 48,3 proc. obywateli,
na wszystkie inne partie i
ugrupowania tylko 11,4 proc., a
reszta udzieliła odpowiedzi nie-
zdecydowanych bądź nie wzię-
łaby udziału w wyborach.

E. L.

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Ponad setka gości Balu
satelitarnego w łódzkim hote-
lu „Centrum” to ludzie nale-
żący do elity finansowej. Bi-
let kosztował 350 tysięcy zło-
tych. Największą furorę robi
przedstawicielka angielskiego
biznesu — Gosha Dar z Lon-
dynu. Młoda, piękna i do tego
z masą pieniędzy. Gosha to po-
 prostu Małgosia z Łodzi, z uli-
cy Piotrkowskiej. Szczupła i
zgrabna, wygląda w sukience
mini na zaledwie dwadzieścia
parę lat. Zakończyła wiede-
nski „finansiści” walą do niej
jeden przez drugiego, zapre-
czając zasadzie, że w intere-
sie uroda się nie liczy. Gosha
jest dziś szefem brytyjskiej
firmy „Madar Trading” han-
dlującej między innymi ante-
nami satelitarnymi. Ale za-
mierzają osiąść w Polsce na
stałe, gdy tylko dwie córki
Farida i Anisa skończą szkołę.
Na tym balu przebywać obok
Goshi Dar to nobilitacja towa-
rzyska. Dwie orkiestry przy-
grają na zmianę. Goście
rozłączyli się. Rewelacyjnie
ubrani pań nie ma. Fatalne
wrażenie sprawiali fryzury —
reportaż MIROSLAWA KUL-
SIA pt. „Wielki świat Łodzi
bawi się”.

— Młode dziewczyny często
mimo woli prowokują seksu-
alnie mężczyzn. Bez ukrytego
zamiaru siadają w taki sposób,
że odsłaniają daleko uda; nie-
raz pokazują nawet majtki. A
połem zdziwione łowią pożą-
dliwe spojrzenia. Zarówno
młodzi chłopcy jak i starsi
panowie nie mogą oderwać
wzroku. Bezwiednie ukazana
intymność urzeka i podnieca.
Przy czym najbardziej znie-
wajaco działa podobno seks
pięknych i skromnych dzie-
wcząt, które kuszą zupełnie nie-
świadomie. Większość męż-
czyzn odczuwa pewien respekt
wobec dziewcząt. Cnota w
połączeniu z młodością i pięk-
nością nabiera wręcz sakral-
nego znaczenia — artykuł MI-
ROSLAWY SARBINSKIEJ pt.
„Powaby i pozory niewinności”.

— Sukł to targowisko. Nie
będę wylizal, co tam możesz
kupić. Wszystko. Powiedziałem:
wszystko! No, może z wyjąt-
kiem bomby atomowej; nie
dowiedział jeszcze również spu-
tników, ale są w drodze. Jeśli
sobie zażyczysz, zabiją i opraw-
nią na twoich oczach jagnię.
Ceny są stałe, nie wypada się
targować. Starsi Libijczycy są
serdeczni i nad wyraz uprzej-
mi, młodzież jak to młodzież;
na całym świecie jednak:
skóra do zabawy i żartów. Na
każdym suku jest jak gdyby
gielda robotników, a ci robo-
tnicy, to Palestynicy, Tune-
zyjczycy oraz obywatele Czadu.
Siedzą w kucki i czekają
na okazijną robotę. Każdy ma
u boku zwiniający z narzędziami.
Możesz nająć ich do bu-
dowy domu, do wyremontowa-
nia łazienki, a jak nie masz
cegieł czy drewna to możesz
zaraz kupić jedno i drugie
wraz z transportem — kores-
pondencja ANDRZEJA MA-
KOWIECKIEGO z Libii.

— Pojawili się u nas gangi
międzynarodowe, które doko-
nywały kradzieży samochodów
nawet w Stanach Zjednoczo-
nych, przetrzucając je do Pol-
ski. Mamy więc przestępców,
którzy światowo niejako myślą
i działają. Musimy się do tego
przystosować. Powiem może
rzecz niepopularną, za którą
wiele osób mnie zgani. Otóż
uważam, że milicja polska to
dobra formacja, wbrew temu,
co się o niej mówi. Jest to
dobrze zorganizowany aparat
policyjny. A dlaczego jest tak
krytykowana? Bo działała w
określonym systemie — mówi
generał MAREK OCHOCKI,
szef Wojewódzkiego Urzędu
Spraw Wewnętrznych w Łodzi.

— Leżę w łóżku twarzą do
okna. Niebo błękitne. Słychać
dźwięki ptaków. Cicho, spo-
kojnie. Nie słychać jeszcze
normalnego życia więziennego,
szczęku zamków i krat, topotu
kolumn więźniów, okrzyków
strażników — kolejny odcinek
zapisków więziennych JERZE-
GO KROPIWNIKIEGO.

Samorząd — to nie tylko więź terytorialna.

Jak przeskoczyć barierę biurokracji?

Rożmowa z dr. MICHAŁEM KASIŃSKIM — specjalistą od prawnych zagadnień ustroju terenowego z Uniwersytetu Łódzkiego.

— Czy biurokracja, czyli rząd bez udziału obywateli, struktura organizacyjna podatna na wynaturzenie, może stanowić barierę w rozwoju samorządu terytorialnego?

— Biurokracja w tym rozumieniu bywa traktowana jako największy wróg samorządu, ale bywa też odwrotnie. Tam bowiem, gdzie są kształtowane struktury biurokratyczne, samorząd jest traktowany jako pewnego rodzaju skandal, który niszczy hierarchię, pewność jasności podziału kompetencji i odpowiedzialności. Jeśli jednak wprowadza się samorząd terytorialny, to zawsze powstaje problem jakości pracy tego samorządu (pracy bezpośrednio organizatorskiej). I w tym zakresie — jak dotąd — nie wymyślono bardziej racjonalnej organizacji tej pracy niż organizacja biurokratyczna.

— Jednak aparat administracyjny ma skłonność do wyłączenia się od społeczeństwa, a także od własnych struktur przedstawicielskich, które w sytuacjach skrajnych stają się fasadowymi. Jak tego uniknąć?

— Każdy model samorządu terytorialnego, przy spełnieniu określonych warunków, może być atrakcyjną alternatywą ustrojową w stosunku do modelu zarządzania przez scentralizowany aparat administracji państwowej. Aby tak było, musi istnieć samodzielnność działania wspólnot lokalnych dla ochrony ich interesów. Po wtóre, model ten powinien zapewnić demokrację, a więc uczestnictwo ogółu mieszkańców w decydowaniu o sprawach istotnych dla nich. Po trzecie, musi to być model zapewniający społeczną korzyść z działania oraz techniczną sprawność. Ponadto działanie to musi być praworzadne.

— Jakie mogą być inne zagrożenia?

— Rysujące się zagrożenia zdają się wyprzedzać z trzech źródeł. Pierwszym z nich jest kontynuowanie działalności dotychczasowych i powstawanie nowych mafii lokalnych, które będą dążyły do tego, aby spenetrować strukturę władzy samorządowej i wykorzystywać je do własnych interesów. Drugi rodzaj zagrożenia wynika z istniejących postaw antyspołecznych i z lokalnego egoizmu. Postawy te łączą się z modnym ostatnio i lansowanym hasłem prywatyzacji.

— Jak sdefiniować lokalny egoizm?

— Z istoty samorządu lokalnego wynika, że władza samorządowa powinna opowiadać się po stronie interesów ludności miejscowej, a to rodzi stronniczość. Ale ta sama stronniczość powinna mieć rozsądne granice, bowiem nadrzędny powinien być zawsze interes państwa jako całości. Dobro kraju to nie tylko sprawa nadzoru nad samorządem, ale i obywatelskiej odpowiedzialności jego działaczy. W przeciwnym wypadku samorządność przerodzi się w samowolę, a demokracja lokalna w anarchię.

— Tradycja polskiego samorządu terytorialnego została przerwana na kilkadziesiąt lat. Jaki ten fakt może mieć wpływ na przyszły kształt tej instytucji?

— Długoletnia przerwa jest niewątpliwie zjawiskiem niekorzystnym. Samorząd terytorialny mieści się w kręgu wartości tradycyjnych i ich istnienie jest wręcz nieodzowne dla jego efektywnego działania.

— W Polsce nie ma już chyba żywych tradycji samorządowych?

— Nie podzielim tej opi-

ni. Bierność może występować i zapewne występuje na terenach wielkich miast i obszarach objętych oddziaływaniem wielkich aglomeracji przemysłowych. Natomiast tam, gdzie istnieje społeczność bogata w nieprzerwaną tradycję miejscową, na przykład na Podhalu czy Białostocczyźnie — tradycje te są żywe i dają o sobie znać w aktywności społecznej przy budowie dróg lokalnych, świątyni, we wzajemnej pomocy sąsiedzkiej itp. Jest więc do czego się odwoływać. Jest także co pielęgnować i rozwijać.

— Czy przywrócenie samorządu terytorialnego zniweluje podział na rządzących i rządzonych?

— Aby cel ten osiągnąć, nie wystarczy samo zadekretowanie samorządu. Podstawowym warunkiem jest zapewnienie wysokiej aktywności i ściślejszej integracji wspólnot lokalnych. Bez tego warunku, jak również bez stałego nacisku na egzekwowanie woli mieszkańców od uchwałodawczych i wykonawczych organów samorządowych — instytucja ta zawsze pozostanie fikcją. Ważne jest więc także pobudzenie aktywności mieszkańców, aby zajmowali się sprawami publicznymi. Jeśli gospodarzami terenu będą jego mieszkańcy, to poczują się oni także odpowiedzialni za to, co dzieje się na obszarze miasta, gminy, osiedla.

— Ale zetknięcie się z biurokracją i co wtedy?

— Biurokracja, która niszczy samorząd i wszelką demokrację lokalną, ma swoje korzenie w wadliwych strukturach władzy lokalnej. Jedną z przyczyn jest brak jasnego rozgraniczenia kompetencji poszczególnych szczebli aparatu zarządzania i „upaństwowienia” władzy lokalnej. Drugą przyczyną jest brak rozgraniczenia

między władzą uchwałodawczą (stanowienia i kontroli) a władzą wykonawczą na danym terytorium. W takim przypadku opacznie pojmowana jest „jedność władzy państwowej w terenie”. Trzeba więc rozgraniczyć to, co należy do czynnika przedstawicielskiego, od tego, co należy do czynnika zawodowego w samorządzie. Trzeba też zapewnić pełną odpowiedzialność tego ostatniego wobec przedstawicielstwa miejscowej ludności.

— Obecny podział administracyjny Polski nie sprzyja odnowie samorządu.

— Istniejący podział administracyjny ukształtowany został pod wpływem interesów i potrzeb aparatu scentralizowanej biurokracji. Ale to jest fakt. Ewentualne zmiany podziału administracyjnego mogą być poważnie blokowane przez barierę finansową tej operacji. Chodzi o własność komunalną, którą jeśli raz się uwłaszczy, to późniejsze zmiany będą poważnie utrudnione.

— Czy wobec tego należałoby zrezygnować z korekty w podziale administracyjnym?

— Pierwszym krokiem zmierzającym ku samorządności terytorialnej powinno być zdecentralizowanie struktur władzy lokalnej, zaś wprowadzenie dojrzałych rozwiązań samorządowych należałoby poprzedzić właśnie niezbędnymi korektami w podziale administracyjnym kraju.

— Samorząd to nie tylko więź terytorialna, to także cała gama stowarzyszeń i innych organizacji społecznych. Czy jedno nie będzie przeszkadzało drugiemu?

— Bez aktywności i integracji społeczności lokalnej nie może być mowy o autentycznym samorządzie terytorialnym. Społeczność ta musi mieć swoje własne instytucje i rozwiniętą sieć organizacji i urzędów ją integrujących. To one bowiem służą zaspokajaniu różnych potrzeb i interesów mieszkańców danej jednostki terytorialnej. Powiązania samorządu terytorialnego z tymi organizacjami muszą odbywać się przy pełnym poszanowaniu autonomii tych wspólnot.

**Rozmawiał:
MARIAN
STRZELECKI**

Konfrontacje

Czym grozi życie w Łodzi?

Przykład podany przez Ludwika Benoit na ostatnim posiedzeniu Rady Narodowej Miasta Łodzi trafia chyba w sedno. Przypomniał on, że na peronach dworca Łódź Fabryczna obowiązuje zakaz palenia papierosów, ale obok pracuje, dymi i kury łódzka Elektrociepłownia I, która więcej szkodzi zdrowiu mieszkańców miasta niż tysiąc wypalonych w tym rejonie papierosów. Problem polega bowiem na tym, że żyć w Łodzi jest bardzo niebezpiecznie, bo to szkodzi zdrowiu, a jednocześnie przyjęty przez RNML program promowania zdrowia w tej Łodzi zakłada, że wszystko zależy od naszej świadomości, i o zmianie tego stanu rzeczy zdecydować nie inwestycje w służbie zdrowia, ale nasz styl życia i nasz stosunek do naszego zdrowia. Zatem: skoro jest tak źle, to nic nie robić, czy też zacząć od przebudowy świadomości, bo na inwestycje i tak nie ma pieniędzy?

W czasach budowy „drugiej Polski” powiadało się, że trzeba wysoko podnosić poprzeczkę, bo „Polak potrafi”. Poprzeczka szła więc w górę, Polacy nie bardzo chcieli potrafić, skutki tej radośnej twórczości oglądamy wokół nas. Minął zdaje się już czas, w którym każdy Polak miał mieć własne mieszkanie, a jak jest z mieszkańiami każdy wie, kto tego mieszkania nie ma. Takich — niestety — jest dużo i liczba ich rośnie. Kiedy więc usłyszałam, że do roku 2000 przedłuży nam się życie oraz poprawi się jego jakość, przypomniałam sobie czasy radośnej twórczości i ogarnęło mnie zwątpienie.

Jak jest w Łodzi wszyscy wiemy. Przypomnę zatem w skrócie. Mamy jedną z najbardziej zatrutych atmosfer nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Z Łodzi płyną w świat tysiące metrów sześciennych ścieków, które rzeki polskie zamieniają w kanały ściekowe. A Grupa Oczyszczalni Ścieków ciągle w budowie. Gdy rozpoczyna jej budowę pisano w gazetach, że niedługo ryby będą pływaly w Nerze, co nadal jest niedosięgniętym marzeniem. W Łodzi najwięcej umiera niemowląt, tu najwięcej rodzi się wcześniaków. „Poloni” zapyla rakotwórczym azbestem. Tu najwięcej pracuje kobiet, wiele z nich na trzy zmiany. Tu fatalnie działa komunikacja, ciągną się kilometrowe kolejki przed i w sklepach. Tu ciągle brakuje miejsc w szpitalach, choć buduje się dwa szpitalne kołosey. Tu...

Starczy chyba tego.

Przez lata usiłowano nam wytłumaczyć, że sytuacja zdrowotna poprawi się, kiedy wzrośnie liczba łóżek szpitalnych, przychodni, lekarzy, pielęgniarek i lekarstw. W okolicznościowych referatach podawano nam do wierzania, że już szczęście jest blisko, ale ogólne trudności odsuwają je na nieco dalszy plan. Uczyliśmy się wierzyć, że wszystko zależy od inwestycji w służbie zdrowia, a tu nagle okazuje się, że możemy być o wiele zdrowsi, wystarczy tylko samemu o to zadbać. Nie wątpię w to. Hasło: jak pomóżesz sobie to pomogą tobie — obowiązuje w każdej dziedzinie życia, ale nie mogę uwierzyć i nie mam zamiaru przekonywania nikogo, że zamiast strzykawką jednorazowego użycia oraz wysokiej jakości specyfików wystarczy promowanie zdrowia. Pewnie, że jeśli człowiek zabie o to zdrowie, to nie będzie mu potrzebna strzykawka ani lekarstwa, ale jedno nie zastąpi drugiego, tylko i jedno i drugie musi być stosowane: i własna troska o zdrowie i dobrze przygotowana służba zdrowia do tego zdrowia ratowania. Teraz mamy akurat przeciwnie: ani jednego, ani drugiego.

Rozumiem dumę miasta. Łódź jest pierwsza, która taki program przyjęła. Będziemy należeć do sieci „zdrowe miasta”. Jest to efekt inicjatywy Regionalnego Biura Europejskiego Światowej Organizacji Zdrowia, które to biuro ma siedzibę w Kopenhadze. Wszystko to piękne. Też jestem dumna, że będę mieszkać w „zdrowym mieście”, ale jakoś od sesji RNML nie zniknął i pewnie długo nie zniknie brud na ulicach, nie przestali śmierdzić ludzie w tramwajach, nie przybyło sal gimnastycznych w szkołach, nie wylegli masowo ludzie, aby biegają i pogimnastykować się dla zdrowia, nie zmniejszyła się liczba kupujących wódkę, nie poprawiła się atmosfera nad Łodzią, nie przestali dymić kominy i zatrwać powietrze, nie przestali opadać pyły na łódzkie ulice i na ludzi w tym mieście żyjących. Pojemnik z śmieciami nadal śmierdzą przy krawężnikach przyncypalnych nawet ulic.

Podstawową zaletą programu promowania zdrowia jest fakt, że jest to program w swoim założeniu regionalny, to znaczy nakazujący liczyć tylko na siebie i własne możliwości. Jeśli nie zostanie zrealizowany — co nie jest wcale takie trudne do osiągnięcia — to nikt nie będzie mógł powiedzieć, że Warszawa znów nam czegoś nie dała, tylko będzie musiał odważnie wskazać palcem na siebie i powiedzieć: — Tu jest winny! Nie wiem, czy radni zdali sobie sprawę z tego, do czego zobowiązali siebie i swoich następców? Może było im łatwo to zrobić, gdyż wsiad nad nimi zmiana kadencji i wszelkie winy za ich grzechy spadną na innych. Boję się, że wąpię.

Oto czytamy ogólne założenie programu promowania zdrowia w Łodzi:

„Główne wielosektorowe propozycje działań zmierzające do osiągnięcia w Łodzi założonych celów zdrowotnych do 2000 roku, obejmują w pierwszej kolejności kształtowanie takiego stylu życia i takich postaw i zachowań, które są korzystne dla zdrowia, w drugiej kolejności — skupienie wysiłków na wyeliminowaniu bądź ograniczeniu zagrożeń zdrowotnych ze strony środowiska, w trzeciej — rozszerzenie zakresu profilaktyki medycznej, stanowiącej domenę służby zdrowia”.

Czytam więc i rosną moje wątpliwości. Po pierwsze — do roku 2000 pozostało niewiele czasu. Nasze nawyki kształtowane latami i aby je przekształcić potrzeba znów lat. Po drugie — nawyki nie zmieniają się niezależnie od warunków. Zeby ludzie kapali się codziennie, potrzeba łaźni, pryszniców, ciepłej wody, mydła szamponów oraz nawyków. Cóż z tego, że w przedszkolu nauczają dziecko czystości, gdy jej nie będzie w domu? Po trzecie — miasto też musi być czyste, a to już nie od nawyków zależy, choć nie są bez znaczenia, ale od sprawnie działającej i dobrze zorganizowanej służby miejskiej. Gdy więc czytamy, że do 2000 roku „będzie funkcjonować sprawny system oczyszczania miasta począwszy od posesji — do wysypiska odpadów włącznie”, to nie pozostaje mi nic innego, jak uśmiechnąć się sceptycznie. Nie wierzę, bowiem, że wraz z przebudową samorządu i nadaniem mu właściwego kształtu automatycznie zniknie wszelkie zło, które narastało latami.

Przez lata oduczano nas aktywności społecznej wzmawiając, że „u góry” wiedzą lepiej, co nam potrzeba i co jest dla nas z korzyścią. Mamy robić i nie myśleć. Latami więc spadała aktywność społeczna i słusznie EWD oświadczyły, że fakt, iż niektórzy radni wzięli pieniądze i nie doczekali końca sesji, to skandal. Pisałam o tym nie tak znów dawno. Stało się to już nie pierwszy raz. W takiej sytuacji miejsce tych, którzy powinni być społecznie aktywni zajmują ci, którzy chcą być tylko o b e c n i. Sprzyja to wyjątkowości, beznisowości, pustostowiu... Sprzyja pozorowaniu demokracji i jest zjawiskiem bardzo niebezpiecznym. Ale jest rzeczywistością naszą polityczną.

Wracam zatem do postawionego na początku problemu: czy skoro w Łodzi żyć jest niebezpiecznie, bo grozi to zdrowiu, to mamy nic nie robić, bo aktywność społeczna jest niska i każdy przyjęty program grozi brakiem realizacji? Czy też podejmować działania mimo narastających trudności? Opowiadam się za tym drugim rozwiązaniem, ale pod warunkiem, że te trudności będą wyraźnie sformułowane przedstawione i nie będą stanowiły asekuracji już z góry założonej, ale tylko i wyłącznie będą traktowane jako warunki określające sposoby realizacji zamierzeń.

Nie wiem, czy wszyscy radni zdali sobie z tego sprawę? Tym bardziej że część było to zupełnie obojętne, bo wzięła pieniądze i wyszła.

BOGDA MADEJ

Zawiłe drogi idei

Samorząd nie kochany

Dziwne i niezwykle pokretnie są losy pewnych koncepcji, które do niedawna traktowane były jako „jedynie słuszne” i nieodzowne dla demokracji polskiego życia społeczno-gospodarczego. Klasycznym tego przykładem są dyle i niedole samorządności pracowniczej, idei przed laty bardzo nośnej społecznie, a obecnie zapomnianej i nie kochanej przez jej dawnych wielbicieli i propagatorów.

Warto przypomnieć, sięgając pamięcią do sierpnia 1980 r., że w okresie tym idea samorządności pracowniczej (robotniczej) stała się bardzo chwytna, żeby nie powiedzieć modna. Wielu przedstawicieli ekonomii i sztuki dziennikarskiej opowiedziało się wówczas zgodnym chórem za reformą gospodarczą opartą na rozwiązaniu samorządowym. Związek Zawodowy „Solidarność” zaangażował się w dzieło odrodzenia autentycznego ruchu samorządności pracowniczej, czego instytucjonalnym wyrazem było stworzenie Sieci NSZZ „Solidarność”, która stała się promotorem wielu działań prosamorządowych. Z łona „Solidarności” wyłoniła się koncepcja Samorządnej Rzeczypospolitej, w której kluczowe znaczenie przypisywano samorządowi pracowniczemu. W wysoko ocenianym na początku lat 80. przez fachowców projekcie reformy gospodarczej pt. „Reforma gospodarcza: główne kierunki i sposób realizacji” (opracowanym notabene przez dra Leszka Balcerowicza) zarysowana została wyraźna opcja samorządowa. Na rzecz tej opcji przemawiała — jak stwierdza się w cytowanym projekcie — argumenty ideologiczne, społeczne i ekonomiczne.

Owczesny rząd niechętnie odnosił się do radykalnych rozwiązań samorządowych. Wysuwano zarzut, iż samorządność pracownicza wywołał niebezpieczny dla gospodarki anarchosyndykalizm. Na dowód tego można przytoczyć fragment wywiadu udzielonego przez prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego „Gazecie Wyborczej”. Na pytanie dotyczące idei Samorządnej Rzeczypospolitej prezydent stwierdził, że... „my to odczytaliśmy jako drogę do anarchii; wszyscy zaczynają rządzić. Przypuszczam, że potem przekonaliśmy się do wielu rozwiązań samorządowych”.

Wśród ekonomistów nie zwłazanych z „Solidarnością” panowały dość sceptyczne opinie na temat efektywności samorządowego modelu przedsiębiorstwa.

W okresie stanu wojennego samorządowi pracowniczemu były zawieszono. Ich reaktywowanie było dopuszczalne, ale w sposób selektywny, na mocy decyzji administracyjnych i przy ograniczonych uprawnieniach. Był to trudny okres w historii samorządności pracownicznej. Samorządność napotykała liczne przeszkody wynikające z biernością i zniechęcenia wielu działaczy samorządowych, nieprzychylnego stosunku dyrektorów i organów założycielskich, formalnego ograniczenia uprawnień organów samorządowych.

Po okresie zahamowania wydawało się, że sztafard samorządności pracownicznej znowu będzie widoczny w polskim pejzażu społeczno-gospodarczym. Podczas dyskusji toczonych w 1989 r. przy „Okrągłym stole” strona solidarnościowo-opozycyjna silnie akcentowała konieczność umocnienia roli samorządów pracownicznych w funkcjonowaniu przedsiębiorstw. W dokumencie końcowym „Okrągłego stołu” przyjęto zapis, w myśl którego samorządność pracownicza uczyniono jednym z głównych filarów tzw. nowego ładu ekonomicznego. Uznano, że samorządność pracownicza odpowiada aspiracjom społeczeństwa polskiego i niezależnie od oddziaływania na efektywność ekonomiczną stanowi w systemie gospodarczym wartość samą w sobie. Można było się spo-

dziewać, że wreszcie nadeszły dobre czasy dla samorządności pracownicznej i nastąpi erupcja autentycznej samorządności. W przekonaniu tym utwierdzał dodatkowo zwolenników samorządności program wyborczy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Otóż w punkcie 15 owego programu znajduje się następujący zapis. „Domagamy się, aby uprawnienia samorządów dawały załogom wpływ na strategiczne decyzje przedsiębiorstwa i czyniły je odpowiedzialnymi za jego decyzje”.

Dalsze fakty społeczno-polityczne, jakie pojawiły się na polskiej scenie, były jednak przysłowiowym „zimnym przysnieniem” dla orędowników samorządności pracownicznej. Nowy rząd, mimo iż wywodził się głównie z obozu „Solidarności”, odrzucił opcję samorządową w swoim programie gospodarczym. W exposé premiera Tadeusza Mazowieckiego zabrakło pierwiastka samorządności pracownicznej; ta sama uwaga odnosi się do dokumentu określonego mianem „Program gospodarczy. Główne założenia i kierunki”.

Nieobecność instytucji samorządności pracownicznej w programie obecnego rządu może budzić wielkie zdziwienie, ale jest łatwa do wytłumaczenia. Otóż rząd przyjął opcję neoliberalno-monetarną, która zasada się na samoregulacji rynkowej, prywatyzacji gospodarki i dogmacie zrównoważonego budżetu. Na kształcie programu rządowego silnie piętno wycisnęły zalecenia Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który ogólnie mówiąc nie jest zwolennikiem rozwiązań samorządowych w gospodarce. Prof. J. Sachs, ekonomista z USA, kreowany przez część prasy na męża opatrnościowego polskiej gospodarki, odradza stosowanie rozwiązań samorządowych, o czym triumfalnie donosiła „Gazeta Wyborcza”. Ciekawie zabrzmi informacja, że tenże ekonomista określił pomysły wprowadzenia akcjonariatu pracowniczego w Polsce mianem „bolshewizmu gospodarczego”. Wywołało to zrozumiałe oburzenie adherentów akcjonariatu pracowniczego gdyż rozwiązanie to nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek bolszewizmem. Dodać należy, że idea akcjonariatu pracowniczego narodziła się w USA i to nie w kręgach lewicowych, lecz prawicowych, a jej twórcą jest kalifornijski bankier Louis Kelso.

Na początku lat 80. koncepcja samorządu pracowniczego była niewygodna dla starych układów nomenklaturowych, jak również była negatywnie odbierana przez naszych sąsiadów — sojuszników politycznych. Obecnie samorząd jest nie kochany, gdyż, jak należy przypuszczać, nie podoba się finansjerze zachodniej, nie zeche u nas inwestować, jeśli nie przeprowadzimy operacji prywatyzacji własności.

Nie sposób jednoznacznie określić, jak potoczą się losy przedsiębiorstw samorządowych w najbliższym czasie. Nie są znane bowiem dokładnie zamierzenia rządu w dziedzinie zmian własnościowych, a zwłaszcza nieznaną jest zakres prywatyzacji gospodarki. Sprawa ta zostanie rozstrzygnięta w drodze decyzji Sejmu. Można jednak wyrazić przekonanie, że przechodzeniu do gospodarki rynkowej wcale nie musi towarzyszyć totalna prywatyzacja majątku narodowego. Mogą i powinny w przyszłości rozkwiatać, zgodnie z niezwykle popularną i hołubioną u nas zasadą pluralizmu, nieprywatne formy własności, w tym również przedsiębiorstwa samorządowe. Przedsiębiorstwa te poddane rygorom gry rynkowej, czyli funkcjonujące bez parasola ochronnego państwa, mogą w wielu dziedzinach gospodarki łączyć w swym działaniu efektywność ekonomiczną z walorami atrakcyjności społecznej. Dużą stratą dla pluralizmu ekonomicznego i politycznego w Polsce byłoby odrzucenie rozwiązania samorządowego z pozycji niejako doktrynerskich, wynikających z bezkrytycznej akceptacji nowego „katechizmu”, a mianowicie neoliberalizmu.

Zgodnie z formułą „nie o nas bez nas” nie można dokonywać istotnych przekształceń w strukturze własności bez honorowania praw tych grup pracowników, które deklarują swoje poparcie dla idei samorządności pracownicznej.

WITOLD KASPERKIEWICZ

działu Oświaty Pozaszkolnej w Komisariacie Ludowym Oświaty RSFR.

Borys Bażanow nazywa Władysława Mienżyńskiego esteta. Zanim Władysław Mienżyński trafił do WCzK był komisarzem ludowym finansów Rosji Radzieckiej, a następnie dyplomata — generalnym konsulem RSFR w Berlinie. W książce „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, poświęcił mu spory fragment amerykański reporter John Reed, opisując sztab rewolucji w Smolnym najpierw przedstawia napięcie, jakie panowało tutaj w dzień po upadku Rządu Tymczasowego. Biegający po ciemnych korytarzach ludzie, grupki robotników z karabinami, przywódcy z wypchanymi teczkami, wydający w pośpiechu rozkazy, działacze, którzy zapomnieli o sobie, nie śpiąc, nie goliąc się. Zapamiętał szczególnie jednego z nich, zaginionego w powierzone mu nagle sprawy kierownika jednym z najważniejszych resortów państwowych.

„Na górce, w kawiarni, usłony w kat, siedział esteta w futurystycznej czapce i ubraniu, w którym, chciałem powiedzieć, przespał noc, ale przecież on na pewno nie spał... Nie ogolona od trzech dni broda okrywała jego twarz. Coś tam pisał nerwowo na brudnej kopercie, grząc ołówki od czasu do czasu. Był to Mienżyński, komisarz Finansów, którego jedynym przygotowaniem do zajmowanego stanowiska było to, że niegdyś pracował jako niższy urzędnik we francuskim banku...”

Na emigracji Władysław Mienżyński przebywał dziesięć lat.

Mieszkał w Belgii, Szwajcarii, Paryżu. Poznał wielu czołowych działaczy partii. Był współpracownikiem pisma „Proletarij”, redagowanego przez Włodzimierza Lenina. Po powrocie do Rosji w lipcu 1917 roku został członkiem Biura Organizacji Wojskowej przy KC SDPRR, przygotowującej powstanie zbrojne. Redagował gazetę „Soldat”. Z Dzierżyńskim zapoznał się prawdopodobnie w dniach Rewolucji Październikowej. Feliks Dzierżyński był szefem obrony Smolnego.

Zebrałem o Władysławie Mienżyńskim wszystkie dostępne mi dane, pragnąc poznać bliżej tę intrygującą postać, ukrytą w cieniu Dzierżyńskiego. Lecz jest tych danych niewiele, zwłaszcza o roli, jaką pełnił w organach bezpieczeństwa. Nawet Aleksander Orłow (prawdziwe nazwisko Lew Feldbin), który pracował w GPU, a następnie w NKWD, dwadzieścia lat na wysokich stanowiskach, wspomina o nim rzadko. Zdaje się to potwierdzać też Borys Bażanow, że Józef Stalin nie ufał Władysławowi Mienżyńskiemu. Kierował po śmierci Dzierżyńskiego działalnością GPU przez Henryka Jagodę. Mienżyński od 1926 roku był tytularnym przewodniczącym Głównego Zarządu Politycznego, a Henryk Jagoda stał się jego pierwszym zastępcą.

Podobnie jak Feliks Dzierżyński petersburski Polak Władysław Mienżyński był partyjnym ascetą. Wpłynęła na to nie tylko jego choroba, lecz przede wszystkim zasady, które określały postawę starej leninowskiej gwardii. We wspomnieniu pośmiertnym o Dzierżyńskim przytoczył jego słowa:

„O WCzK można będzie pisać dopiero wtedy, kiedy organizacja ta stanie się zbędna”. Przypomniał też jego przestrożę: „WCzK powinna być organem Komitetu Centralnego, w przeciwnym razie stanie się szkodliwa, przerodzi się w ochronę lub w organ kontrrewolucji”.

Stojąc na czele GPU Władysław Mienżyński starał się przestrzegać tej zasady. Udało mu się to do 1929 roku. Pierwszy wyrok śmierci na członka partii za udział w opozycji zapadł właśnie wtedy. Przed plutonem egzekucyjnym stanął funkcjonariusz organów bezpieczeństwa Jakub Blumkin. Przed plutonem egzekucyjnym krzyknął: — Niech żyje Trocki!

Sprawa Jakuba Blumkina

Był to ten sam Jakub Blumkin, lewicowy eserowiec, który w lipcu 1918 roku zabił w

Moskwie niemieckiego ambasadora Wilhelma Mirbacha, w celu serwiania pokoju podpisanego w Brześciu i sprokowania wojny z Niemcami. Borys Bażanow podaje inną niż oficjalna wersję zabicia Wilhelma Mirbacha. Miał mu ją opowiedzieć przyrodni brat Blumkina. Otóż Jakub Blumkin rzucił w kierunku ambasadora bombę i wyskoczył przez okno. Zaczepił się jednak spodniami o żelazny pręt i zawisł w pozycji zgoła nie komfortowej. Bomba nie wybuchła. Towarzyszący Blumkinowi marynarz zastrzelił niemieckiego dyplomata, zabił Blumkina z kraty i wsadził do cieżarówki, która pośpiesznie odjechała.

Jakub Blumkin postawiony został przez bolszewików poza prawem, był ścigany, ale wkrótce, po wydaniu w ich ręce organizacji lewicowych eserów, przyjęto go do partii i WCzK.

— To wyjątkowy głupiec,

miśa Jakuba Blumkina. Kiedy jednak padło nazwisko Lwa Trockiego, Karol Radek pobiegł na Kreml i powtórzył Stalinowi wszystko, o czym powiedział mu Blumkin. Stalin rozkazał Jagodzie śledzić Blumkina. Henryk Jagoda podał Blumkinowi współpracownicę GPU piękną Lizę G., która donosiła o każdym kroku swojego kochanka. Ich romans trwał trzy tygodnie, przerwał go wyjazd Blumkina. Daleko nie ujechał. Zamiast na dworzec kolejowy został zawieszony na Lubiankę. Kontaktów z opozycją mu nie udowodniono. W śledztwie nie ujawnił antyleninowskiego spisku wewnątrz ZSRR. Wyrok śmierci został wszakże wykonany. Starzy bolszewicy odsunęli się od Karola Radka. Stalin zwrócił mu natomiast w 1930 roku legitymację partyjną.

Tak się złożyło, że jednocześnie Władysław Mienżyński przestał być członkiem KC WKP(b), choć nadal stał for-

Wtedy wniósł oczy ku niebu: — Bóg wysłuchał mej kłótni.

Najmłodszy, Benjamin (Wieniamin) Swierdłow, wyemigrował do Ameryki, gdzie stał się właścicielem niewielkiego banku. Kiedy w Rosji wybuchła rewolucja bolszewicka zwinął interesy i przyjechał do Piotrogradu, gdzie został ludowym komisarzem komunikacji.

Wezwał go zza oceanu średni brat, Jakub (Jakow) Swierdłow, jedyny w rodzinie, który poszedł w ślady ojca i poświęcił się działalności rewolucyjnej. Znalazł się w kierowniczym gronie partii bolszewickiej. Stał na czele Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad Delegatów Robotniczych, Chłopskich i Żołnierskich. Była to najwyższa instytucja państwowa. Jakub Swierdłow został w ten sposób pierwszym prezydentem Rosji Radzieckiej. Włodzimierz Lenin był przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych, czyli premierem.

dwukrotnie. Za pierwszym razem ułotnił się ze skradzionymi narzędziami. Wiedział, że Michał Swierdłow nie zgłosi kradzieży na policję, ponieważ obawiał się będzie ujawnienia swej nielegalnej działalności. Jagoda zamierzał założyć własny zakład grawerski, nie udało mu się to, więc wrócił ze skradzionym do swego przynajmniej. Po jakimś czasie skradł mu drugi komplet narzędzi i ponownie zniknął bez śladu.

Po rewolucji zostało mu to wybaczone. Zakochała się w nim bowiem Ida, siostrzenica Jakuba Swierdłowa. Jakub Swierdłow zmarł w 1919 roku, ale przedtem zdążył wyciągnąć Henryka Jagodę z redakcji jakiejś prowincjonalnej gazety, do której trafił na początku rewolucji. Polecił go do organu WCzK. Za jakiś czas zdołał się z Niżniego Nowogrodu miał się znaleźć na Kremlu.

Na początku lat trzydziestych przetłumaczono na język rosyj-

ktor medycyny Kazakow. Stalin rozkazał oddać ich w ręce oficerów śledczych NKWD (po śmierci Sergiusza Kirowa zmikwidowano GPU, a właściwie nadano mu nową nazwę).

Pragnąc wydobyc od lekarzy odpowiednie zeznania, smontowano intrygę przeciwko najmniej odpornemu psychicznie profesorowi Pietniewowi, którego młoda agentka NKWD oskarżyła... o próbę gwałtu i zbrodnicze seksualne, czego dowodem miała być jej pokąsana pierś. Gazety rozpisywały się o „sadyście-Pietniewie”. Dawni przyjaciele i uczniowie odżegnywali się od niego publicznie. Pietniew błagał członków rządu, których leczył, o zdjęcie z niego absurdalnych oskarżeń.

Doktor Lewin był osobistym lekarzem Józefa Stalina i jego córki Swietłany. Zarzucano mu, iż pragnął w zbrodniczy sposób skrócić ich życie. Była to pierwsza „sprawa lekarzy-morderców”. Drugą, jak wiadomo, smontował Ławrientij Beria pod koniec życia Stalina.

Nieszczęsnych lekarzy oskarżał generalny prokurator ZSRR, Andrzej Wyszyński. Nie potrafił przedstawić ani jednego dowodu ich winy. Pod naciskiem nagoniki prasowej, pogroźek (doktor Lewin miał liczną rodzinę, jego synów i wnuczków potraktowano jako zakładników), a być może także obietnic, lekarze przyznali się do stosowania niewłaściwych dawek leków w celu przyspieszenia śmierci ich pacjentów. Zostali straceni.

Ciekawe, że Józef Stalin wykorzystał proces lekarzy do pozbycia się Henryka Jagody, któremu przypisał rolę... inspirowa tych zbrodni. Jagoda za wiele wiedział. Spełnił swoją rolę. Na jego miejsce Stalin wyznaczył Nikołaja Jeżowa, dawnego pracownika aparatu partyjnego.

Szczyt kariery Henryka Jagody przypadał na połowę 1936 roku.

Otrzymał wówczas tytuł generalnego komisarza władz bezpieczeństwa, równy randze marszałka. Zaprojektowano dla niego z tej okazji specjalny mundur. Otrzymał mieszkanie na Kremlu. Po przygotowanym przez niego procesie Grigorija Zinowiewa i Lwa Kamieniewa Stalin miał powiedzieć: — Zastąpił sobie miejsce w Biurze Politycznym.

Henryk Jagoda marzył, że jego imieniem zostanie nazwany kanał Moskwa—Wołga, budowany rękami więźniów NKWD. Tymczasem został nagle odwołany ze stanowiska komisarza ludowego spraw wewnętrznych i mianowany komisarzem łączności. Na krótko zszedł.

W celi więziennej Jagoda rozmawiał ze sobą. Nikołaj Jeżow bał się, że więzień straci rozum i nie będzie mógł odegrać zaplanowanego, tym razem dla niego, spektaklu sądowego. Posłał do Jagody jednego z jego byłych podwładnych — Stuckiego. Henryk Jagoda powiedział mu:

— Wiesz, Bóg jednak istnieje.

— Co takiego? — zawołał Stucki, który miał powtórzyć Jeżowowi każde słowo, wypowiedziane przez Jagodę.

— Widział sam, jak Stalin odwiedził mi się za wierną służbę. Gdyby Boga nie było, nie spotkałaby mnie teraz kara.

RYSZARD BADOWSKI

Dlaczego Henryk Jagoda uwierzył w Boga?

dureń czystej wody — powiedział o nim Muńka Zorkij (Emmanuel Lifszyc), kierownik wydziału prasy KC Komsomolu, proponując Bażanowowi odwiedzić u Jakuba Blumkina w tajnym mieszkaniu GPU na Arbacie. Przepowiedział, że Blumkin przyjmie ich w czerwonym jedwabnym chaluście, z zapaloną długą wschodnią fajką, a przed nim będzie leżał otwarty zawsze na tej samej stronie tom dzieł Lenina. Tak było w rzeczywistości.

Jedwabny chałat i fajka stanowiły pamiątkę z Mongolii, dokąd WCzK skierowało Jakuba Blumkina w celu zorganizowania tamtejszych organów bezpieczeństwa. Blumkin szafował wyrokami śmierci, dlatego został odwołany. GPU nie wiedziało co z nim zrobić i trzymało go w rezerwie. Mieszkał w czterech pokojach ze swym przyrodnim bratem Arkadiuszem Maksimowem, pochodzącym podobnie jak on z Odessy. Maksimowa (prawdziwe nazwisko Birger) wyrzucano z wojska i z partii za kradzież owsa w pułku kawaleryjskim. Blumkin polecił go szefowi Zarządu Administracyjnego GPU Flekszerowi. Maksimow miał śledzić sekretarza osobistego Stalina Borysa Bażanowa. Sam Blumkin dostał wkrótce polecenie składania donosów na Trockiego. Później skierowano go jako rezydenta GPU do krajów Bliskiego Wschodu.

Borys Bażanow rozgryzł Arkadiusza Maksimowa i wciągnął go w paskudną kabałę. Zabrał ze sobą do stolicy Turkmieni Aszchabadu, zaprosił na wspólne polowanie i w upatrzonym z góry miejscu przeszedł granicę z Iranem. Było to w noc sylwestrową 1927 roku, kiedy cała placówka radzieckich wojsk pogranicznych w pobliżu Lutfabadu była w szoku pijana. W ten sposób Arkadiusz Maksimow, chcąc nie chcąc, został emigrantem.

Co działo się dalej z Jakubem Blumkinem dowiedzieć się można już nie ze wspomnień Borysa Bażanowa, ale z relacji Aleksandra Orłowa, zażytkowanej „Tajna historia zbrodni stalinowskich”. W ręce GPU wydał go były członek PPSD i SDKPIL, Karol Radek.

Dawny student Uniwersytetu Jagiellońskiego, działacz Międzynarodówki Komunistycznej, rektor Uniwersytetu Ludu Pracującego Chin im. Sun Jat-sena (który ukończył m.in. Sun Czag Kai-szeka) stał się jednym z przywódców opozycji trockistowskiej, za co w 1927 roku wykluczony został z partii i wysłany na Syberię. Kiedy Grigorij Zinowiew i Lew Kamieniew skapitulowali przed Stalinem, również Radek, złożył samokrytykę, dzięki czemu mógł powrócić do Moskwy. Z apologety Lwa Trockiego stał się gorliwym zwolennikiem Józefa Stalina.

W 1929 roku odwiedził go współpracownik Zarządu Zagranicznego GPU Jakub Blumkin, związując się, iż ma wkrótce wyjechać służbowo do Turcji. Tam zamierzał spotkać się z Lwem Trockim. Nie wiadomo, na czym miała polegać



Rys. Dawid Romanowicz

malnie na czele GPU. Chory Mienżyński nie był dla Józefa Stalina przeszkodą w realizacji jego dalekosiężnych planów. Józef Stalin pragnął zachować pozory czystości organów bezpieczeństwa. Mienżyński miał nieskazitelną opinię. Jagoda zaś był gotów wykonać w tajemnicy każde polecenie generalnego sekretarza partii.

Rodzina Michaiła Swierdłowa

Przed Rewolucją Październikową mieszkał w Niżnim Nowogrodzie nad Wołgą (obecnie miasto Gorki) grawer Michaił Swierdłow, który fałszował carskie pieczęcie, podrabiając dokumenty na zlecenie różnych organizacji rewolucyjnych. Z pierwszego małżeństwa miał trzech synów, których losy potoczyły się niezwykle barwnie, jak to bywa w patriarchalnych żydowskich rodzinach.

Najstarszy syn, Zenobiusz (Zinowij), sprawił mu zawód. Zerwał stosunki z rewolucjonistami, pragnącymi obalić cara, wyrzekł się rodziny i narodził na chrześcijaństwo. Ojciec obłożył go rytualną klątwą. Przechrzcił przygarnął Maksym Gorki. Odtąd występował jako jego syn, Zinowij Pieszkow. Po jakimś czasie wręczał do Francji, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, przyjął francuskie obywatelstwo i dosłużył się epoletów francuskiego generała. Walcząc w szeregach Legii stracił rękę. Gdy wieść o tym dotarła do Michaiła Swierdłowa, zapytał, która Odpowiedział mu: „prawą”.

Beniamin Swierdłow nie sprostował zdaniu, powierzonemu przez ustosunkowanego brata. Wkrótce jego resort przejął Lew Trocki, a po nim Feliks Dzierżyński. Beniamin Swierdłowa skierowano do pracy w Prezydium Wyższej Rady Gospodarki Narodowej, gdzie również nie błądził talentami. Zdarzyło się wszakże coś zwracającego na niego dalszą uwagę. Obenił się z młodą moskiewską aktorką Wierą Dielewską, która przedtem była kochanką Jakuba Swierdłowa. Jego starszy brat poznał ją na zesłaniu w Kraju Turuchańskim na Syberii, gdzie mieszkał w jednej izbie ze Stalinem. Józef Stalin również oświadczył się pięknej Wierze, ale dostał kosa. W 1937 roku z mężem Wierą Dielewską rozprawił się Henryk Jagoda. Beniamin Swierdłow został rozstrzelany. Szczególnie pikantny był fakt, iż Henryk Jagoda... był jego szwagrem. Najpierw jednak parę słów o pozostałych dzieciach grawera z Niżniego Nowogrodu.

Po śmierci pierwszej żony starszy Michaił Swierdłow ożenił się z Rosjanką, nazwiskiem Kormilcewa. Ta urodziła mu czwartego syna, Hermana, który w czasie Rewolucji Październikowej liczył 13 lat. Miał także córkę, którą wydał za zamożnego człowieka nazwiskiem Awerbach, mieszkającego na południu Rosji. Jej syn Leopold zajął się działalnością literacką, a córka Ida została żoną Henryka Jagody.

Henryk Jagoda był eszadnikiem z starego Michaiła Swierdłowa. Zatrudnił się u niego

Studenci nie chcą być gorsi. Dwóch chłopaków trzyma plakaty z wielkim napisem: „Protestujemy wszystkich krajów wyjątkiem się”. Nie opodal inne hasło: „Komuniści, straszcie czyścić”. Obok transparentu „popierającego” nową partię: „Komuniści nowej lewicy do kosmicznej”. Brodaty student czyta przez tubę z kartki:

„Komuniści dalej rządzą w Polsce, rozkazy w dalszym ciągu wydawane są w Moskwie. Dlaczego wchodzimy w żydowskie układy? Żydo-komuna nadal rządzi w tym kraju! Precz z komuną!”

Tłum zaczyna skandować: „Precz z komuną”. Dodając: „Jaruzelski musi odejść”.

Z tumultu wydobywa się przeraźliwy pisk pani w obcisłym piaskozuku:

— Mordercy! Zbrodniarzel Krew Popietuszk na Rakowskiego, na PZPR, na Sejm.

Przez okna Pałacu Kultury wyglądają zacięci delegaci na XI Zjazd.

— Nie chcą przegapić uroczystego pogrzebu swojej partii — komentują to ludzie z tłumy i wyrażają pięściami w kierunku okien.

Kilka minut po 16,00 do akcji wkracza około 30 nie uzbrojonych chłopów w niebieskich mundurach Bloku. Dojdzie do schodów przed Salą Kongresową. Witają ich przeciągłe gwizdy. Ktoś podpala czerwoną flagę. Milicjanci próbują zepchnąć tłum w stronę ul. E. Plater. Sprawdzają się teoria, iż agresja wywołuje agresję. W górę wędruje czapka jednego z funkcjonariuszy MO. Pojawiają się oddziały Prewencji Milicji Obywatelskiej (dawniej ZOMO). Kaski, plastikowe tarcze, długie, gumowe pałki. Ludzie zaczynają krzyknąć: „MO-Gestapo, MO-Gestapo”, „Securitate”. Pododdziały OPOMO przystępują do działania. Ze strony tłumy padają kamienie, poszły w ruch płyty chodnikowe. Nie brak petard. Słychać brzęk tłuczonego szkła. To słoiki z różnokolorową farbą olejną roztrząskują się o chodnik. Na skwerku stoi kilka młodych ludzi, przed którymi leżą płyty gramofonowe: 2+1, Sabrina... Chłopak chwytając jedną z nich i rzuca w kierunku „mundurowych”. Płyta rozpryskuje się na drobne kawałki. Walka trwa...

Pani z „Wedia” wraz z „górale” intonują: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Nikt jednak im nie wturkuje, więc śpiewają w duecie. Potem „górale” sam popisuje się swymi umiejętnościami. Zaczyna nucić: „Królu Zygmuncie powiedz mi czyś, widział w Warszawie

Flak piękny jak dzień”. Inni wybuchają śmiechem. Tymczasem OPOMO-wcy gonią grupkę młodych ludzi. Jeden z nich przewraca się na schodach i obrywa parę razy pałą po plecach. Uduje mu się jednak uciec. Przy jednej z kolumn stoi małżeństwo z dzieckiem.

— Idźcie stąd, tu jest niebezpiecznie — mówią. Nie rozumieją. Są głuchoniemi. Nie słyszą też potężnych wybuchów petard i gązów łzawiących w rejonie ul. Świętokrzyskiej. To tam teraz toczy się „bitwa”.

Chłopcy z OPOMO uderzają pałkami w plastikowe tarcze chcąc dodać sobie otuchy i zastraszyć przeciwnika. Przełożeni wydają komendy:

— Formować podwójny szwadron! Kiedy ruszą w waszą stronę, rzucać gaz!

Ruszyli. Jedni i drudzy. Poleciał gaz, poleciały kamienie. Niedaleko na przystanku przy ul. E. Plater czekają ludzie. Chcą spokojnie wrócić do domu. Podchodzi do nich młody milicjant. Karze opuścić przystanek.

— Dlaczego? — pyta spokojnie inny młody człowiek, tyle że bez munduru.

— Niech ci premier odpowie — rzuca opryskliwie milicjant.

Ludzie chcą zidentyfikować „gliniarza”. Pytają o jego numer służbowy. Nic z tego. Milicjant pośpiesznie odchodzi.

Około 19 do kolejnych potyczek dochodzi w okolicach Dworca Centralnego. W pewnej chwili do hallu wbiegają demonstranci i przypadkowi przechodnie. Za nimi wpadają OPOMO-wcy. Gonią chłopaka w czerwonej kurcie. Ten kryje się wśród ludzi oczekujących przy kioskach biletowych. Milicjanci podążają za nim. Wydaje jednak groźne spojrzenia podróżnych wycufują się. Szczęścia nie ma pewien 17-latek. Dopada go trzech OPOMO-wców i wali pałami gdzie popadnie. Przez parę chwil chłopiec nie wie gdzie się znajduje. Ludzie wyprowadzają go z dworca. Kilka minut spokoju i kolej-

ny atak. Tym razem ktoś rzucił świecę dymną. Słychać brzęk tłuczonego szkła. Na środku w blasku fotoreporterskich fleszów czterech „niebieskich” bije mężczyzna. Nie był demonstrantem. Ale zadziało prawo tłumy Pałkami oberwali też przypadkowi ludzie. Wokół pobitego człowieka gromadzą się gapię. Mężczyzna jest nieprzytomny. Wynoszą go z dworca. Jakaś dziewczyna pyta o jego nazwisko. W odpowiedzi słyszy tylko charczenie. Starsza kobieta krzyczy:

— Milicja!

Mija parę chwil i OPOMO-wcy prowadzą swego kolegę. Jest w szoku, ma skrwawioną głowę. On też nie miał szczęścia. Dopadł go tłum i

Podchodzi do milicjanta z pomarańczową tubą. Ten kieruje mnie do swego dowódcy. Po przeciwległej stronie ulicy, przy gaziku stoi wysoki mężczyzna z insygniami kapitana.

— Pan jest „szefem” tej akcji? — pytam.

— Ja? Skąd. Dowódcą jest szef Stołeczkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Do naszej rozmowy wtrąca się jakiś przechodzień. Mówi, że jak okradziono mu piwnicę, mimo że złapał złodzieja nikt z milicji nie przyjechał. A teraz ilu „pracowitych” się znalazło?

— Widzi pan jak to bywa? — odpowiada ironicznie kapitan. Próbuje wrócić do tematu naszej rozmowy. Mówię, że chcę wysłuchać obu stron...

— Ze mną to może pani rozmawiać o tym, jak się dzisiaj czuje — słyszę — od udzielania informacji jest rzecznik prasowy.

Bardziej rozmowni okazują się podwładni kapitana. Szeregowi z Oddziałów Prewencji Milicji Obywatelskiej.

— Co robicie? — zagaduję ich.

— Zabezpieczamy „imprezy” — odpowiada.

— A to co się dzisiaj działo to była impreza?

— Tak, kulturalno-rozrywkowa — mówi jeden z nich.

— Dobrze, ale chyba nie dla was?

— Dla nas nie, ale dla nich tak.

— A kto to jest my, wy?

— My nie wybieraliśmy tego rządu, tego wszystkich... Społeczeństwo wybrało.

— A wy nie jesteście społeczeństwem?

— Nie, my jesteśmy „Gestapo”.

— Przecież to nie o was chodzi, jak zdemolacie mundur...

Niestety nie dane było mi dokończyć tej rozmowy. Nadszedł plutonowy, krzyknął:

— Nie udziela my wywiadów.

Wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi i „Star” odjechał.

Powoli na ulicach zaczyna panować spokój. Milicjanci wracają do koszar, demonstranci udają się do domów. Obie strony podliczają rannych. Ugodzonych kamieniami, butelkami, pałkami, czy gazem łzawiącym.

Kończy się kolejny warszawski dzień.

ANNA GRONCZEWSKA

Wieczór pod Pałacem Kultury

— Formować podwójny szwadron! Kiedy ruszą w waszą stronę, rzucać gaz!

Ruszyli. Jedni i drudzy. Poleciał gaz, poleciały kamienie. Niedaleko na przystanku przy ul. E. Plater czekają ludzie. Chcą spokojnie wrócić do domu. Podchodzi do nich młody milicjant. Karze opuścić przystanek.

— Dlaczego? — pyta spokojnie inny młody człowiek, tyle że bez munduru.

— Niech ci premier odpowie — rzuca opryskliwie milicjant.

Ludzie chcą zidentyfikować „gliniarza”. Pytają o jego numer służbowy. Nic z tego. Milicjant pośpiesznie odchodzi.

Około 19 do kolejnych potyczek dochodzi w okolicach Dworca Centralnego. W pewnej chwili do hallu wbiegają demonstranci i przypadkowi przechodnie. Za nimi wpadają OPOMO-wcy. Gonią chłopaka w czerwonej kurcie. Ten kryje się wśród ludzi oczekujących przy kioskach biletowych. Milicjanci podążają za nim. Wydaje jednak groźne spojrzenia podróżnych wycufują się. Szczęścia nie ma pewien 17-latek. Dopada go trzech OPOMO-wców i wali pałami gdzie popadnie. Przez parę chwil chłopiec nie wie gdzie się znajduje. Ludzie wyprowadzają go z dworca. Kilka minut spokoju i kolej-

dokonał samosądu. Z megafonów słodki głos informuje: — Kasy na dworcu centralnym zostają zamknięte. Bilety proszę kupować w po-ciagu.

Pod ścianami stoja przerażeni podróżni, boją się, jednych i drugich.

Wracam pod Pałac Kultury. Przed Salą Kongresową członkowie Biura Interwencji „Solidarności”. Spisują adresy, nazwiska, telefony ludzi, którzy byli świadkami pobicia przez OPOMO paru osób. Oto relacja jednego z nich:

— Stał się spokojnie na ulicy. Podszedł do nas milicjant i zaczął nam popychać. Jeden człowiek dość energicznie przeciwko temu protestował. Zaczęli go wtedy szarpać i bijąc zaprowadzili do „suki”. Zabrali też dziewczynę i jakąś babcię.

— Ja widziałam jak bili człowieka o kuliach — dodaje kobieta w kapeluszu.

Starszy mężczyzna opowiada o innym zdarzeniu. W czasie zamieszek przy Świętokrzyskiej, część demonstrantów próbowała się ukryć w kościele Wszystkich Świętych. Milicjanci nie dali za wygraną. Wpadli za nimi do kościoła i rzucili gaz łzawiący.

— Próbuje wysłuchać także drugiej strony.

04.02.1990.

1.

Zadzwoń mi do mnie Czytelnik. Miał pretensje, że zajmujemy się sporem między dwoma paniami: Krystyna Sicińska-Lalmi i Beata Bzdzińska, a nie dostrzegamy, że Łódź się nam wali. Wieczorami chodzi się po mieście ze strachem. Miasto powinno patrolować grupy milicjantów i żołnierzy. No i straż obywatelską powołaj!

Nie był to jedyny Czytelnik, który zadzwonił z propozycją, aby wieczorami i nocą po mieście chodziły patrole mieszane: wojsko i milicja. Ludzie boją się chodzić po ciemnym mieście, bo i nawet na ulicy Piotrkowskiej można oberwać po głowie i stracić to i owo. Na ulicy Piotrkowskiej po bramach od dawna było niebezpiecznie. Jeden z moich znajomych przed wieloma laty stracił w takiej bramie kożuch i zegarek. A milicji było wtedy więcej niż dziś.

Łódź zawsze była miastem biednym i niebezpiecznym. To wprowadziło niczego nie tłumaczy, ale jest to fakt. Tu się zarabia mniej niż w innych regionach Polski, tu łatwiej można zahandlować na lewo, coś „skombinować”, komuś coś „podebrać”. A gdy nad miastem wisi kryzys, łatwiej parszywieją domy i ludzie.

Kryzys można dostrzec gołym okiem, o kryzysie mówią statystyki. W 1989 roku produkcja łódzkiej fabryki była mniejsza od produkcji w 1988 roku o 10 procent. Mniej było tkanin wełnianych, pończoch, obuwia, mniej też było w sklepach mięsa wieprzowego. Mniej ludzie zarabiali, choć średnia płaca była trzykrotnie wyższa niż w 1988 roku, ale też i mniej ludzie kupowali. Po cóż więc wykazywać się przedsiębiorczością, po co szukać dodatkowego zarobku, gdy wystarczy wieczorem, zaraz za rogiem z ulicą Piotrkowską, wyrwać kobiecie torebkę. Na pół litra w melinie zapewne wystarczy. Poem ginie się w wielotysięcznym tłumie anonimowych ludzi.

Potrzebna mi była nietypowa grubka. Poradzono mi, abym poszedł na Górniak, tam dostanę. Dostałem, ale przy okazji obejrzałem sobie nieprzebrane pokłady dóbr wszelakiego rodzaju, które się tam oferuje i kupuje. Oferuje się więcej, kupuje mniej, ale dostać można chyba wszystko, co sobie człowiek wymyśli. Nie obraza mnie ten fakt, nie przeraża, daje tylko do myślenia, że pośrednictwo — a więc handel nie wytwórczość — są ciągle na czele popularności. I choć na takim bazarze jest wszystko, to od tego towarów nie przybywa. Nimi się tylko obraca. To powinno niepokoić ekonomistów i... policję skarbową bo większość handlujących tam — domniemywam — nie biega do Urzędu Skarbowego aby zapłacić podatek.

Łódzkie fabryki tymczasem choć produkują mniej, to przecież produkują i wiele z nich odkłada swoją produkcję w magazynach, bo zbytu na nią nie ma. Handel hurtowy zmniejsza zamówienia, wycofuje się z nich, ceny bowiem rosną, a popyt spada. Można byłoby się z tego nawet ucieszyć, bo skoro towary odkładają się, to powinny być tańsze. Tak by należało myśleć i spodziewać się tego. Tymczasem niektórzy przestrzegają przed kolejną podwyżką cen, bowiem fabryki będą płacić kary za przepiętione magazyny, a koszty tych kar „wskalkulują” w ceny. Klient zapłaci, klient nasz pan.

2.

Ostatnio przez wszystkie przypadki odmienia się słowo: Europa. Wracamy do Europy, nigdy nie byliśmy poza Europą, Europa — to nasz wspólny dom, Kochamy Europę, Europa nas kocha. Europa nie da nam zginąć, integrujemy

się z Europą, niech też Europa integruje się z nami... No i dobrze. Nic nie mam przeciwko Europie. Też Kocham Europę, nie wiem, czy Europa kocha mnie. Ale jej wybaczam. Ma tyle innych spraw na swojej europejskiej głowie. Popieram więc Europę i powrót do Europy!

Chciałbym wszakże skromnie zwrócić uwagę na pewien drobny szczegół. W każdym domu są różne pomieszczenia, są salony i przedśionki, są sale pełne różnych nowoczesnych dóbr i są komórki, są też strychy i piwnice. Otóż, gdy już dojdziemy do wspólnego domu — Europy, to bardzo chciałbym, aby — po pierw-

Z tej ziemi

Postarajmy się, żeby nie zostać w przedsionku

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

szę — nas tam chłano, tak jak i my chcemy tam być i aby — po drugie — nie ulokowano nas w przedsionku, na strychu lub w piwnicy. Myślę, że choć geograficznie leżymy w środku Europy, to postawą naszą, pracą, dorobkiem kulturalnym, naszą najnowszą historią, która się dzieje, powinniśmy sobie na to zasłużyć. Tylko tyle!

3.

W „Trybunie Kongresowej” znalazłem list, który pozwoli przytoczyć w całości. Nosi on tytuł: „Powiększ się szeregi partii”. A oto jego treść:

„Partia wróci do rozkwitu, to wyczuwam w nastroju społeczeństwa. Powiększ się szeregi partii i będzie mnóstwo sympatyków.”

Społeczeństwo poznało jak było w socjalizmie, jak w obecnym kapitalizmie, dokonuje porównań i smala przechyla się na korzyść socjalizmu.

Ja sama powiększę szeregi nowej (odnowionej) partii!”

List podpisała Halina Ławniczak z Warszawy.

Zawsze budzą się moje obiekty, gdy ktoś się wypowiada w imieniu społeczeństwa. Skąd niby tak doskonale wie, co myślą i czuje społeczeństwo. Sądzę, że czas zacząć uczyć się wypowiadać we własnym imieniu. To trudne, bo trzeba za to, co się mówi i pisze brać odpowiedzialność, żadne społeczeństwo nikogo nie rozgrzeszy.

Jest to poza tym bardzo stary sposób myślenia, w którym tylko „być może” zamieniono na „być będzie”. Jest to sposób myślenia życzeniowy. Życzymy sobie, aby tak było,

bo to podnosi nasze dobre samopoczucie, zachęca do „wierzyć, już nam się zdaje, że tak jest. Jesteśmy szczęśliwi... A potem budzi się w zupełnie innej niż nam się wydawało rzeczywistości. Politykom takie myślenie nie przystoi a odnośnie wrażenie, że wielu ludzi zajmujących się polityką bądź uważających się za polityków, tak właśnie myślą.

„Polityka jest sztuką — napisał w „Dziejach głupoty w Polsce” Aleksander Bocheński — a nie nauką ścisłą, i nie nie potrafi zastąpić wrodzonej intuicji, wrodzonego geniuszu — za dużo jest bowiem przed każdym politykiem danych niewiadomych. Tak, ale ko-

nieczność interwencji intuicji nie może nam przekreślić nie mniej ważnej konieczności szukania danych ścisłych, tam gdzie nie ma niewiadomych, tylko są dane dobrze wiadome”.

Nie mam zamiaru nawoływać nikogo do odbierania komukolwiek prawa do piawienia się w złudzeniach, ale trudno mi szanować ludzi, którzy złudzenia biorą za realia i na tej podstawie budują polityczne prognozy. Nie wiem, czy tacy ludzie będą dobrze czuli się w domu zwanym Europa. Jestem za tym, aby obok siebie żyli i działali ludzie o różnych poglądach, ale mam też prawo do tego, aby niektóre poglądy nazwać nerealnymi, skoro nie mają nic wspólnego z realizmem.

4.

Jestem za tolerancją i poszanowaniem ludzi, z których poglądami nie muszę się zgadzać i chciałbym, aby oni również odpuścili mi się tym samym: tolerancją i poszanowaniem. Rozglądam się wokół siebie i jakoś tej — przyszłościowej już — tolerancji i wzajemnego poszanowania dużo nie widzę. Owszem są ludzie, którzy gotowi są rozmawiać i dyskutować, spierać się ostro z innymi, są też tacy, którzy chętnie pozwolą żyć i działać innym są i tacy, którzy zakładają, że nie wszyscy tak myślą i czują jak oni i nie mają zamiaru siłą nakłaniać ich do przyjęcia odwrotnych poglądów. Ale coraz więcej spotykam przykładów nietolerancji, obskurantyzmu, agresji opartej na odmienności poglądów, wiary, czy życiowej sytuacji.

Wstrząsnął mną przykład z Rembertowa, skąd niemal siłą wyrzucono ludzi chorych na AIDS. Wyrzuconym z Rembertowa chorym ludziom damo schronienie w budynku Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej do którego zresztą nie wpuszczono Marka Kotańskiego. Nie przypadkiem Beata Sobocińska w

„Kurierze Polskim” relację o tych wydarzeniach zatytułowała: „Idealy wpadły w błoto”. Tylko czy w takich zablokowanych butach z zablokowanymi ideałami wpuszczą nas do europejskiego domu?

Każdy powinien mieć prawo do demonstrowania swoich racji, ale jest gdzieś granica wolności demonstracji, której nie wolno przekroczyć. A u nas się ją przekracza, co TVP pokazuje nie tyle gwałtownie i pełnego informowania, co raczej dla ilustracji pewnych tez politycznych. Temat ten już przerabialiśmy i byłoby dobrze go nie powtarzać. Można demonstrować swoje racje, ale nie trzeba rzucać butelkami w okna Sejmu czy konsulatu obcego państwa, nawet gdyby to był konsulat ZSRR. Uważam też, że majątek byłej PZPR właściwie rozdysponuje i wykorzysta specjalnie powołana do tego komisja rządowa.

5.

Piotr Skarga Poweński żył w latach 1536—1612, był księdzem i znakomitym kaznodzieją. Jego „Kazania sejmowe” były adresowane do posłów i senatorów. Nie ma w tym żadnej aluzji. Chciałbym tylko zacytować jego myśli z kazania o prawach niesprawiedliwych.

„Które też prawo jednej stronie, albo jednemu stanowi służy, a drugiemu wadzi i psuje, nie ma być Prawem nazwane. Bo powszechne na pożytek wszystkich obywateli mają być ustawy. Jako głowa nie jednej ręce nie rozkazuje, co by drugiej szkodzić miało, ale co oboma pożytecznie jest, jako mówi Apostoł: — Członek w ciebie i drugi członek starania ma; i co jeden cierpi, wszystkie z nim cierpią. — Tak i w Rzeczypospolitej, która jest jedno ciało, nie ma nic jednemu stanowi pomagając, co by drugiemu szkodzić miało; bo by się tak wszystko ciało samo od siebie psowało”.

Wygłoszone to zostało w 1597 roku.

6.

Marzy mi się taka organizacja dziennikarska, która zajmowałaby się głównie obroną dziennikarzy. Zagrożeni są różni niebezpieczeństwa z upadkiem piśm i bezrobociem włączanie. Likwidacja cenzury stawia dziennikarzy przed zupełnie nieznanymi obszarami prawa karnego i cywilnego. Jawi się nam przestępstwo prasowe, po popełnieniu którego trzeba będzie stanąć przed sądem i ponieść tego czynu konsekwencje. Trzeba się tego wszystkiego już teraz uczyć. Mamy zresztą dwa stowarzyszenia dziennikarskie, mamy związki zawodowe. Jest komu się tym zająć, a tu nic.

A tu ukazuje się „Oświadczenie ZG SDP”, w którym — wprawdzie słusznie przestrzega się przed tym, że w niektórych pismach „nowa forma i nowy język pozostają tylko opakowaniem dla starej, totalitarnej treści”, ale też — gromi się „Radiokomitej” za politykę personalną oraz stwierdza się, że „pozostają na starych stanowiskach, a nawet bywają świeżo mianowani prasowi, radiowi i telewizyjni korespondenci zagraniczni, którzy ze względów na przeszłość polityczną i wyznawane poglądy nie mogą być jedynym źródłem informowania opinii publicznej o krajach, w których są akredytowani”. Nie jestem przekonany, czy rolę stowarzyszenia dziennikarzy jest ingerencją w wewnętrzne sprawy redakcji? I niezależnie od tego, czy to robi SDP czy SDRP. Zresztą od SDRP mam pretensje, że w tak trudnej sytuacji wykazuje tak mało aktywności. W Łodzi przynajmniej!

nawet nie wymienili pieniędzy. Wszyscy wolli siedzieć w klimatyzowanych kabinach, niż chodzić po mieście, gdzie obowiązuje godzina policyjna.

3 stycznia 1990 r. „Bolesław Krzywousty” wyszedł w morze w kierunku Massawy, ostatniego celu podróży. Miał zabrać makuchy przeznaczony dla Duńczyków i wracać do kraju. Kapitan Andrzej Sikorski anonosował wejście do portu na godzinę 21. Tu ślad się urwał. „Bolesław Krzywousty” nie wszedł do Massawy. Trzy dni potem MS „Adam Asnyk” sześćdziesiąt mil od portu odnalazł pusty statek. Nie zdołał jednak podpiąć bliżej, gdyż został ostrzelany.

17 stycznia Polska Agencja Prasowa podała na Associated Press, iż polską załogę wprowadzili partyzanci z Ludowego Frontu Wyzwolenia Erytrei. Będą oni ostrzeliwali wszystkie statki płynące do Etiopii. Niebawem przekonali się o tym Jugosłowianie.

13 stycznia PAP podała — powołując się na przedstawiciela PLO kapłana Marcinkow-

morza Dredda i jakiś statek, odległy o 10 godzin drogi, a Etiopcy przez ten cały czas młielsi. Myślę, że cała ich armia ma nas w nosie.

— Czy powodem waszego zatrzymania mógł być ładunek amunicji, jaki wyładowaliście w Hodejdie? Tak przynajmniej sugerowały niektóre gazety.

A. Sikorski: — W żadnym wypadku. Erytrejczy ci dyletanci nie mający o niczym pojęcia. W porcie w Sudanie można było łatwo dowiedzieć się z dokumentów, że tego ładunku na statku już dawno nie ma.

— Gdzie byliście panowie w momencie ataku? Czy trzymając wachtę widzieli zbliżające się łodzie?

A. Sikorski: — Wachtę pełnił pierwszy oficer, asystent pokładowy i marynarz. W momencie ataku znajdowałem się na mostku. Wachtę widzieli zbliżające się łodzie. Nikt niczego się nie spodziewał. Podpłynęli bliżej i ktoś z łodzi po angielsku krzyknął, że mamy się zatrzymać. Widac było uzbrojonych ludzi. Wydałem komendę zatrzymania maszyn i zawołałem przez tubę, że statek za-

prowinorycznej bazy czy posterunku. Partyzanci zachowywali się poprawnie. Nie byli agresywni, jedli tak samo podaje jedzenie jak my, a nawet gorzej. Po kilku dniach przetransportowano nas autobusem i ciężarówką do następnego posterunku, gdzie były kamienne rudery, zajęte przez szczurę, a stamtąd już toytami w góry, gdzie warunki bardzo się poprawiły. W niewielkim hoteliku było nawet 9 łóżek i prysznic. Opiekowała się nami młoda kobieta lekarz, absolwentka rzymskiej uczelni. Była zupełnie fanatyczna, podobnie jak większość Erytrejczyków. Dla nich walka z Etiopią to święta wojna. Tam dostaliśmy po raz pierwszy mięso i szczoteczki do zębów oraz skarpetki. Przez dwa tygodnie musieliśmy wzorem murzynskim czyścić zęby patykami.

— To był ostatni etap. Z tej bazy przewieziono was do Sudanu.

A. Sikorski: — Nim to jeszcze nastąpiło, zjawił się jeden z oficerów czy szefów, mówiący łamaną polszczyzną. Powiedział, że studiował w krakowskiej AGH i że całe nasze porwanie to pomyłka.

Chłopi nie chcą sprzedawać zboża, mąka zalega w magazynach, ale handel jej nie bierze do sklepów.

Dlaczego chleb drogi i nie ma mąki?

EUGENIUSZ IWANICKI

Piekarnia mieszcząca się u zbiegu ulic Lutomierskiej i Klonowej podlega PSS „Społem”. Jeszcze nie tak dawno tworzyła się przed nią prawie stumetrowe kolejki. Piekarnia słynie z dobrego pieczywa jest tu także stoisko garmażeryjne, gdzie kostka masła zawsze była tańsza niż gdzie indziej. Teraz kolejek nie ma, choć chleb nadal jest dobry.

— Myślę, że wynika to z ogólnej sytuacji ekonomicznej — mówi kierownik sklepu MAREK SZALUCKI — bo nasz chleb jest tańszy niż gdzie indziej. Stosujemy 15 proc. marżę, gdy w innych oddziałach piekarniczych wynosi ona 20 procent.

— Ile kosztuje u pana bochenek chleba?

— 0,8 kg chleba nyskiego (to chleb miesza-ny) kosztuje 2.550 zł, natomiast chleb zarzewski o tej samej wadze (jest to chleb pszen-ny) kosztuje 2.750 zł.

— Nie za drogo? Przecież to nawet nie cały kilogram!

— Na cenę chleba wpływają różne czynniki: koszt mąki, drożdży, soli, energii elektrycznej i paliwa, praca ludzi. Nasza piekarnia, której pełna nazwa brzmi „Oddział Produkcji PSS „Społem” w Łodzi, piekarnia nr 8” jest piekarnią typu rzemieślniczego...

— Co to oznacza?

— PSS „Społem” posiada dwa typy piekar- ni: rzemieślnicze i przemysłowe. Przy tych pierwszych są usytuowane sklepy, a więc nie trzeba chleba transportować, jednakże w odróżnieniu od przemysłowych, jest tu mniejsza produkcja, tu piekarz ogląda każdy bochenek. Na proces technologiczny składa się: prowa- dzenie ciasta, formowanie, rozrost i wypiek, to formowanie oraz nasadzanie kęsów ciasta na tron pieca odbywa się ręcznie.

— Chleb sprzedawany z samochodów jest dużo tańszy. Jak oni to robią?

— Oni mogą nabywać tańszą mąkę, produ- kują mniejszą ilość pieczywa, sprzedają bez- pośrednio z samochodu, a więc omijają po- średnika (np. sklep, którego utrzymanie jest bardzo kosztowne), ponadto nie mają nadbu- dowy, jaka jest w dużych przedsiębiorstwach. Chcąc jednak panu powiedzieć, że Oddział Produkcji PSS „Społem” prowadzi kalkulację na najniższym resortowym poziomie.

— Po prostu utrzymujecie ogromną admini- strację.

— Od 1 stycznia 1990 roku zmniejszono ilość działów i etatów pracowników niepro- dukcyjnych. Proszę jednak zwrócić uwagę, że nasz Oddział Produkcji jest największym zaopatrzeniowcem Łodzi w pieczywo.

— Chleb kupiony w pańskim „Lilipucie” po paru dniach staje się kruchy, łamliwy. Dla- czego?

— Jakość pieczywa zależy od mąki. To, że szybko się kruszy, jest wynikiem niewłaści- wej proporcji mąki występującej na rynku. Brak mąki żytniej spowodował, że używa się mąki pszennej.

— Więcej nadal chleb będzie się kruszył?

— Ostatnio pojawiła się możliwość sprowa- dzenia mąki żytniej z innych regionów Polski. Gdy zwiększy się ilość mąki żytniej w pieczy- wo, wówczas obniżymy cenę chleba.

— Skąd otrzymuje pan mąkę?

— Z Państwowych Zakładów Zbożowych w Pabianicach. Jest to najdroższa mąka. Dlatego pieczywo w Łodzi jest najdroższe.

— Ile pan wypieka chleba dziennie?

— My to liczymy tak: w ciągu 16 godzin pracy, a więc w ciągu dwóch zmian, wypie- kamy dwie tony pieczywa. W okresach przed- świętecznych obte zmiany pracują po 12 go- dzin każda i pieczywa jest wówczas trzy tony.

Zaszedłem do prywatnej piekarni HANNY ZAWIERKI przy ul. Limanowskiego 107.

— Półtorakilogramowy chleb kosztuje tu 4.800 zł. Uważam, że jest to za drogo.

— Gdybym mogła kupować mąkę bezpośrednio w młynie, byłoby taniej. Niestety, muszą brać ją ze Spółdzielni Branży Spożywczej, bo tylko oni gwarantują mi ciągłą dostawę. Każ- dy pośrednik chce zarobić, przeto spółdzielnia bierze od nas 2,5 proc. marży.

— Dlaczego nie szczerze pani handlować bezpośrednio z młynami?

— Dla nich jakaś tam prywatna piekarnia nie jest partnerem. Dla nas natomiast zna- czyłoby to dużo, bo dostawalibyśmy taniej mą- kę, a tańsza mąka, to tańszy chleb.

— Nie zanosz się na obniżenie ceny?

— Rzemieślnika ciska ze wszystkich stron, choć mówi się, że rzemiosło może rozwijać się bez przeszkód. Od 1 stycznia 1990 r. dla rzemieś- lników podniesiono cenę gazu — za 1 metr sześcienny płacimy 500 zł — a moje piece pra- cują na gazie.

Pojechałem do najbardziej rolniczego wo- jewództwa sieradzkiego, do Zakładów Zbozo- wo-Młynarskich Splehr „Sieradz”. Kierownik na dźwięk słowa „dziennikarz” zamachał ręką jakby chciał odpedzić od siebie napastliwą muchę.

— Nie wolno mi udzielać żadnych informa- cji — zaczął — Niech pan jedzie do dyrekcji do Zdunskiej Woli. Wszystko wyjaśnią.

— Proszę przynajmniej powiedzieć, ile i ja- kiego zboża pan kupił od rolników...

— Nie, nie, nie, nie nie powiem. Mnie takich rzeczy nie wolno.

Pojechałem do Zdunskiej Woli do „Okre- gowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Zbożowo- Młynarskiego „PZZ” w Łodzi z siedzibą w Pabianicach Zakłady Zbożowo-Młynarskie wo- jewództwa sieradzkiego z siedzibą w Zdunskiej Woli”. Po przeczytaniu zrydlu nogi ugły się przede mną: a tuż dyrektor odeśle mnie do Pa- bianic zasiedlając się tajemnicą lub mówiąc, że władze zwierzchnie zshroniły ma rozmaw- iać z dziennikarzami.

Dyrektor JERZY POWAŁSKI był rozmowny!

rozliczył przede mną wcale nieesołą panora- mę polskiego chleba.

— Skupujemy w tej chwili wszystkie zbo- ża z województwa sieradzkiego: pszenicę, żyto, pszenżyto, jęczmień, owies i rzepak.

— Dużo pan kupił?

— Tego roku akcja, mówię o przełomie 1989/90, jest bardzo słaba, wręcz katastrofalna. Powinniśmy mieć 70.000 ton, a kupiliśmy za- ledwie 35.000 ton, czyli połowę.

— Na ile to panu wystarczy?

— Na jakieś 3—4 miesiące. Potem nasze młyny staną.

— Zatem, co dalej?

— Muszę kupić albo z innych województw, albo z importu.

— W magazynach są pustki?

— Mamy 1.500 ton pszenicy i 2.500 ton żyta.

— A jaka jest zdolność produkcyjna mły- nów?

— Zdolność przemiałowa dzienna młynów PZZ wynosi 560 ton.

— Znaczący, że pszenicy starczy na trzy dni, a żyta na 5.

— Właśnie tak.

— Polska jest krajem urodzajnym, czego- jak czego, ale zboż mieliśmy zawsze pod do- statkami...

— Dlatego ciągle telefonuję do Bolesławca, Jarostawia, Opola, Bydgoszczy i pytam, czy mają nadwyżki? Jeśli mają, a z reguły mają, proszę by je przysłał.

— A jeśli nadwyżek nigdzie nie będzie, co wtedy?

— Zboże sprowadzamy także z zagranicy, jest tego 6 mln ton, głównie pszenicę, kukury- dzę, soję. Dostarczane jest głównie drogą mor- ską lub przez Medykę (choć od dwóch lat nie z tego kierunku nie nadchodzi) oraz przez Międzyzlesie z Austrii i RFN.

— Czy importowane zboża są tańsze od na- szych?

— Wręcz przeciwnie: droższe.

— Ile płaci pan rolnikom?

— Od 11 stycznia tego roku za kwintal żyta — 60 tys. zł. Jednakże w zależności od jakości, wilgotności, zanieczyszczenia cena może wahać się od 54 tysięcy do 64.800 zł. Do tego dochodzi koszt transportu. PZZ płaci rol- nikowi za każdy kilometr (za odległości do 10 km — 800 zł, od 15 do 30 kilometrów — 1.700 zł, potem za każdy następny kilometr — 40 zł). Natomiast za pszenicę płacimy 70 tys. zł za jeden kwintal, a jeśli jest ona wysoko jakości- ciwa to nawet 75 tys. zł, ale bywa, że na- wet i 81 tysięcy.

— Rolnicy narzekają na biurokratyczną ko- łomyjkę dotyczącą zapłaty. Może tu kwii przy- czyną, że nie chcą panu sprzedać zboża?

— Już nie ma. Było tak, że rolnik otrzymy- wał na rękę 80 proc. wartości, a pozostałe pieniądze, dopiero po ocenie laboratoryjnej dostarczonego zboża. Teraz wprowadziliśmy tak zwany skup bezpośredni, polegający na tym, że kierownicy skupu — z reguły są to ludzie z wieloletnim doświadczeniem — oce- niają organoleptycznie zboże i uzgadniają na miejscu z rolnikiem konkretną cenę. Więc wy- pisują kwit, a rolnik z kwitem idzie do ban- ku i otrzymuje całą sumę.

— Mimo to nie kwapią się z dostawami.

— Ano nie. Pożyczka zbożowa także nie wyszła, w jej wyniku przylaliśmy zaledwie 300 ton. Szukamy innych rozwiązań, powiedział- bym innych bodźców. Na przykład: za zboże dostarczone nam przez rolnika, za każde 100 kg żyta czy pszenicy, sprzedamy mu 40 kg otrąb po cenach zbytu.

— Jak na to zareagowała wieś?

— Trzeba poczekać, może się rozkręci.

— Ile pan zarabia na mące?

— Przedstawię to w procentach, tak bę- dzie jaśniej. Jeśli przyjmemy za 100 proc. ce- nę mąki i otrąb wyprodukowanych przez na- sze młyny, to to sto procent rozkłada się następująco: 82 proc. stanowią koszty surowca, 10 proc. zyska i 8 proc. koszty zakładowe, na które składa się cena transportu, płace, praca ludzi, energia elektryczna.

— Po ile sprzedaje pan mąkę piekarniom?

— Od 11 stycznia tego roku za mąkę ży- tną typ 720 płacę 985 tys. zł za tonę, za pszenną typ 650 — 2.265 tysięcy, za pszenną typ 850 — 1.980 tysięcy, za wrocławską — 2.462 ty- siące, poznańską — 2.561 tysięcy, krupczatkę — 2.738 tysięcy i za tortową — 2.858 tysięcy złotych.

— Co otrzymuje się z kwintala pszenicy?

— Otrzymuje się: 1 procent mąki tartej, 40 proc. — wrocławskiej, 2 proc. — krupczat- ki, 29 proc. — pszennej typ 850. Reszta to są otręby, które sprzedajemy po cenie zbytu po 500 tysięcy złotych za tonę.

— W Łodzi jest najdroższy chleb, a mąki w sklepach nie ma od kilku tygodni, jej ce- na nieustannie rośnie. Czy jest to związane z faktem, że nie może pan zakupić odpowiedniej ilości zboża?

— Zużył mąki w województwie sieradz- kim jest niższe niż w innych województwach, więc nadwyżkę sprzedajemy do Łodzi, Kato- wic, Piętkowa, Trybunalskiego, Przemysła, Kielc, Krosna itp. Będziemy sprzedawać także piekarniom prywatnym po cenach zbytu. Sed- no leży jednak zupełnie gdzie indziej: powstało bowiem zagrożenie, że trzeba będzie zatrzymać nasze młyny, bo nie ma zbytu na mąkę. Nikt jej nie chce kupować. Nawet te resztki zboża, które mamy, jeśli je przemielimy, nie mamy komu sprzedać. Taka jest prawda.

Wracałem do Łodzi i ciągle zastanawiałem się: mąki w sklepach nie ma, chleb drożeje z dnia na dzień, akup zboża jakby zastęgi, za- trzymał się w miejscu, magazyny są pełne mąki, młyny przestają mleć i lada dzień znie- ruchomią.

Nikt im nie powiedział, że tam jest wojna na morzu

skiego — że wszyscy Polacy ca- li i zdrowi są już wolni i za trzy dni będą w kraju. Ale do- piero 23 stycznia 1990 roku o godzinie 2 minut 20, po 19 dniach niewoli marynarze z „Bolesława Krzywoustego” wy- lądowali na gdańskim lotnisku Rębiechowo.

Rozmowa z kapitanem ANDRZEJEM SIKORSKIM i trzecim mechanikiem TADEUSZEM SOLTYSZEWSKIM.

— Piractwo morskie nadal kwitnie. Nie zmienili się też od wieków szczególnie niebez- bezpieczne skweny.

T. Soltyszewski: — Oficerem mechanikiem jestem właściwie na pół etatu. Pływam stosunko- wo rzadko. Na co dzień pracuję w biurze w dziale bhp. Dla- tego przeglądając protokoły wiem o wszystkich incydentach mających miejsce na naszych statkach. Przeważają pociąg- marynarzy w portach brazylij- skich i w Afryce Zachodniej. Zawsze najniebezpieczniejsi były jednak Malaje. Przed kil- ku laty jedna z naszych jedno- stek została zaatakowana przez piratów uzbrojonych w broń maszynową. To byli fachowcy szukający konkretnego ładunku, zapewne broni lub amunicji. Przejrzeli papiery i gdy upew- nili się, że niczego nie ma, bez słowa opuścili pokład.

— Przy szybkich łodziach mo- torowych byliście całkowicie bezbronni. Czy można było uniknąć tej sytuacji?

A. Sikorski: — Oczywiście, że tak. Wojna w tej części kon- tyntentu trwa już 28 lat, lecz do tej pory ograniczała się ona do walk w górach. Miasta kon- trolowali Etiopcy, reszta kraju partyzanci. Tymczasem Ludowy Front Wyzwolenia Ery- trei, który notabene ma swo- ich przedstawicieli w Port Su- danie, ogłosił przed naszym rejs- em stan wojenny na morzu. To była nowość. Poprzedni rejs „Bolesława Krzywoustego” tak- że prowadził na Morze Czerwo- ne, wówczas w Port Sudanie widziałem się z panem Pisar- czykiem, przedstawicielem PLO w tym porcie. Gdy przypytna- łem teraz, był już nowy przed- stawiciel, pan Broniarek. Zaden z nich nie wspominał o tak ważnej sprawie. Niczego nie powiedział agent PTC obsługi- jący nas w Sudanie. Milczała pani Lewandowska i jej zmien- nik pan Tarnowski prowadzący nas przez radio z Gdyni. Wszyscy oni wiedzieli lub powi- nni wiedzieć o groźbach LFW. Tak więc pośrednio za cały incydent odpowiedzialni są PLO.

— Aż dziw bierze, że pod no- sem silnej etiopskiej armii i doradców radzieckich, zaledwie 60 mil od Massawy, o pół go- dziny lotu helikopterem, pozos- tawiono was bez pomocy.

A. Sikorski: — Gdy o tym myślę, nie mogę ukryć irytacji. Trzy dni przed wypłynięciem nadałem depezę do Massawy, podając termin naszego wej- ścia. Po raz drugi zrobilem to 3 stycznia. Gdy nadawaliśmy sygnał SOS, odpowiedziała nam położona po drugiej stronie

trzyma się za kilka minut. Dro- ga hamowania wynosiła około kilometra. Ledwo powiedziałem, zaczęli strzelać. Z broni maszy- nowej, z granatów i z dział- ka bezdrotowego. Ogłosiłem alarm pożarowy.

T. Soltyszewski: — Właśnie skończyłem wachtę i brałem w kabinie prysznic, gdy usły- szałem huk. Pomyślałem, że coś się stało w maszynowni, zało- żyłem spodenki i zbiegłem na dół. Był tam już starszy me- chanik Wojciech Makowski i kole- dzy z obu wacht, obecnej i mojej. Maszyna stała. Po chwili usłyszałem drugi, trzeci strzał, wiedziałem już, że zo- staliśmy zaatakowani. Strzały dochodziły z prawej burty, schowaliśmy się więc za silni- kiem z lewej burty. Zapalili się ładownie. Mieliśmy prawie półtora tysiąca ton bawełny. Pociąki — przebijały burty i na wyłot przechodziły przez nad- budówki. Przesztrzelono rury doprowadzające w chłodni freon. W połączeniu z ogniem wytworzył się fozgen, czyli gaz bojowy używany podczas pierw- szej wojny światowej. Uważa- jąc, wymknęliśmy się po scho- dach na górę i ułożyliśmy na pokładzie. Minęły już dwie go- dziny, pokład stawał się gorący, że nie można było na nim wy- trzymać, a tamci cały czas strzelali. To były tysiące pocisków.

— Zdecydowaliście się na opuszczenie statku.

A. Sikorski: — Nie mieliśmy wyjścia. Powiedziałem ludziom, że schodzimy, bo inaczej zginiemy. Musieliśmy zaryzykować. Zeszliśmy do lewej szalupy. Z łodzi krzyknęto, żebyśmy opu- ścili statek. Oddano serię z broni maszynowej. Było już zupełnie ciemno.

T. Soltyszewski: — Podpły- nęliśmy i część osób przesiadała się do ich łodzi. Dowódca ka- zał nam wrócić po spuszczonej tratwie. Sami bali się podpły- nąć. Pytali skąd jesteśmy. Miel- liśmy zawieszoną banderę i fla- gę etiopską. Na znak do ja- kiego kraju płyniemy. Ta flaga szczególnie ich rozłozowała. Ka- pitan i pierwszy oficer powie- dział: — Poland. Wzięli nas za Holendrów. Kilka razy pytali, czy na statku nie ma marynar- czy z innego kraju. Wydaje mi się, że wzięli nas za statek ro- syjski.

— Zaczęła się dwudziestod- niowa tułaczka. Czy mieliście państwo chwilę zwątpienia?

T. Soltyszewski: — Przez dwie godziny nikt nie został tra- fiony. To granicy z cudem. Erytrejczy też nie chcieli w to wierzyć. Tylko drugi oficer został ranny rykoszetem. Ja- kimś odłamkiem metalu, chyba z kadłuba lub nadbudówki. Gdyby w czasie strzelaniny zginęło kilka osób, to zlikwidu- waliby wszystkich dla zatarcia śladów.

A. Sikorski: — Prócz ofiera- byli to 17—18-letni chłopcy. Bez wyobraźni, nie znający się na nawigacji.

T. Soltyszewski: — Pierwszą noc spędziliśmy na plaży bez ognia i jedzenia. Mieliśmy ty- lko herbatę i to, co kto zdążył wziąć ze statku. Nocowaliś- my pod wielkim drzewem. Znowu załadowano nas do łodzi i po kilku godzinach (płynęliśmy na północ) umieszczono w jakiejś

— Prawdziwy udział w wa- żnym uwolnieniu mieli Amery- kanie, a nie starania PLO i MSZ.

T. Soltyszewski: — Wiem od żony, że Lech Wałęsa i ksiądz Henryk Jankowski interwenio- wali u amerykańskiego konsula. Przed naszym uwolnieniem spotkaliśmy dwóch Ameryka- nów i dziennikarkę „New York Timesa”.

A. Sikorski: — Podczas spot- kań przedstawiciele PLO z na- szymi rodzinami podawano kłamliwe informacje, jak choćby ta, że już jesteśmy wolni, gdy tymczasem w ogóle się na to nie zanosilo. Podobno robiono to dla naszego dobra, żeby wy- mочь zwolnienia na LFW. Prze- cież to bzdura. Przez niekompe- tencję dyrekcji ukazało się w prasie wiele fałszywych publi- kacji, jak choćby niedopusz- czalny artykuł w „Przeglądzie Tygodniowym”!

— Wiele osób straciło dużo pieniędzy i wartościowych rzeczy, lecz o ile wiem PLO na tym zyskało.

A. Sikorski: — Zwyczajowo statek ubezpieczony jest na su- me dwukrotnie wyższą niż jest wart. Podobnie jak towar. „Bo- lesław Krzywousty” był wysłu- żony, wiadomo było, że niedłu- go zejdzie z linii. Koledzy, któ- rzy wzięli na rejs zaliczki do- larowe, wszystko stracili, ja miałem ze sobą pieniądze zarob- ione podczas trzech ostatnich rejsów. Za każdy dzień w mor- zu dostawałem 31 dolarów, razem uzbierało się około 3 ty- sięcy. Chciałem w drodze po- wrotnej kupić coś dla domu. Jeszcze nie tak dawno dodatki dolarowe były kilka razy ni- ższe, a pensja kapłana to 200 tys. zł.

T. Soltyszewski: — Zona star- szego mechanika miała japoń- ski telewizor, futro z norek i biżuterię.

— Czy PLO wynagrodzi strac- ty?

A. Sikorski: — Na razie wie- my, że za okres niewoli zapła- ca nam jak za pobyt w morzu. Słyszałem, że armator nie za- płaci większego odszkodowa- nia niż po 2 miliony na osobę. To przecież przy zainstalnych stratach i jednocześnie zyskach firmy śmieszna suma. Do tego, że PLO nie dba o ludzi, jestem przyzwyczajony. Kapitanem je- stem już od 15 lat. Czas uzdro- wić sytuację w naszej branży.

— Czy będzie postępowanie w Izbie Morskiej?

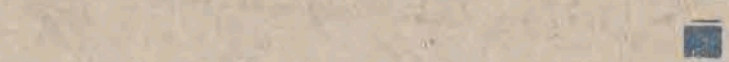
A. Sikorski: — Tego nie wiem. Według mnie należy zo- stosować przepisy o stracie wo- jennej, a wówczas postępowanie w Izbie Morskiej jest zbęd- ne. Ja w każdym razie nie muszę się niczego obawiać, zro- biłem wszystko co mogłem i powinienem. Był to mój ostatni rejs. W listopadzie 1989 r. skoń- czyłem sześćdziesiąt lat.

KRZYSZTOF RÓŻYCKI

**GRZEGORZ
GAŁASIŃSKI
PREZENTUJE:**



45 — lat DŁ



Kiedy w sierpniu 1980 roku przekroczyłem bramę zajezdni przy ul. Kraszewskiego i Andrzeja Słowik, wówczas nie znany jeszcze kierownik autobusowy pokazał mi postulat strajkujących pracowników MPK pytając, już zupełnie prywatnie, jakie są szanse na zwycięstwo, odparciem bez namysłu: uzyskanie wszystkiego, prócz jednego — niezależnych związków zawodowych. Znałem dobrze system, w którym przyszło nam żyć i nie wierzyłem, że to jest możliwe. A jednak w porozumieniach gdańskich ruch zawodowy uwolnił od zależności partyjnej znalazł prawo obywatelstwa. Nie wiem, co robi dzisiaj ówczesny wicepremier Mieczysław Jagielski, który podpisywał porozumienia w imieniu strony rządowej, nie spodziewał się chyba jednak, że będzie to w istocie wyrok śmierci na utrwalony od ponad trzydziestu lat system sprawo-

stycznej Polski prowadzą walkę o władzę i już władzę tę zagarniają. Jako swą siłę uderzeniową kontrrewolucja wykorzystuje ekstremistyczne skrzydło „Solidarności”.
To bodaj francuski, socjalizujący filozof Georges Sorel, sformułował słynną maksymę: Marksizm, wykończył marksistów. Marksizm, pojmowany zresztą częściej jako hasło niż teoria, najczęściej zaś jako wyznacznik wiary, ulegał sakralizacji i mifikacji. Nie mogło być zresztą inaczej skoro w klasycznym marksizmie mamy do czynienia z afirmacją praktyki jako źródła, celu oraz kryterium prawdziwości myśli teoretycznej. Praktyka była widoczną gołym okiem, w krajach realnego socjalizmu zaczęto więc gloryfikować teorię, wykorzystując ją jako protezę do uzasadnienia rządów przemocy, nazywanych eufemistycznie dyktaturą proletariatu.
Stąd właśnie to stwierdzenie wytrawnego propagandzisty ze

podstawowych haseł: Władza Radom, kłama chłopom — Włodzimierzowi Leninowi, który zdmknął już Rady i przygotował wywiad się do zniszczenia chłopstwa, nie pozostało nic innego jak zlikwidować fizycznie uczestników rewolty. Edward Gierek nie posłał do stoczni czołgów, a jego następcą Stanisław Kania „gasli” falę rozlewających się po Polsce strajków obłędami i przekupstwem, nakręcając sprężynę inflacyjną. Historyczna zasługa „Solidarności” polega na tym, że odsłonięty został nihilizm moralny „socjalizmu realnego” — korupcja, bezprawie, wąsko-grupowy egoizm, pogarda dla osoby ludzkiej, cynizm, nadużywanie narodowych symboli. Wykreowanie w owym czasie Albina Siwaka na robotniczego działacza przez posłusznego PZPR środki masowego przekazu było wyzwaniem dla autentycznych robotników, których pałowano na ulicach polskich miast. W tym samym czasie, gdy prowadzono rozmowy z przywódcami związkowymi, w prokuraturze powielano tajną instrukcję jak zwalczać opozycję, a w sztabach wojskowych układano plany, korygowane przez oficerów radzieckich, wprowadzenia stanu wojennego.

Dla PZPR groźniejsza była wówczas idea „Samorządnej Rzeczypospolitej” niż domaganie się przez Leszka Moczulskiego suwerenności narodowej. Proces przywódców KPN, zamkniętych i wypuszczanych i nieudolnie oskarżanych przez osławioną prokurator Bardona, zwaną ironicznie przez obserwatorów „Bardotką”, która posługiwała się epitetami albo pomówieniami, był w istocie kabaretem politycznym. Program „Solidarności” był próbą rzeczywistego poszerzenia suwerenności wewnętrznej, odebraniem nomenklaturze kolejnego skrawka dla sił niezależnych. To dlatego podczas Zjazdu „Solidarności” na redzie gdańskiego portu stały radzieckie okręty wojenne, a na ulicach Trójmiasta spotykało się co krok patroli milicyjne w hełmach i siatkach maskujących — mundurowi chodzili w siedmiuosobowych grupach spoglądając wrywająco w twarze przemyskujących przechodniów. Ale jednocześnie na murach ogłądało się napisy: Wolne Miasto Gdańsk. Nie nawiązywały one do powersalskiego porządku na tej ziemi, tylko mówiły o dniu dzisiejszym, o obradach w hali „Oliwii”, skąd rozległo się słynne „Posłanie do narodów Wschodu”. Było to, w owym czasie, wezwanie przedwczesne, usłyszeli je raczej Breżniew, Honecker, Husak, Ziwick, Kadar i Ceausescu — to wtedy, jak sądzi, zapadły ostateczne decyzje o wprowadzeniu stanu wojennego.

Powodzenie operacji wojskowej uspiło czujność „strażników wiecznego ognia”, którzy ocalili swoje posady. Triumf był zupełny i jak im się zdało — wieczny. Coświałej si w obozie zwycięzców rozumieć, co prawda, że jest to ucieczka do przodu: kryzys gospodarczy pogłębił się, „Solidarność” została rozproszona, ale nie zlikwidowana, w parze z wdzięcznością „Wielkiego Brata” nie nastąpił wzrost zaufania do krnąbrnych Polaków, na Zachodzie, od lewicy do prawicy, autorytet totalitarnej władzy równał się praktycznie zeru. Jednocześnie PZPR dokonała kolejnego samobójczego kroku usuwając ze swych szeregów tych wszystkich, którzy nie okazywali entuzjazmu dla rozwiązania słowem. Nic też dziwnego, że w pewnym momencie masy członkowskie okazały się bardziej konserwatywne od kierownictwa: partia marksistowska okazała się politycznym trupem przebranym dla niepoznaki w generalskie mundury, które okrywały już tylko szkielety.

Byłem na sumie w kościele św. Brygidy w tamtym okresie, gdy Lech Wałęsa uchodził za osobę prywatną, co z taką luźnością powtarzał Jerzy Urban. Kiedy w procesji pojawił się „Lechu” wraz z panią Danutą, cały kościół jakby oszalał: ludzie przeciskali się między ławkami i tłumnie dążyli do nawy, którą akurat przechodził. Cierpiał na tym może liturgia, co było smartwieniem księdza Henryka Jankowskiego, ale zyskiwała Sprawa.

Sierpień 1980 roku nie został w Polsce zapomniany, chociaż do głosu dochodziło już nowe pokolenie, które nie znało z autopsji „tych nocek sierpniowych nie przespianych”, jak powtarza przesienka, znało za to aż nadto dobrze areszty milicyjne, sprawiedliwość trybu przyspieszonego, rozpasaną pychę partyjnych „gospodarzy terenu”. Młodzi radykałowie, którzy pisali na parkanach „Wałęsa — komuch”, kiedy eli-

ty „drużyny” zasiała co „Okrągłego Stołu”, stali w istocie na tych samych pozycjach, co chwilejszą się, dosłownie i przenośnie, w posadach PZPR. Komuniści sądzili, że porozumienie z opozycją da im chwilowe wytchnienie. Uliczni radykałowie uważali, że ten polityczny kontrakt wzmocni upadający reżim. Jedni i drudzy nie zdawali sobie chyba sprawy, co to znaczy wyjęcie kilku cegiełek z muru, gdzie już dawno skruszała zaprawa. Lech Wałęsa zagrał jak gracz pokerowy zagarniając cały bank — 10 milionów członków „Solidarności” rozproszonych przez stan wojenny, wraz z rodzinami, odnalazło się przy urnach wyborczych. Dołączyli do nich ci wszyscy, którym użycie przemocy przeciw własnemu narodowi dało wreszcie wiele do myślenia. Po raz drugi w powojennej historii, PZPR skupiła większość Polaków, tym razem, w odróżnieniu od Października 1956 r. — przeciwko sobie.

Tryumf „Solidarności” był tak zaskakujący dla nomenklatury, że niektórzy aktywiści domagali się ponownego wprowadzenia stanu wojennego. Tzw. opozycja demokratyczna była również zaskokowana rozmiarami zwycięstwa, toteż kiedy Adam Michnik rzucił hasło: „Wasz prezydent, nasz premier”, spotkało się ono zrazu z chłodnym raczej przyjęciem wszystkich sygnatariuszy „Okrągłego Stołu”, a nie tylko sprawującej władzę koalicji partyjnej. Rychło jednak okazało się, że jest to jedyna realna perspektywa, pozwalająca uniknąć najgorszego.

Faktyczne przejście kierownictwa nawy państwowej postawiło „Solidarność” w trudnej sytuacji — skoncentrowanie się na problematyce naprawy Polski, z ław poselskich i senatorskich, a także foteli ministerialnych nie sprzyjało odbudowie związku zawodowego, będącego dotychczas główną siłą napędową opozycji demokratycznej. Wiele aktywnych działaczy wyemigrowało, inni stracili zainteresowanie sprawami publicznymi i uciekli w prywatność, jeszcze inni stanęli w opozycji do Lecha Wałęsy. Sama opozycja demokratyczna, wcześniej zjednoczona pragnieniem zmian w Polsce, teraz podzieliła się na parlamentarną i pozaparlamentarną, pozabawioną większym wpływem. Świadczy o tym nieudana jak dotychczas próba odbudowy partii politycznych, które ze względu na swą liczebność są wciąż jeszcze raczej klubami dyskusyjnymi, o czym świadczy ich zjazd założycielski. Jest to zresztą nie tyle dowód na apatię społeczną, co niechęć do wszelkiego partyjniactwa, że przypomnę ulubione słowo Józefa Piłsudskiego.

W pejzażu zachodzących zmian wciąż mamy do czynienia z swoistym dualizmem — obóz „Solidarność”, do którego dołączyły wyemancypowane ZSL i SD, jest wciąż przeciwstawiany masie upadłościowej PZPR. Gdyby stan ten uległ utrwaleniu, demokracja nie uzyska nowych impulsów i groziłaby nam rzeczywistość stagnacji. Dlatego parcie do szybkich wyborów samorządowych odczytuję nie tylko jako próbę rozbięcia partyjnego betonu na średnich szczeblach. Jest to w istocie zabieg transferyny mający podtrzymać procesy demokratyzacyjne. Jeśli wybory nie staną się kolejnym zwycięstwem jednego tylko ugrupowania, jeśli zamiast tryumfalizmu Komitetów Obywatelskich stworzą szansę reprezentacji także innych sił znajdujących się dziś poza parlamentem, samorząd terytorialny stać się może wielką szkołą społecznego myślenia.

Wśród wielu „weteranów” Sierpnia 1980 roku, wśród ludzi ciężko doświadczonych przez stan wojenny słyszę dziś często narzekania, że „Solidarność” nie jest już tą dawną, „naszą”, „Solidarnością”, że mniej w niej miejsca na solidarność ludzką. Dziesięć lat to sporo w życiu człowieka, zastanawiam się jednak, czy przez tych rozczarowanych przemawia tylko nostalgia za utraconą bezpowrotnie młodością. Gorszące niekiedy walki personalne, które towarzyszą wyborom w niektórych regionach, rozmaite deklaracje i kontrdeklaracje, a także aneksy do nich budzą zrozumiałą nieufność tych wszystkich, którzy chętniej widzieliby przeciwników raczej poza własnym szeregiem. Ostatnio obiektem takich ataków stał się choćby Andrzej Słowik, nawet po odniesieniu wyborczego zwycięstwa.

„Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki”, głosił filozof i nie był nim bynajmniej Karol Marks. Wiele to tłumaczy, ale czy wszystko?

Skomplikowany i wielce złożony nasz pejzaż polityczny.

Miejsce „Solidarności”

KONRAD FREJDLICH

wania władzy. Obowiązywało wówczas hasło: „Socjalizm tak — wypaczenie nie”, któremu „Solidarność” przeciwstawiła zasadę samoograniczającej się rewolucji. W publicystyce reżimowej, sterowanej przez Stefana Olszowskiego, który wyrzucił z pracy redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych” za opublikowanie na łamach tej młodzieżowej gazety wywiadu z Jackiem Kuroniem, pojawiły się natychmiast wołania ostrzegawcze o pelzającej kontrrewolucji. Wcześniej, równie żądzie tropiono „raczkujących rewizjonistów”: w dyspozycjach wychodzących z Biura Prasy KC PZPR miała się przejawiać zbiorowa mądrość klasy robotniczej.

Feliks Kuzniecowa, I sekretarz organizacji partyjnej Związku Pisarzy Radzieckich, któremu wyświetliłem film „Robotnicy'80” dokumentalny zapis ze strajku w Stoczni Gdańskiej, powiedział po projekcji tak: — robotnicy to wielka siła, ale zależy, kto nimi kieruje. W cyklu alarmistycznych reportaży z Polski, opublikowanych następnie na łamach „Literaturnej Gazety”, nie zająknął się ani słowem o pobycie w Łodzi, przedstawił w nim natomiast obrazy, których w naszym kraju na pewno nie mógł zobaczyć. W relacjach tych „Solidarność” jawiła się jako konspiracyjna siła zbrojna, gotowa uderzyć w miękkie podbrzusze imperium radzieckiego, odcinając linie komunikacyjne do NRD. Relacje te mogły konkurować tylko ze sprawozdaniami korespondenta Czechosłowackiej Agencji Telegraficznej, p. Lipawskiego, z którym miałem okazję zetknąć się następnie, późną jesienią 1981 roku w kulturalnych i Zjazdu „Solidarności” w gdańskiej „Oliwii”. Rewelacje te chętnie przedrukowywano za Bugiem, dodając własne komentarze. Nie zdziwiło mnie też specjalnie, że gdy na krótko przed porozumieniami „Okrągłego Stołu” przebywałem w Związku Sowieckim, znajomi pisarze pytali mnie półkonspiracyjnym szepem, co się dzieje z... generałem Lechem Wałęsą. Wyobraźli sobie zapewne, że autorytetowi generała Wojciecha Jaruzelskiego może się przeciwstawić tylko inny wojskowy.

Tymczasem siła „Solidarności” brała się z programowego wyrzeczenia się siły. Do związku dołączali wszyscy niezadowoleni, których były miliony. Był to masowy odruch protestu, nie tylko „ludu pracującego miast i wsi”, używając sformułowania ówczesnej Konstytucji, ale także inteligencji, której nie udało się, jak w marcu 1968 roku, zdyskredytować w oczach robotników. Nie też dziwnego, że zaniepokojony Leonid Breżniew, wystosował 12 czerwca 1981 roku w imieniu KC KPZR słynny list do KC PZPR, w którym pobrzmiewały jawne pogroźki:

„Nie kończąc się ustępstwa wobec sił antysocjalistycznych i ich żądań doprowadziły do tego, że PZPR krok za krokiem ustępowała pod naciskiem wewnętrznej kontrrewolucji. Obecna sytuacja jest nie tylko niebezpieczna, ale wręcz doprowadziła kraj do punktu krytycznego. Wrogowie socjal-

Związku Pisarzy Radzieckich, Feliks Kuzniecowa: — tak, robotnicy to wielka siła, ale zależy, kto nimi kieruje. Bastionami „Solidarności” były przeciw sztandarowe zakłady przemysłowe PRL, noszące najczęściej imię Włodzimierza Lenina, takie jak Stocznia Gdańska czy Nowa Huta. W czasie kryzysu bydgoskiego, na tle pobicia przez milicję trzech działaczy związkowych w marcu 1981 roku, Komitet Założycielski „Solidarności” w Łodzi, przygotowując się do proklamowania strajku generalnego, przelości swą siedzibę do Zakładów Przemysłu Bawełnianego, noszących imię innego rewolucjonisty, Juliana Marchlewskiego, członka Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski podczas wojny bolszewickiej 1920 roku. W kręgu dziennikarzy sympatyzujących z „Solidarnością” padło wówczas pytanie: — a w której fabryce, w godzinie próby poszukują schronienia władze KŁ PZPR?

„Solidarność” była wtedy silna i zjednoczona, krzywdą pobitych działaczy świeża, a taktyka władz państwowych, które obiecały bezstronnie wyjaśnić incydent — przejrzyste prowokacyjna, toteż kiedy Lech Wałęsa zdecydował się, mimo to, odstąpić od idei strajku powszechnego, wielu we własnym obozie zarzucało mu chłonność, a niektórzy nawet zdradę. To wtedy po raz pierwszy w zwartym bloku „Solidarności” ujawniły się podziały daleko głębsze niż proste rozróżnienie między radykałami a umiarkowanymi. Nie był to bowiem spór o taktykę, ale o pryncypia.

„Solidarność” okazała się w swoim początkowym okresie przeciwnikiem dla PZPR dlatego tak trudnym, że w istocie zaczęła rewindykować odwieczne socjalistyczne wartości zawłaszczone przez komunistów i starte na miazgę przez zdegenerowaną nomenklaturę: sprawność, praworządność, sprawiedliwość, demokrację. Kiedy w Kronsztadzie zbuntowali się marynarze, bohaterowie rewolucji październikowej, domagając się realizacji dwóch jej



MICHAŁ
WARDESZ-
KIEWICZ

Obywatel Ulro

nie chce się pracować ani kraść czy zabijać do krzywd układać zakończenia od zaginionych początków tak wiele trzeba by zmieniać i nie ode mnie zależy światło księżycy i prawda niczyja i gdy wartość jej uniwersum w następniku starsze się moja swizna jak pragnienie sukcesu co wspominać czy msze majowe dzieciństwa w kadzidle posępnego seksu albo miłość wywrócona klepsydra z piaskiem na godzinie nad grobem intensywność placzu bliska stopnia pokrewieństwa i diuś się wyludnia aż do ujścia linii życia w gline

Półka z książkami

Prominenci na emeryturze

Bestseller ostatnich miesięcy: „Oni” Teresy Torańskiej. Jest to magnetofonowy zapis rozmów z siedmioma działaczami, którzy mieli przełomny wpływ na kształt powojennego oblicza politycznego PRL. Już same nazwiska mówią za siebie: Jakub Berman, Edward Ochab, Wiktor Kłosiewicz, Roman Werfel, Leon Chajin, Stefan Kisielewski, Julia Mine. Z lektury wylania się obraz, który dziś jeszcze budzi niepokój, zmusza do stawiania na nowo pytań: jak to było możliwe?

Polecam gorąco tę książkę, będącą czymś więcej niż tylko dokumentem.

Teresa Torańska: „Oni”. Agencja Omnipress 1989. Str. 428. Cena 7.000 zł.

E. I.

Barwny świat

MAREK BRUK

„Erika zdradza tajemnice” — to kolejna książka Adama Ochockiego, która ukazała się ostatnio nakładem Wydawnictwa „Res Humana”. Adam Ochocki to na naszym gruncie (nie tylko) dziennikarz z największym stażem zawodowym (wystartował w prasie łódzkiej w 1931 r.). Ale nie to wyróżnia go wśród wykonujących ten zawód. Z równym powodzeniem uprawia bowiem inne gatunki pisarskie — satyrę, tłumaczenia, scenariusze filmowe i wreszcie piarstwo pamiętnikarskie. Adam Ochocki ma w swym dorobku zbiory satyryczne „Skąd my się znamy” i „To ci kwiatki”. Jest autorem i współautorem kilkudziesięciu zrealizowanych scenariuszy filmów krótkometrażowych, m.in. popularnej serii „Zaczarowany ołówek”. W 1948 r. opublikował wspólnie z Wacławem Drodowskim wierszowany album przygód „Włoka i Waska”; jest tłumaczem humorerek i satyr z języka rosyjskiego i niemieckiego, m.in. zbioru Awerzenki „Pies łachocuchwy” (omawiane go na naszych łamach). Jest wreszcie autorem

GABRIELA SARNECKA, absolwentka Studium Baletowego przy Operze Łódzkiej i Wydziału Aktorskiego PWSFTiT w Łodzi (z 1973 roku), czolowa aktorka łódzkiego Teatru Powszechnego, bohaterka musicalu „I DO, I DO” („Dwa razy tak”), a obecnie tytułowa „Sasiadka” w najnowszej premierze tej sceny.

— I znowu grasz w dwuosobowej sztuce na scenie Teatru Powszechnego, to duże wyróżnienie dla aktorki i odpowiedzialność za powodzenie spektaklu. Jak czujesz się w takich kameralnych sztukach?

— Bardzo dobrze. Dają one szczególnie duży wachlarz materiału aktorskiego. W momencie, kiedy aktorka przestaje być dziewczyną, a staje się kobietą jest jej znacznie trudniej zaistnieć w zawodzie. Ponadto — gdzie te sztuki z dużymi, ciekawymi rolami

nie (w Twojej interpretacji) jako Arlekin w operze detektywistycznej „Drewniaczek”. Czy swoje dzieci będziesz również wcieliła w wczesnostronnie przygotowywała do artystycznych profesji?

— Nie mam tyle czasu, ile wtedy miała go dla mnie moja mama. Ale chciałabym znaleźć czas dla córki, aby widoczny już potencjał rozwijać i ukierunkowywać, a dla siebie osobiście znaleźć czas, by znów (po kilkunastu latach) stanąć za sztalugą (ukończyłam Licencjat Plastyczny w Łodzi). Być może będę „Lutczynem” dla swojego syna, który ujawnia dosyć wyraźne zainteresowania plastyczne.

— Wróćmy do teatru. Jak czujesz się na scenie w „Sasiadce”, mając przez dwie godziny za partnera własnego męża?

— Jak w życiu.
— Czy próby „Sasiadki” odbywały się także w domu?
— Nie było czasu.

Kiedy aktorka przestaje być dziewczyną...

— Rozmowa z GABRIELĄ SARNECKĄ.

dla aktorek w średnim wieku? Dla mnie oba dwuosobowe spektakle, stały się sprawdzianem moich umiejętności i doświadczenia ze strony dyrektora teatru. Warto wiedzieć, że taki spektakl jest trudny nie tylko dla wykonawców, ale dla całej ekipy realizującej przedstawienie, która za kulisami przez cały czas nas wspomaga. Gdyby nie ich ofiarność, to pewnie nie byłoby szans na zaistnienie tego spektaklu.

— Jesteś nie tylko aktorką, ale tancerką, także śpiewasz. Czy uważasz się za aktorkę w pełni wykorzystaną?

— Moim marzeniem było zostać aktorką musicalową. Na przeszkodzie stała moja trema związana z tzw. „uchem”. Ale generalnie mogę odpukać w nie malowane drewno i stwierdzić, że nie mam powodów do narzekania.

— Do artystycznego zawodu przygotowano Cię od dziecka, pamiętam pierwsze popisy taneczne, łyżwiarskie, a później aktorskie w teatrze młodzieżowym prowadzonym przez Annę Musiał w łódzkim Pałacu Młodzieży, gdzie miałem okazję partnerować Kolombi-

listów nie ma podobno trudności w ich fachu, czy rzeczywiście tak jest?

— Różna jest skala trudności, bo jak porównać moje zadania z musicalu „Dwa razy tak” z tytułową „Barbarą Radziwiłówną”? W pierwszej gram, tańczę, śpiewam z orkiestrą w kanale, w drugim gram rolę na wskroś dramatyczną w bardzo bliskim kontakcie z widzem. Duża i kameralna widownia to różne rodzaje stosowania środków aktorskich i różna odpowiedzialność.

— Czego jeszcze nie zasmakowałaś w aktorstwie?
— Totalnej klęski. Lubie ten zawód.
— To w takim razie — jak smakujesz sukces?
— Tego smaku też nie znam.

— A która z tych trzech ról była najtrudniejsza?

— Najtrudniejsza była tytułowa „Sasiadka”, szczególnie poprzez spletnięcie zadań, nagromadzenie krakowców stanów emocjonalnych i samą stronę techniczną, np. ilość zmienianych kostiumów (kilkanastu) i tu należy się uklon w stronę pani Bożeny Leszczyńskiej, która mnie nie tylko przebiera, ale wspomaga moją pamięć.

— Dla prawdziwych profesjona-



PESTKI DYNI

W jednej z restauracji Singapuru wydano obiad składający się z 20 dań i będący kopią szczególnie uroczystych obiadów, jakie jadali cesarstwo z dynastii mandzurskiej Tsin. Najkosztowniejszym daniem był „morski grzybek duszony po cesarsku”. Jego przygotowanie trwało dokładnie 10 lat i 10 godzin. W tym czasie stworzenie to jest w specjalnych warunkach suszone, a następnie przez 10 godzin duszone w glinianym garnku ze świńskiej skóry, szynką i kurczakiem. („Pan”)

Wiele z ducha tych kulinarnych zwyczajów przeniknęło również do sztuki Dalekiego Wschodu; także zupełnie inne poczucie czasu, niż w rejonie Morza Śródziemnego czy gdzieś indziej...

Poeta i pisarz Camillo Jose Cela w 1980 roku rozmawiał z Joannem Mirow. Był to jeden z ostatnich wywiadów wielkiego hiszpańskiego malarza, jakie ten udzielił przed śmiercią. Ukazał się w tygodniku „L'Express”.

C.J.C.: Czy pamiętasz Joana jak twój ojciec sądził w Montroig zielony groszek?

Mirow: Zielony groszek daje kwiaty, wdzięczne, łagodne, delikatne i tajemnicze. Nikt prawie nie potrafi się wsłuchać w poetycki lament kwiatu zielonego groszku.

C.J.C.: Który wyje jak wilk?
Mirow: Być może. Albo jak małe dziewczynki, które mają umrzeć z poderzniętymi gardłami, zanim wstanie dzień. W chwili po tym rozwinięciu się pierwszy pęk na najwyższej gałęzi figowego drzewa i wówczas będziemy zjawieni. Śmierć jest rozrywką; równa chwili nieuwagi, na którą płaci się fałszywą monetą. Śmierć czai się, kiedy zielone pęki drzewa figowego i kiedy śpiewa pierwsza żaba.

C.J.C.: Czy podoba ci się tragedia grecka?
Mirow: Tak; kolorowy ołówek pozostawia za sobą brudy na papierze i ptaki rysują nim swa, niepojęte orbity wokół dymu z kominów, skarbca i wyłożonych skrzydłach przypomina mi, że to jest wystrój tragedii. Nikt nie chce zamknąć oczu, bodaj na chwilę, mimo że kiedy oczy są zamknięte, stają się widoczne linie ręki Boga, pilotującego tętna umarłych. Niekiiedy od czuwam lęk na myśl, że imię rzeczy mogłoby mieć więcej siły, niżeli sama rzecz. To nie jest groźne. Przypomnijmy sobie, że każda definicja jest niebezpieczna.

C.J.C.: Kto to powiedział?
Mirow: Nie wiem. Nie wiem prawie nic. Co się mnie tyczy, wystarczy mi otworzyć uszy i serce.

C.J.C.: A czy?

Mirow: Oczywiście. Nikt nie chce zamknąć oczu bodaj na chwilę i w tym jest błąd. Życie się pieni, dzieci rosną i stają się mężczyznami, a staruchy tam, na końcu świata wlatują w niebo okraciłem na miotle w stronę dróg donkad. I w ten sposób istnieje malarstwo, również, grymoły duchów, które zrybują jak racze motyle.

C.J.C.: Czy statek z zagłębła, na morzu, budzi w tobie lęk?

Mirow: Nie, chociaż niekiedy myślę, że to powinno budzić we mnie lęk, gdyż okret z żagliami, na morzu, może porwać tego, co ma spoglądać, unieść do innego kraju, na inny kontynent, bądź na inną gwiazdę...

ANDRZEJ GRUN

P.S. Po Natalii Niegodzie „PLAYBOY” lansuje roznieglizowane „damy Moskwy” również na tie portretów Lenina. I dobrze.

Dwa lata temu jeden z plakatów nagrodzonych i wydrukowanych u nas z okazji obchodów rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej przedstawiał twarz Lenina ze śladami dziewczęcego pocałunku na policzku. Nie ukazał się ani na ulicach ani nigdzie.

Obraza? Obraza! Dlatego właśnie — między innymi oczywiście — że tak często się obrażają o, musiano się w końcu rozwiązać.

A. G.

trzech pozycji wspomnieniowych — „Reporter przed konfesionatem”, „Raz, dwa, wzięli!” i omawianej tu — „Erika zdradza tajemnice”.

Do literatury wspomnieniowej (w przeciwieństwie do pamiętnikarstwa) mam dość sceptyczny stosunek. Autorzy niejednych wspomnień mieli zwrócić — z braku innych możliwości — „rozwiązanie się” z przeciwnikami wynosząc siebie ponad miarę rzeczywistych dokonań. Uprowadzając jak gdyby mój sceptycyzm Adam Ochocki pisze na okładce książki: „...u schyłku lat czterdziestych, kiedy ów album („Włoka i Waska” — dop. M.B.) ujrzał światło dzienne, przysnął z ręką na sercu, całkiem się jak inni, żeby broń Boże... Na szczęście stary lekowo ustąpił i niczego nie muszę owiać w barwę. Paj wieszam na, pię do, ubolewam nad, śmieję się z, piszę o.”

No właśnie! O czym? A więc: „O kulisach mojej wyprawy na Olimpiadę w Melbourne i o tournée z Legią na antypody. O bryłach złota wydartych ziemi i najpiękniejszej awanturnicy świata Lolli Montez. O dziełach platanie rozkoszy w Antwerpi... O cadykach, szadchemach i szemesach. O piosenkach lwowskich batiarów. O tym jak się robiło „Karuzelę”. O dwóch byłych premierach. O Szlachetce od matek bosek. O różnych sferach i tajemnicach kuchni redakcyjnej. O moich wlotach i upadkach, o wożach po świecie...”. Ale w pierwszym rzędzie pisze Adam Ochocki o konkretnych ludziach, ukazanych w pełnej krasie, ludzkiej z krwi i kości. Stosując, oczywiście, własną optykę.

W tej książce odnalazł można najbarwniejsze

postacie nie tylko łódzkiego środowiska dziennikarskiego okresu międzywojennego i powojennego. Portretuje swoich bohaterów przy pomocy anegdot, często pikantnych, celnych; demaskuje miły (aczkolwiek niewolny jest od twórczenia nowych). Odsłania tajemnice kuchni dziennikarskiej, a co najważniejsze — przedstawia bogatą panoramę miasta, kraju i na jej tle sytuuje ludzi, wśród których bryluje, opisuje wydarzenia przywracając niedłemu z nich właściwe wymiary. Słowem — kolejna książka Adama Ochockiego to kopalinia wiedzy o czasach i ludziach, znanych z lat dawnych i najnowszych, ze sfer dziennikarskich, literackich i politycznych. „Erika zdradza tajemnice” to barwny świat, który należy już do przeszłości.

Pewne zastrzeżenia budzi jedynie opracowanie redakcyjne książki, w którym nie zadbanie o przejrzysty układ tekstu, o eliminację niektórych wizerów i fraz, niewiele wnoszących do całości utworu, nie mówiąc już o — zrozumiałych w takim natoku opisywanych zdarzeń i ludzi — ewidentnych powtórzeń, „nawrotach do czasów”, bądź wreszcie weryfikacji faktograficznej. Wspomniłem na prawo puszczając wodzę fantazji, wydawać ma — obowiązek weryfikacji faktów historycznych. Mimo to, książka Adama Ochockiego to bogactwo wiedzy o czasach i ludziach, to historia, która szczególnie dzisiaj warto poznać.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



GORLIWCY

„Każdy reżyser, każdy dyrektor teatru sypnie anegdotami o wysiłkach cenzorskich gorliwców wietrzących w najniebezpieczniejszych scenkach antyrządzących ostrze — pisze Jacek Sieradzki w „Polityce”. — Cóż dopiero w sztukach historycznych! Znakomite „Pamiętki Soplicy” w reżyserii Mikołaja Grabowskiego (niedawno przypomniane w TV) nie mogły latami doczekać się emisji, bo komisja kolelaudacyjna liczyła Moskali, tzn. sprawowała, ile razy słowo „Moskał” pojawia się na ekranie. Pojawiało się zbyt często — i nagranie szło na półkę. Wcześniej dramat Jerzego S. Słto „Polonez” też tkwił na indeksie, bo rozbiór Polski z 1793 mógł się źle kojarzyć. Epoka rozbiorowa była zresztą szczególnie podejrzana; gwarancje imperatorowej. Katastrofy w sbyt wielu szczegółach przypominały doktrynę Breżniewa. Tym bardziej jednak smako-

mita szanse w Warszawie stanu wojennego miała inaczej dramat, w którym wizerunek „finis Polonia” XVIII wieku (ogładany jako „szalony pęd myśli”) w głowie tonącego w Elsterze księcia Poniatowskiego) daleki jest od wspaniałego międzynarodalizmu.

„Termopila polskie” Tadeusza Mlejskiego, jeden z oryginalniejszych utworów naszej literatury dramatycznej, napisany w latach 1908—1913, premiera doczekał się dopiero w 1970 w Gdańsku, w adaptacji Stanisława Hebanowskiego, reżyserii Marka Okopalskiego. Później próbowano w Warszawie Marcewskimi, jeszcze później, w 1985, dzieło wystawił w Starym Teatrze Krzysztof Babicki, z wielkimi kłopotami cenzuralnymi i bez sukcesu artystycznego...

KOGO NAGRADZANO

„Bezkompromisowa rozliczanie się z przeszłością, jakie ogarnęło nasz kraj, nie omija także kultury — pisze Piotr Sarzyński w „Polityce”. — Już bez żadnych zahamowań obnaża się propagandowe manipulacje, pozartyistyczne układy, wszechobecność cenzury, polityczny nadzór nad twórcami i ich dziełami. Z nagana pisze się o systematycznym wspieraniu emigracji, o kreowa-

stycznego i kulturalnego w powojennej Polsce...

Gdyby sądzić po liczbie nagród w poszczególnych kategoriach, to najbardziej rozkwitała nam po 1950 literatura, zaś najmniej ciekawego i wartościowego dzieła się w filmie i plastyce. Indywidualnie zaś najwyższe cenione twórczości pisarską Jarosława Iwaszkiewicza i kmpozytorską — Witolda Lutosławskiego (trzykrotnie wyróżnieni nagrodą i stopnią). Jeżeli jednak uwzględnić wszystkie nagrody państwowe — także niższych stopni i zbiorowe — to okaza się, że „rekordzistami” są (po czterech wyróżnieniach) Witold Lutosławski... Gustaw Holoubek, operator Władysław Forbert...

Generalnie odnosi się wrażenie, że faworyzowani byli zawsze wybitni i bardzo popularni kosztom równie wybitnych, ale jakby skromniejszych, pracujących bez wielkiego rozgłosu i reklamy... Niemalże jest grono osób uważających, że ideologia i polityka w całym okresie powojennym całkowicie zdążyły i i ubezwłasnowolnili oficjalny o-bieg kultury polskiej. W przypadku nagród i stopnia zależność ta nie jest wcale tak bardzo widoczna. Odnosi się wrażenie, że ranga nagrody powodowała, iż decydenci jakby unikali zbytniego uwikłania jej w koniunkturalne działania iideo-



Michael Cimino zdobył spory rozgłos krążącyna nas na kasach parę lat temu „Lewca Jeleni”. Nieco skandalizująca atmosfera wokół tamtego filmu wywołana została głównie dość wyjątkowym spożyciem na wojnę w Wietnamie. Wcześniej przy tej okazji wracano przede wszystkim uwagę na jej tragiczne skutki w psychice młodych Amerykanów, którzy piekło to przeżyli, uznając interwencję USA za tragiczną pomyłkę; taka postawa dawała patent na humanitaryzm i postępowość. Tymczasem Cimino, narażając się na krytykę nie tylko środowisk komunistycznych, skupił się na okrucieństwach Wietnamczyków!

Ta, w gruncie rzeczy drugorzędna dla filmu, kwestia usunęła w cień jego inne, istotniejsze cechy i całe szczęście, że Cimino — tym razem bez skandalizującej otoczki — przypominał je w aktualnie krążącym na rynku wideo filmie „Rok smoka”. Są to zajęcia się żyjącymi w Stanach mniejszościami narodowymi, historia, wyraźnie widoczna w działaniach bohaterów oraz ostateczna prezentacja okrucieństwa. Każda z nich można znaleźć także u innych reżyserów, ale wszystkie w komplecie stanowią coś w rodzaju legitymacji charakterystycznej tylko dla Cimino.

Tak więc środowisku holdujących prawostawnym obrzędowi Różjan w „Lowcy jeleni” odpowiadają w „Roku smoka” Chinzyrzy, Mickey



Logika zbrodni

JERZY KWIECIŃSKI

W problematyce zbrodni i kary nieubłagane następstwa pierwotnego czynu w postaci nowych zbrodni, popełnianych dla zatarcia śladów, a także prześladowcze udręki wyobraźni lub sumienia stanowią główne motywy literackich dzieł. Ale Szekspirański „Makbet” stanowi dodatkowo psychologiczne studium o zbrodniach popełnianych — z ambicji i pychy — na wyżynach władzy. Współczesny nam autor kierowałby może myśl ku gwarancjom instytucjonalnym, chroniącym społeczeństwo przed samowolą tyranii. Szekspir jednak nie był na szczęście pisarzem politycznym, lecz artystą, wnikliwym obserwatorem procesów i przemian wewnętrznych zachodzących w człowieku, zwłaszcza w ludzkiej ówczesnej elicie dworskiej, łamiącej prawo naturalne z pokusy sławy i znaczenia.

I właśnie „Makbet” do takich scenicznych penetracji psychologicznych daje najwznieksze pole. Jeśli nie spłaszczymy jego sensu do sensacyjnej kroniki zbrodniczych działań. Czy jednak przedstawienie w „Studiujnym” idzie tym pierwszym tropem? Rzecz zaczyna się tajemniczo i nastrojowo. W głębi sceny, do której prowadzi z proscenium gotycki portal (a może zamkowa bra-

ma), krzyżują się drogi przebiegających rycerzy, uczestników dogorywającej bitwy, następują spotkania zwyciężonych wodzów, wrzeszczących kontakt z nadprzyrodzonymi siłami lub zjawami wyobraźni. Czuję się, iż oto dojrzewa mroczny dramat ludzkich namiętności, ale jakos niepostrzeżenie zaczyna osaczać nas coraz gęściej konwencja widowiska kostiumowego. Wyrażenie, a w zamysły hieratyczne ruchy i gesty przybierają manierę werystyycznej opery, z nieraz kłódnymi przejawami niezamierzonego komizmu. Coraz oczywistą staje się brak stylizacyjnej konsekwencji, a dość bezładna waga od psychologicznych treści.

Tym większy podziw i uznanie wzbudza w tytułowej roli CEZARY NAWAK, rozprowadzający szeroką skalą środków wyrazu, starannie cieniujący dynamikę dialogu, refleksyjnie ściszony, gdy z lekka kładzie zachodzące w jego duszy przemiany, do znów porażony złowrogą logiką wydarzeń, których staje się niewolnikiem. Partnerem mu w roli Lady Makbet w powodziem MIROSLAWA OLBINSKA, grająca postać od początku zdeternowaną w kierunku zła, może jednak trochę nadużywa patetycznego gestu i krzykliwości, jak na osobę zimną

i przedeć opanowaną, co właśnie daje jej władzę nad bardziej uczuciowym mężem.

Z pozostałymi wykonawcami bywało różnie i wiele zdaje się wskazywać na to, że poprowadzono ich według nie dość jednolitej koncepcji gry, choć zarówno tary czarownic, jak i pojedynki rycerzy świadczyłyby o przemyślanym przygotowaniu.

W tajemniczy, niepokojący nastrój wprowadzała doskonała oprawa muzyczna, przy której jednak zbyt naiwnie brzmiały inne elementy tła akustycznego. Kostiumy były malownicze, efektowne, ale duch Banka miał zbyt jasekowy wygląd, jakby przed chwilą chodził z „Herodami”. Czy nie byłoby bezpiecznie, gdyby Makbet wpatrywał się w zjawę dla nas niewidoczną?

Przedstawienie grano bez większych skrótów, jak najszerszej pominięto oczywiście makabryczną scenę morderstwa rodziny Makdufa. Rzecz toczyła się na ogół w niezłym tempie, choć nie brakło momentów statycznych.

Być może sensacyjna fabuła „Makbeta” zyska przedstawieniu powodzenie, o które dziś wcale niełatwo.



Na zdjęciu: Makbet — Cezary Nowak, Lady Makbet — Mirosława Olbńska



Kronika

► Rektor Uniwersytetu Łódzkiego, prof. dr hab. Leszek Wojtczak, wybrany został przewodniczącym — reaktywowanej na zjeździe w Krakowie — Konferencji Rektorów Polskich Uniwersytetów, które jednym z głównych celów jest umacnianie roli uniwersytetów w rozwoju polskiej nauki i kultury. Działalność konferencji została zawieszona po 1981 r. Cieszymy się z zaszczytnego wyróżnienia jakie spotkało wybitnego łódzkiego naukowca! W początkowe stadium realizacji zaczęły niabawem się przeobrażać — zrodzona w zespole łódzkiego Teatru 77 — idea wielkiej międzynarodowej imprezy pod hasłem „Droga do Delfi”. Na szlaku artystycznej podróży znajdują się Dania, Polska, NRD, RFN, Czechosłowacja, Austria, Węgry, Włochy i Grecja. Grupy artystyczne z tych krajów, w ramach realizacji unikatowego przedsięwzięcia pn. „Międzynarodowy Projekt Teatralny”, zaprezentują swoje dokonania artystyczne i dyskutować będą nad drogami prowadzącymi do zjednoczonej Europy i pokojowego ułożenia stosunków w świecie. „Nie wszystko albo wręcz niewiele — powiedział główny pomysłodawca, dyrektor Teatru 77, Zdzisław Hejduk — załatwiają konferencje polityków, jeśli nie zaczyna spotykać się z sobą z wyznacznymi obywatelami. I to spotykać się nie od święta, ale możliwie często i w sytuacjach, które umożliwią współdziałanie”. Temu celowi służyć ma m.in. instytucja „opiekunów”, czyli osób wspomagających konwoj na całej trasie; od duńskiego Aarhus do greckich Delfi. Mieszkańców naszego miasta z pewnością ucieszy informacja, iż jednym z „przystanków” na trasie międzynarodowej artystycznej wędrówki będzie Łódź. Na XI Ogólnopolskim Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży, który w dniach 1-10 września w Poznaniu, jedną z dwu nagród specjalnych otrzymał Jerzy Lukaszewicz za film „Bliższe spotkania z wesołym diabłem”, zrealizowany w Łodzi. „Se-Ma-Forze”. Filmowi temu przypadła również nagroda „Marcinków” — przyznawana przez jury dziecięce. Gratulujemy! ► Zachęcamy do obejrzenia w łódzkim Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego (ul. Gdańska 107) ciekawej wystawy fotograficznej pn. „Ponury”, „Nurt” — ich żołnierze (Góry Świętokrzyskie 1943-1945). Przybliży ona postacie cichociemnych: por. Janna Piwnika („Ponurego”) — szefa Kierownictwa Dywersji Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK, jego następcy por. Eugeniusza Kaszyńskiego („Nurta”) oraz bohaterów żołnierskich sławnych grupowań partyzanckich Armii Krajowej. Ekspozycja przygotowana została staraniem Stowarzyszenia Żołnierzy AK i Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego. ► Sąd Wojewódzki w Łodzi oddalił wniosek o zarejestrowanie Towarzystwa im. Markiza de Sade’a, złożony z dopełnieniem wszystkich niezbędnych wymogów formalnych przez komitet założycielski. Zdaniem sądu nie ma żadnych gwarancji na to, że treścią planowanych przez wnioskodawców seminariów, spotkań i konferencji staną się II tylko refleksje filozoficzne zawarte w utworach tego pisarza, w których dominuje tematyka związana z sadystycznymi zbroczeniami seksualnymi. Sąd nie dopatrywał się potrzeby dla pogłębiania znajomości dorobku de Sade’a powoływania towarzystwa, posiadającego osobowość prawną. Komitet Założycielski Towarzystwa im. Markiza de Sade’a zamierza odwołać się od tej decyzji do Sądu Najwyższego. ► Akty kobiece rysowane przez Mirosława Pisarkiewicza, łęczyckiego plastyka i poetę, można oglądać w hallu Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Sieradzu. Ekspozycja czynna będzie do końca lutego br. ► Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu przygotowuje wystawę poświęconą twórczości malarstwa Józefa Czapskiego. Organizatorzy zwracają się z gorącą prośbą o wypozyczenie dzieł artysty (obrazów, rysunków, autografów). Otwarcie tej ekspozycji przewiduje się 30 marca br. ► Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich wystąpiła z inicjatywą powołania w naszym kraju Uniwersytetu Narodów Europy. ► Po kilkuletniej przerwie wznowia działalność przy DK „Ariadna” w Łodzi (ul. Niecałniana 13) Rock-Club „Cobra”. ► Jerzy S. Sito — poeta, dramaturg i tłumacz literatury angielskiej został prezesem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. W Starym Teatrze w Krakowie dużym zainteresowaniem cieszy się teraz jego sztuka pt. „Słuchaj Izraelu”. ► Nadia Comaneci, rumuńska gimnastyczka przebywająca od niedawna w USA, triumfatorka olimpiady w Montrealu, podpisała kontrakt z amerykańską wytwórnią na realizację filmu o swoim życiu. Powiedziała dziennikarzom, że ujawni w nim nie znane dotąd fakty ze swojej sportowej kariery.

Wściekłość i wrzask

Rourke wśród chińskiej mafii zachowuje się dokładnie jak żołnierze w Wietnamie, zaś janki produkowane przez skończonych rewolwerowców dorównują (przynajmniej według Cimino) rzeźni w urzędowej prasie ich pobratymców z Hanów.

Powstaje, oczywiście, pytanie czemu to wszystko słusznie, czy tylko ślęgnięciu maksymalnej ilości widzów do kina? Chyba jednak nie tylko. Z konsekwentnie konstruowanej przez Cimino nader sugestywnej wizji świata wyłania się wyłania — niczym kiedyś u Antonioniego — rozdzierająca tragedia jednostki, której dane są coraz mniejsze szanse zachowania własnej indywidualności i obrony własnych ideałów i uczuć; świat bezsilnie wkręca ją w swój tryb, polityka, przekuwa i wrzeszcze wypława.

Coś się jednak zmieniło; bohaterowie dawnych mistrzów, w momencie, kiedy świat zaczynał dopiero szaleć, przyjmowali jego reguły dla własnej wygody; niszczyła ich modna wówczas inercja i indyferentyzm. U Cimino natomiast, w sytuacji, kiedy świat szaleje już na dobre, próbują się mu na odmiennie wywiązać, chociaż skutek ich wysiłków nie jest zbyt imponujący. To przesunięcie akcentów jest znamienne, wskazuje bowiem na kierunek zmian; podczas gdy parędziesiąt lat temu odstępstwo od tradycyjnych wartości (choćby kusażące) rozpoznawane było jako coś negatywnego i po trosze nienormalnego, dziś normalność to właśnie kompletne odrzucenie tych wartości, walka zaś o nie wydaje się niemal opętaniem, zaburzeniem psychicznym. Diagnoza ta ukryta jest wprawdzie szczerze za sensacyjną akcją, a pewien chaos dramaturgii kamufłuje chaos przedstawionego świata, ale o pomyłce raczej nie może być mowy. Z rzeczywistością „Rok smoka” rozniża się dopiero w finale, kiedy kapitan policji wygrywa, symbolicznie traktowany przez reżysera, pojedynek z szefem mafii i na dodatek szczęśliwie kończy romans z chińską dziennikarką. Tu już daje o sobie znać kino, które Cimino najwznieksze kocha, i na którym się zna; w życiu takie happy endy prawie się nie zdarzają...

RYSZARD NAKONIECZNY

ROK SMOKA, reż. Michael Cimino, scen. Oliver Stone i Michael Cimino, według książki Roberta Doleya, zdj. Alex Thomson, muz. David Mansfield, aktorzy: Mickey Rourke, John Lone, Ariane, Caroline Cava.



Poeta i jego dom

HENRYK PUSTKOWSKI

Domem poety jest słowo, jeśli wierzyć Heideggerowi. Niemniej jednak poezja zadamawia się w empirium — w przestrzeni najbliższej, codziennej topografii, intymnej oswobodzonej przestrzeni domu z jego tajemnicami strychu i piwnicy, w końcu w „rzeczowisku”, które — jak w przypadku Białoszewskiego — może być nawet nobilitowaną rupiecarnią, składowiskiem rzeczy ulownych, pałubniczym i bulbowatym rozpoznanych przez poezję w całym bogactwie małych mitologii. Tadeusz Głogier ma przeto trzy domy. Pierwszy — Heideggerowski: poetyckie słowo, które umijętnie przez lata zagospodarował a umiętnie owa potwierdza zarówno tomy poetyckie, prozatorskie i twórczość satyryczną. Drugim domem jest miejsce, w którym żyje i tworzy i któremu poświęcił najznaczniejszą część swego dorobku — Łódź. Trzecim domem serdecznym jest Białostok, gdzie pisarza rzuciły losy literacko-rządowe.

Zmieniliśmy — wprowadzając Heideggerowską koncepcję — numerację poetyckich domów T. Głogiera. Dla niego — acz w tytule utworów tego nie sygnalizuje — domem pierwszym będzie Łódź, zaś domem drugim — ziemia białostocka, która go swego czasu przyciągnęła. „Mój drugi dom” jest i poświęceniem lojalności wobec serdecznego krajoznawcy i ludzi, i także znakiem wskazującym na ważny, generujący całą poetykę Głogiera element życiowych doświadczeń i określonych geograficznych „zakorzenień”. Nie jest przeto tomik o jakichś okolicznościowym wydawnictwie, ale integralnie plasuje się w całym dorobku autora „Pasjonatów”. Skłonny bardziej do notacji niż lirycznych wynurzeń w naturalny też sposób skomponował autor tomik a form gatunkowych liryki opisowej, refleksyjnej czy też bliskich „narracyjnej” gawędzi.

Ta stylizacja nieco artykulacja jest świadectwem doskonałego opanowania warsztatu poetyckiego, dużej kultury literackiej oraz owej higieny polszczyzny, o którą swego czasu upominał się Miłosz. Jednym słowem — tomik to adresowany nie tylko do miłośników ziemi białostockiej, ale miłośników poezji przede wszystkim. Chciałbym kilka ciepłych słów powiedzieć o

drugim „udomowionym” tomiku poetyckim. Pierwej wszakże o wydawcy. Nie żadna państwowa oficyna sygnuje tomik **Mikołaja Konczalskiego „Zamyślenie”**, ale Fundacja im. Anny Domagaly-Jakub. Wyemancypowana z RSTK Fundacja owa ma już na swoim koncie kilka interesujących publikacji. Tomik M. Konczalskiego zdobył i nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie RSTK i zgodnie z regulaminem konkursu, a ku pomnożeniu wartości poezjotwórczych został wydany. Dodajmy — wydany bardzo starannie, choć stosunkowo małym nakładem.

M. Konczalski mieszka w Włocławku i z powodzeniem flirtuje z poezją i plastyką. Drukował już swoje wiersze w kilku znaczących czasopiśmie literackich, miał też kilka wystaw plastycznych. Sympatyczny to tomik. Bezpretensjonalny i wygrażny na jednej — ale za to czysty — lirycznej nucie. Poła, zagroda, furtka, domowy pies tworzą autentyczne „pole fenomenologiczne” tej poezji. „Mój zyciorys stoma zytina pisze dnia powszedniego”. — powiada w jednym z wierszy autor. Ta powszedniość i „wielkość” nie jest poetycką cepeladą, to zapła prawdziwych, życiowych doświadczeń.

Debiut to może spóźniony, ale sam tomik prezentuje dużą władność warsztatową, barwną metaforę i — o czym wspominałem — nobilitację codzienności wpisaną w krajoznawczą kulawskę. Polecam ten tomik miłośnikom poezji mającej nadzieję, że księgarze nasi nie przestraszyli się poezji do końca i tomik ten znajdzie się w sprzedaży.

Tadeusz Głogier, „Mój drugi dom”, KAW Białystok 1990.

Mikołaj Konczalski, „Zamyślenie”, Fundacja im. A. Domagaly-Jakub, Łódź 1990.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

logiczne plany. W rezultacie listy wyróżnionych — pomijając wyjątki — prezentują się całkiem przyzwoicie...”

NA KLĘCZKACH

„Szlachetny w swoich intencjach cykl „Artyści dla Rzeczypospolitej” wielu telewizorów ogładsło z zafascynowaniem — pisze „Wprost”. — Znakomici aktorzy, blagający o finansowe wsparcie nowego rządu, czynili to na klęczkach, mniając w kółko „wrzeszcząc jesteśmy we własnym domu” przystrajając się w anielskie piórka i przybierając pozy tak patetyczne, że aż śmieszne, budząc litość. Większość z nich (w tym Krystyna Janda, Daniel Olbrychski) odgrywała przed telewizorami swoją kolejną rolę, z tą wszakże różnicą, że wykonana fatalnie. Dlatego uważam, że na uznanie zasłużył sobie np. Edward Dziewoński, który wystąpił po ludzku, jak człowiek, a nie jak artysta, który ma coś do odegrania.

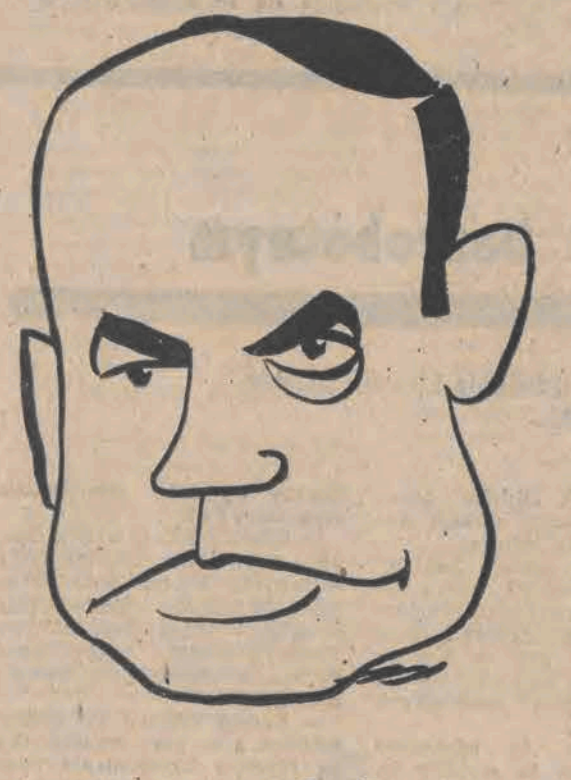
KISIEL O INNYCH

„O, teraz wyszła w „Iskrach” „Podróż w czasie” — mówi Stefan Kisielewski w „Literaturze”. — Opisałem w niej bardzo szczegółowo hotel „Forum”, różne po-

drytów. Tuwim się upił i powietrzał: „panie hrabio, ja to mam taki talent, że mógłbym pisać takie wiersze jak Mickiewicz, jak Słowacki, tylko jedno — ja nie mam nic do powiedzenia...” A niech mi pani wytłumaczy te owoce pędy, że jak była rewolucja kulturalna w Chinach, że mordowali milionami i nikt nie protestował, a dzisiaj wszyscy protestują o trochę mniej osób. Albo ten slogan, też owczy Solidarność? Nie ma wolności bez pieniędzy. Kto ma pieniądze, ten jest wolny!... Wie pani jest taki chiński pianista Fu Taung. Jego ojciec to był jakby chiński Boy — tłumaczył całą francuską literaturę. I w czasie rewolucji kulturalnej oboje z żoną odebrali sobie życie, bo ich prowadził po ulicach z tablicą na pierśsiach „stugusy” czegoś tam. Zawsze są albo stugusy, albo warchoły. To opowiadał Fu Taung i o innych jeszcze przerażających rzeczach i nikt się tym nie przejmował. Świata to nie obchodziło... A wie pani, że Jaruzelski popełnił błąd przez mamę prawniczą, że on to nazwał stanem wojennym, bo nie znalazł innego określenia w konstytucji? Gdyby to się nazywało stan wyjątkowy, to Zachód by się tak nie rzucił.

Galeria pisarzy

APOLONIUSZ ZAWILSKI



Rys. Stanisław Arabicki

Opracował: JAK

Nadzieja zaświtała dzięki ludzkiej zawiści. Sąsiad zadzwońował prezesa Łopatkę, który do niedawna kierował Spółdzielnią Kółek Rolniczych. Ta sama, z bazy której skradziono żuka i wywieziono lupy od Lipińskich. Sąsiad poinformował anonimowo milicję, że Łopatki nie stać na wykończenie willi pod miastem, zażądał natomiast o sutereny, kratując okna i zaciągając je żaluzjami, aby ukryć zgromadzone tam niezliczone bogactwo. Sprawdzono to dla świętego spokoju i okazało się, że oprócz mebli i sanitarnej armatury znajdują się tam rzeczy skradzione z willi Lipińskich.

Aktualnie Adam Łopatka rezydował pod palmą jako szef spółki, transportowej. Elegancko wygolony, w krawacie w kwiaty do flanelowej koszuli w kratę, kryjąc się w cieniu palmy wachlował w przerażenia długimi rzesami niczym biały człowiek osaczony przez kanibalów.

— Znał pan Lipińskich? — spytał niewinnie kanibal Madej.

— Tak... To znaczy z widzenia. Zda się, że hodują gęsi.

— A mnie się zdaje, że utrzymywał pan z nimi nader przyjazne stosunki. Bo skąd wzięłyby się u pana ich dywany, sprzęt radiotelewizyjny, pralka, lodówka, droga odzież?

— Nie wiem — szepnął. — Ktoś... ktoś mnie wrobił...

— Kto? Zabójca pani Marioli?

— Nie wiem, do czego pan zmierza — odparł. — Jakies zagadki, aluzje...

— Madej uśmiechnął się ponownie. Po to, aby po chwili zachować się niczym kowal u jubilera.

— Myśle — walał z góry — że pocieszał ją pan pod nieobecność męża.

— Ja i to... znaczy morderstwo? Nigdy tam nie byłem!

— Pofiglował pan z Mariolką, zabił, a potem wywiózł lupy żukiem z bazy SKR.

Tamten pociągnął chciwie papierosa, otaczając się dymną zasłoną. Wstrzymał oddech, rzekł z determinacją:

— Gdy znalezione żuka, byłem przerażony. Bo ten facet zapewniał, że go zastąpi...

— Co za facet?

— Zadzwoń do bazy i zaproponował dostawę do domu sprzętu i odzieży. Obiecał, że puści wszystko za pół ceny, a w zamian udostępni mu dyskretnie żuka do transportu.

— Zgodził się pan?

— Łopatka uśmiechnął się ze skrucha.

— Odmówiłem. Ale po kilku dniach znowu zadzwonił. Powiedział, że mam pięknie zabezpieczone sutereny. Wstawił tam towar, a ja zapłacił, jak obejrzy. Oświadczył, że wszystko będzie mnie kosztować dwa miliony. Byłem ciekaw, co przywiezie...

— I w ogóle pan go nie widział? Tak na słowo?

— Zawsze na telefon. Zakazał mi przebywania tej nocy w bazie i w budowanym domu. Jak to wszystko zobaczyłem, osiupiałem. Na rynku można by wziąć pięć milionów.

— Jak mu pan zapłacił? Przez telefon?

— Tak, zadzwonił. Pieniądze miałem ominąć w folię i wsunąć pod pustaki na mojej parceli. Określił dokładnie, który to ma być pustak i w którym rzadku. Zagroził, że jeśli tego nie zrobię, zadzwoni gdzie trzeba. Myślałem, że zwariuje, bo wiedziałem już o morderstwie...

K pitan zrezygnował z dalszych pytań.

18.

Kobieta w słomkowym kapeluszu patrzyła w stronę plaży z wyrazem smętnej dobroci, jak gdyby w głębi duszy zazdrościła opalającym się ludziom. Miała świadomość, że już w dzieciństwie zarysowały się u niej pewne cechy osobowości, które zaważyły na jej obecnym życiu. Później, pracując w knajpie, marzyła o zawodzie przynoszącym bez trudu pieniądze i satysfakcję, jednak ze względu, na matkę niewiele zrobiła, aby osiągnąć cel. Wydawało się jej wtedy, że aby zdobyć świat, wystarczy nieźła prezencja, otrząskanie w kontaktach z mężczyznami. Niestety, była prowin-cjuszka i nie znała nocnego życia w mieście, toteż start w Łodzi zdecydowanie jej się nie udał. Przypadek albo też zaaranżowany zbieg okoliczności sprawił, że pomógł jej mężczyzna, którego nazwiska do dziś nie znała. Pragnąc spłacić dług wdzięczności ona również mu pomogła, chociaż wyczuwała, iż Waldek nie kieruje się szlachetnymi intencjami. Pistolet był mu potrzebny do postrzażenia bogatej zosiowej ciotki, bezdzietnej wdowy która nie chciała mu zapisać majątku. Waldek dał jej kontakt i trochę pieniędzy, dzięki czemu mogła wejść w gdańskie środowisko.

Otworzyła torebkę i zapaliła papierosa. Uśmiechnęła się do własnych myśli. Najgorse miała już za sobą. Znalazła porządnego narze-

czonego, który wcale nie miał żadnych wad, i wyjątkiem niechęci do pracy w wyuczonym zawodzie. Pan inżynier lubił za to elegancję, pieniądze i szlachetne trunki. Miał aparycję, wdzięk i gest nobliwego mecenasa, toteż naganiał klientów pierwszą klasą, dzięki czemu urządziła skromną garsonierę i odłożyła parę dolarów. Zdawała sobie sprawę że w pewnym momencie trzeba będzie zejść ze sceny. Kawiarenka, którą zamierzała w przyszłości otworzyć nazywałaby się „Danusia”. Nie wierzyła się inżynierowi ze swolch planów.

Wrzuciwszy do wody niedopałek, poprawiła muśnięty wiatrem kapelusz. Była bezpieczna, daleko od Łodzi, lecz mimo to coś ją dręczyło, nie dawało spokoju. Po śmierci matki wzrosła jej niechęć do milicjantów, kiedy więc Waldek zaproponował jej poderwanie tamtego gliniarza, uznała to za dobrą zabawę i okazję do zemsty. Ale w mieszkaniu zdarzyło się coś, czego nie była w stanie przewidzieć... Nie chciała, aby z jej powodu miał jakies kłopoty. Była sprzedajną dziwką, ale nie chciała być pośrednią sprawcą nieszczęścia na przykład morderstwa.

Życie na poboczu (6)

20.

Przez okno na dziewiątym piętrze wieżowca sączyła się mglista szarość. Rozjaśniał ją blask płonącej na biurku lampy z metalowym abażurem. W kręgu światła leżało kilka przedmiotów o różnym przeznaczeniu. Najbardziej rzucała się w oczy wielka foliowa koperta, w której mienili się barwnie włożone w formie ta-
— To u ciebie oznaka humoru czy zawodo-
— Właśnie ta twoja pewność siebie. Przez nią

dotychczas — zaczęło pewnie brakować ludzi...?

— Zabrano w sumie z Wydziału około 30 osób, część przeszedła do nowego wydziału pośrednictwa pracy, resztę „rozplantowano” po innych urzędach. No, ale nie martwmy się na zapas. Uruchamiamy Punkt Porad Prawnych, który będzie udzielał fachowej pomocy wszystkim potrzebującym, przede wszystkim w zakresie interpretacji nowych przepisów. A zgłasza się już wiele osób.

— Zwolnionych w styczniu?

— W styczniu, w grudniu. Są i tacy, którym zostało to zapowiedziane lub sami przeczują się za czynnym nowym. W trzech pierwszych tygodniach stycznia było to ponad 1000 osób. Przeważnie pracownicy tak zwani umysłowi.

— Dziennikarze już byli?

— Jeszcze nie, ale mamy zarejestrowanych i ekonomistów, i chemików, z wykształ-

ceniem wyższym, są farmaceut, jest lekarz.

— Grupowych zwolnień na razie nie planuje się?

— Nie wiemy tego. Do nas takie zawiadomienie powinno dotrzeć 45 dni przed zwolnieniem pracowników. Musimy znać ich staż, kwalifikacje, dotychczasowe place. Musimy znaleźć dla nich nową, intratną pracę.

— I wycylić wysokość zasiłku...

— To ostateczność. Choć może i tak być, że czasem lepiej będzie przeczekać kryzys na zasiłku, by trafić do swojej branży. Ale zanim zaczniemy wypłacać zasiłki, formalnie będą jeszcze składane różne propozycje pracy, można jeszcze zaproponować przeszkolenie czyli zmianę zawodu.

— Byli już chętni po zasiłki?

— Oczywiście, kilkudziesięciu zgłosiło się, ale jak mówię: oni przyszli po zasiłki, nie po pracę. A oferty pracy już ich nie interesowały...

— Dwie oferty pracy nie zostały przyjęte, przeszkolenie w grę nie wchodzi i wypłacacie zasiłek bezrobotnemu...

— W wysokości: 70 procent ostatniego wynagrodzenia przez pierwsze trzy miesiące, 50 procent — przez dalsze sześć miesięcy, później — cały czas 40 procent wynagrodzenia. Zasiłek nie może być wyższy niż średnia płaca w gospodarce.

— Nie wierzę, by stały niedobór rąk do pracy nagie zniknął.

— Ja też nie wierzę, również i ten rynek musi zacząć funkcjonować normalnie. Od marca, kwietnia będziemy obserwowali spory wzrost zgłoszeń. Przyglądamy się dokładnie wielu „dziwnym” zakładom.

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

NR 6 (1663), 11 LUTEGO 1990 R.

10 ODGŁOSY

W Łodzi nie ma wolnych miejsc pracy!

I ty możesz zostać bezrobotnym

Rozmowa z dyrektorem Wydziału Zatrudnienia Urzędu Miasta Łodzi — SYLWESTREM POMORSKIM.

— Czy w Łodzi są wolne miejsca pracy?

— We wrześniu 1989 roku mieliśmy 28 tysięcy wolnych miejsc pracy, na koniec grudnia — około 16 tysięcy miejsc. A dziś? Tysiąc dziewięćset. Odpowiedź jest jedna: zakłady nie zgłaszają ofert, a ze złożonych poprzednio wycofały się.

— Zupełnie jakby przestało nagle brakować ludzi w usługach, przybyło listonoszy i panienek w okienkach na poczcie,

a każdy klocek „Ruchu” czynny był już przez okrągłą dobę. Przecież to bzdura!

— I ja tak sądzę. Zakłady pracy, przestraszone nową sytuacją na rynku, zanim przystosują się do zmienionych reguł gospodarczej gry — blokują profilaktycznie zatrudnienie i w tym szukają finansowych rezerw.

— Wchodząc tu odniosłem wrażenie jakby tu szłydo na frontowej ścianie przybyło.

Czyby wydział zatrudnienia rozmnożył się?

— Szkoda gadać, a tym bardziej krytykować decyzje Rady Narodowej Miasta, dość że o prócz Wydziału Zatrudnienia powstał Wydział Pośrednictwa Pracy, podległy naczelnikowi Polesia, a wspólny dla wszystkich dzielnic.

— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-
— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-
— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-

20.

Przez okno na dziewiątym piętrze wieżowca sączyła się mglista szarość. Rozjaśniał ją blask płonącej na biurku lampy z metalowym abażurem. W kręgu światła leżało kilka przedmiotów o różnym przeznaczeniu. Najbardziej rzucała się w oczy wielka foliowa koperta, w której mienili się barwnie włożone w formie ta-

— To u ciebie oznaka humoru czy zawodo-
— Właśnie ta twoja pewność siebie. Przez nią

dotychczas — zaczęło pewnie brakować ludzi...?

— Zabrano w sumie z Wydziału około 30 osób, część przeszedła do nowego wydziału pośrednictwa pracy, resztę „rozplantowano” po innych urzędach. No, ale nie martwmy się na zapas. Uruchamiamy Punkt Porad Prawnych, który będzie udzielał fachowej pomocy wszystkim potrzebującym, przede wszystkim w zakresie interpretacji nowych przepisów. A zgłasza się już wiele osób.

— Zwolnionych w styczniu?

— W styczniu, w grudniu. Są i tacy, którym zostało to zapowiedziane lub sami przeczują się za czynnym nowym. W trzech pierwszych tygodniach stycznia było to ponad 1000 osób. Przeważnie pracownicy tak zwani umysłowi.

— Dziennikarze już byli?

— Jeszcze nie, ale mamy zarejestrowanych i ekonomistów, i chemików, z wykształ-

ceniem wyższym, są farmaceut, jest lekarz.

— Grupowych zwolnień na razie nie planuje się?

— Nie wiemy tego. Do nas takie zawiadomienie powinno dotrzeć 45 dni przed zwolnieniem pracowników. Musimy znać ich staż, kwalifikacje, dotychczasowe place. Musimy znaleźć dla nich nową, intratną pracę.

— I wycylić wysokość zasiłku...

— To ostateczność. Choć może i tak być, że czasem lepiej będzie przeczekać kryzys na zasiłku, by trafić do swojej branży. Ale zanim zaczniemy wypłacać zasiłki, formalnie będą jeszcze składane różne propozycje pracy, można jeszcze zaproponować przeszkolenie czyli zmianę zawodu.

— Byli już chętni po zasiłki?

— Oczywiście, kilkudziesięciu zgłosiło się, ale jak mówię: oni przyszli po zasiłki, nie po pracę. A oferty pracy już ich nie interesowały...

— Dwie oferty pracy nie zostały przyjęte, przeszkolenie w grę nie wchodzi i wypłacacie zasiłek bezrobotnemu...

— W wysokości: 70 procent ostatniego wynagrodzenia przez pierwsze trzy miesiące, 50 procent — przez dalsze sześć miesięcy, później — cały czas 40 procent wynagrodzenia. Zasiłek nie może być wyższy niż średnia płaca w gospodarce.

— Nie wierzę, by stały niedobór rąk do pracy nagie zniknął.

— Ja też nie wierzę, również i ten rynek musi zacząć funkcjonować normalnie. Od marca, kwietnia będziemy obserwowali spory wzrost zgłoszeń. Przyglądamy się dokładnie wielu „dziwnym” zakładom.

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

NR 6 (1663), 11 LUTEGO 1990 R.

10 ODGŁOSY

W Łodzi nie ma wolnych miejsc pracy!

I ty możesz zostać bezrobotnym

Rozmowa z dyrektorem Wydziału Zatrudnienia Urzędu Miasta Łodzi — SYLWESTREM POMORSKIM.

— Czy w Łodzi są wolne miejsca pracy?

— We wrześniu 1989 roku mieliśmy 28 tysięcy wolnych miejsc pracy, na koniec grudnia — około 16 tysięcy miejsc. A dziś? Tysiąc dziewięćset. Odpowiedź jest jedna: zakłady nie zgłaszają ofert, a ze złożonych poprzednio wycofały się.

— Zupełnie jakby przestało nagle brakować ludzi w usługach, przybyło listonoszy i panienek w okienkach na poczcie,

a każdy klocek „Ruchu” czynny był już przez okrągłą dobę. Przecież to bzdura!

— I ja tak sądzę. Zakłady pracy, przestraszone nową sytuacją na rynku, zanim przystosują się do zmienionych reguł gospodarczej gry — blokują profilaktycznie zatrudnienie i w tym szukają finansowych rezerw.

— Wchodząc tu odniosłem wrażenie jakby tu szłydo na frontowej ścianie przybyło.

Czyby wydział zatrudnienia rozmnożył się?

— Szkoda gadać, a tym bardziej krytykować decyzje Rady Narodowej Miasta, dość że o prócz Wydziału Zatrudnienia powstał Wydział Pośrednictwa Pracy, podległy naczelnikowi Polesia, a wspólny dla wszystkich dzielnic.

— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-
— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-
— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-

20.

Przez okno na dziewiątym piętrze wieżowca sączyła się mglista szarość. Rozjaśniał ją blask płonącej na biurku lampy z metalowym abażurem. W kręgu światła leżało kilka przedmiotów o różnym przeznaczeniu. Najbardziej rzucała się w oczy wielka foliowa koperta, w której mienili się barwnie włożone w formie ta-

— To u ciebie oznaka humoru czy zawodo-
— Właśnie ta twoja pewność siebie. Przez nią

dotychczas — zaczęło pewnie brakować ludzi...?

— Zabrano w sumie z Wydziału około 30 osób, część przeszedła do nowego wydziału pośrednictwa pracy, resztę „rozplantowano” po innych urzędach. No, ale nie martwmy się na zapas. Uruchamiamy Punkt Porad Prawnych, który będzie udzielał fachowej pomocy wszystkim potrzebującym, przede wszystkim w zakresie interpretacji nowych przepisów. A zgłasza się już wiele osób.

— Zwolnionych w styczniu?

— W styczniu, w grudniu. Są i tacy, którym zostało to zapowiedziane lub sami przeczują się za czynnym nowym. W trzech pierwszych tygodniach stycznia było to ponad 1000 osób. Przeważnie pracownicy tak zwani umysłowi.

— Dziennikarze już byli?

— Jeszcze nie, ale mamy zarejestrowanych i ekonomistów, i chemików, z wykształ-

ceniem wyższym, są farmaceut, jest lekarz.

— Grupowych zwolnień na razie nie planuje się?

— Nie wiemy tego. Do nas takie zawiadomienie powinno dotrzeć 45 dni przed zwolnieniem pracowników. Musimy znać ich staż, kwalifikacje, dotychczasowe place. Musimy znaleźć dla nich nową, intratną pracę.

— I wycylić wysokość zasiłku...

— To ostateczność. Choć może i tak być, że czasem lepiej będzie przeczekać kryzys na zasiłku, by trafić do swojej branży. Ale zanim zaczniemy wypłacać zasiłki, formalnie będą jeszcze składane różne propozycje pracy, można jeszcze zaproponować przeszkolenie czyli zmianę zawodu.

— Byli już chętni po zasiłki?

— Oczywiście, kilkudziesięciu zgłosiło się, ale jak mówię: oni przyszli po zasiłki, nie po pracę. A oferty pracy już ich nie interesowały...

— Dwie oferty pracy nie zostały przyjęte, przeszkolenie w grę nie wchodzi i wypłacacie zasiłek bezrobotnemu...

— W wysokości: 70 procent ostatniego wynagrodzenia przez pierwsze trzy miesiące, 50 procent — przez dalsze sześć miesięcy, później — cały czas 40 procent wynagrodzenia. Zasiłek nie może być wyższy niż średnia płaca w gospodarce.

— Nie wierzę, by stały niedobór rąk do pracy nagie zniknął.

— Ja też nie wierzę, również i ten rynek musi zacząć funkcjonować normalnie. Od marca, kwietnia będziemy obserwowali spory wzrost zgłoszeń. Przyglądamy się dokładnie wielu „dziwnym” zakładom.

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

NR 6 (1663), 11 LUTEGO 1990 R.

10 ODGŁOSY

W Łodzi nie ma wolnych miejsc pracy!

I ty możesz zostać bezrobotnym

Rozmowa z dyrektorem Wydziału Zatrudnienia Urzędu Miasta Łodzi — SYLWESTREM POMORSKIM.

— Czy w Łodzi są wolne miejsca pracy?

— We wrześniu 1989 roku mieliśmy 28 tysięcy wolnych miejsc pracy, na koniec grudnia — około 16 tysięcy miejsc. A dziś? Tysiąc dziewięćset. Odpowiedź jest jedna: zakłady nie zgłaszają ofert, a ze złożonych poprzednio wycofały się.

— Zupełnie jakby przestało nagle brakować ludzi w usługach, przybyło listonoszy i panienek w okienkach na poczcie,

a każdy klocek „Ruchu” czynny był już przez okrągłą dobę. Przecież to bzdura!

— I ja tak sądzę. Zakłady pracy, przestraszone nową sytuacją na rynku, zanim przystosują się do zmienionych reguł gospodarczej gry — blokują profilaktycznie zatrudnienie i w tym szukają finansowych rezerw.

— Wchodząc tu odniosłem wrażenie jakby tu szłydo na frontowej ścianie przybyło.

Czyby wydział zatrudnienia rozmnożył się?

— Szkoda gadać, a tym bardziej krytykować decyzje Rady Narodowej Miasta, dość że o prócz Wydziału Zatrudnienia powstał Wydział Pośrednictwa Pracy, podległy naczelnikowi Polesia, a wspólny dla wszystkich dzielnic.

— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-
— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-
— Ludzie przeszli do innych działów, a za parę tygodni, gdy na Wydział Zatrudnienia zwa-

20.

Przez okno na dziewiątym piętrze wieżowca sączyła się mglista szarość. Rozjaśniał ją blask płonącej na biurku lampy z metalowym abażurem. W kręgu światła leżało kilka przedmiotów o różnym przeznaczeniu. Najbardziej rzucała się w oczy wielka foliowa koperta, w której mienili się barwnie włożone w formie ta-

— To u ciebie oznaka humoru czy zawodo-
— Właśnie ta twoja pewność siebie. Przez nią

dotychczas — zaczęło pewnie brakować ludzi...?

— Zabrano w sumie z Wydziału około 30 osób, część przeszedła do nowego wydziału pośrednictwa pracy, resztę „rozplantowano” po innych urzędach. No, ale nie martwmy się na zapas. Uruchamiamy Punkt Porad Prawnych, który będzie udzielał fachowej pomocy wszystkim potrzebującym, przede wszystkim w zakresie interpretacji nowych przepisów. A zgłasza się już wiele osób.

— Zwolnionych w styczniu?

— W styczniu, w grudniu. Są i tacy, którym zostało to zapowiedziane lub sami przeczują się za czynnym nowym. W trzech pierwszych tygodniach stycznia było to ponad 1000 osób. Przeważnie pracownicy tak zwani umysłowi.

— Dziennikarze już byli?

— Jeszcze nie, ale mamy zarejestrowanych i ekonomistów, i chemików, z wykształ-

ceniem wyższym, są farmaceut, jest lekarz.

— Grupowych zwolnień na razie nie planuje się?

— Nie wiemy tego. Do nas takie zawiadomienie powinno dotrzeć 45 dni przed zwolnieniem pracowników. Musimy znać ich staż, kwalifikacje, dotychczasowe place. Musimy znaleźć dla nich nową, intratną pracę.

— I wycylić wysokość zasiłku...

— To ostateczność. Choć może i tak być, że czasem lepiej będzie przeczekać kryzys na zasiłku, by trafić do swojej branży. Ale zanim zaczniemy wypłacać zasiłki, formalnie będą jeszcze składane różne propozycje pracy, można jeszcze zaproponować przeszkolenie czyli zmianę zawodu.

— Byli już chętni po zasiłki?

— Oczywiście, kilkudziesięciu zgłosiło się, ale jak mówię: oni przyszli po zasiłki, nie po pracę. A oferty pracy już ich nie interesowały...

— Dwie oferty pracy nie zostały przyjęte, przeszkolenie w grę nie wchodzi i wypłacacie zasiłek bezrobotnemu...

— W wysokości: 70 procent ostatniego wynagrodzenia przez pierwsze trzy miesiące, 50 procent — przez dalsze sześć miesięcy, później — cały czas 40 procent wynagrodzenia. Zasiłek nie może być wyższy niż średnia płaca w gospodarce.

— Nie wierzę, by stały niedobór rąk do pracy nagie zniknął.

— Ja też nie wierzę, również i ten rynek musi zacząć funkcjonować normalnie. Od marca, kwietnia będziemy obserwowali spory wzrost zgłoszeń. Przyglądamy się dokładnie wielu „dziwnym” zakładom.

Rozmawiał:
DARIUSZ
DOROŻYŃSKI

NR 6 (1663), 11 LUTEGO 1990 R.

10 ODGŁOSY

W Łodzi nie ma wolnych miejsc pracy!

I ty możesz zostać bezrobotnym

Rozmowa z dyrektorem Wydziału Zatrudnienia Urzędu Miasta Łodzi — SYLWESTREM POMORSKIM.

— Czy w Łodzi są wolne miejsca pracy?

— We wrześniu 1989 roku mieliśmy 28 tysięcy wolnych miejsc pracy, na koniec grudnia — około 16 tysięcy miejsc. A dziś? Tysiąc dziewięćset. Odpowiedź jest jedna: zakłady nie zgłaszają ofert, a ze złożonych poprzednio wycofały się.

— Zupełnie jakby przestało nagle brakować ludzi w usługach, przybyło listonoszy i panienek w okienkach na poczcie,

a każdy klocek „Ruchu” czynny był już przez okrągłą dobę. Przecież to bzdura!

— I ja tak sądzę. Zakłady pracy, przestraszone nową sytuacją na rynku, zanim przystosują się do zmienionych reguł gospodarczej gry — blokują profilaktycznie zatrudnienie i w tym szukają finansowych rezerw.

S pacer skończył się. Wróciliśmy do cel. Na korytarzu stały kołki z obładem. Przy otwarciu poprosiłem oddziałowego, żeby spytał wychowawcę, czy mnie przyjmie.

— Obiady nie bierzecie?
— Nie.
— No to zdejmijcie kurtkę i zaraz puszcza, bo właśnie jest. A potem to pójdzie i dziś już nie wraca. Wydam obiad i można iść.
— Andrzej nie spał.
— Cześć Nietoperz.
— Cześć Docent. Gicjo jest?
— Nie jest gicjo. Idę do wychowawcy. Bałuka chyba jednak został pobity i głoduje od trzynastego. Sprawdzę u wychowawcy.

Otwierają się drzwi. Do wychowawcy. Wchodzi do świeżo adaptowanego pokoju. Jeszcze parę tygodni temu było tu biuro — kartoteka. Widać postanowili mocniej „przywiązać” wychowawcę. Podłoga już wybita wykładziną, drzwi uszczelnione, ale i tak zimno. Grzejnik elektryczny nie zdążył jeszcze rozgrzać pomieszczenia. Wychowawca coś pisze.

— Siadajcie, Kropiwnicki.
— Siadam. Na biurku leży teczka Bałuki. Zamknięta. To dowód, że jednak coś jest — nie, że zamknięta, ale, że leży na biurku.
— Słucham, o co chodzi?
— Chciałbym dowiedzieć się, za co Bałuka został pobity i czy nadal głoduje?
— A kto wam powiedział, że pobity i głoduje — ja wiem, że wrócił tu przedwczoraj z leczenia dentystycznego w innym zakładzie karnym. Miał mieć założone protezy zębów.
— Widocznie zamiast wstać nowe, chcieli mu wybić stare. Ale żarty na bok: słyszałem, że ma pęknięte zębra.
— Skąd? Kto wam powiedział?

— Jeśli powiem, że kpt. Kuza, to i tak pan nie uwierzy (Kpt. Kuza jest kierownikiem „ochrony” — odpowiada za ład i porządek w więzieniu. Jest zwierzchnikiem oddziałowych oraz szefem tak zwanej „atandy” — grupy interwencyjnej do tłumienia buntu więźniów. Do jego obowiązków należy także organizowanie sieci konfidentów wewnątrz więzienia oraz zapobieganie „przeciekom” informacji wewnątrz więzienia i na zewnątrz).
— Ja nic nie wiem o pobiciu Bałuki.
— Zatem o jego głodówce pan wie?
— Wy mnie, Kropiwnicki, za język nie ciągniecie. A w ogóle, co was interesuje Bałuka? Macie swoje własne sprawy i to was powinno obchodzić.
— Widzi pan, my już jesteśmy tacy dziwni. Jak byliśmy na wolności, to staraliśmy się osiągnąć coś także dla pracowników służby więziennej. Skorzystalistacie z tego co nieco, prawda?

— „Solidarność” się skończyła. Kropiwnicki. Jesteście skazani i powinni was interesować własne sprawy, a nie Bałuka.
— Jakos dotąd nie udało się w nas zabić uczuć wyższych. A swoją drogą to ciekawe, że pan, wychowawca, nakłania mnie do egoizmu i postawy a-społecznej. To chyba sprzeczne z Kodeksem Wychowawczym?
— Regulamin mówi, że skazany ma się zwracać tylko we własnych sprawach.
— Niech pan da spokój. Jeśli tak mówi, to głupio mówić. A poza tym to i tak badura.
— No, nie wiem, nie wiem.
— Wie pan, wie... wie pan przecież, że Szeremietiew i ja rozmawialiśmy z naczelnikiem i z jego zastępcami w sprawach, które dotyczą wszystkich politycznych, a nie tylko nas dwóch.
— Wiem, że naczelnik z Szeremietiewem nie chce rozmawiać.
— Nie chciał, ale już chce. A poza tym, jak nie chciał z nim, to z mną rozmawiał o wszystkich, a nie tylko o mnie... Ale to wszystko pan wie... Proszę pana, co się mamy bawić w uniki. Mówię jasno: sprawa pobicia i głodówki Bałuki budzi wśród nas niepokój. Mogą być kłopoty. Panu chyba na nich nie zależy? Bo mnie na pewno nie.

— Z moich dokumentów nie wynika, że Bałuka był pobity. A jest niepoważny. Pytałem dlaczego głoduje — to się w ogóle do mnie nie odzywał. Jak chce, żeby przyjechał do niego adwokat, to niech do niego napisze. Przyjedzie, to wpuscimy. Zawsze wpuszczamy.
— Nie zawsze. Do mnie w styczniu i lutym nie wpuszczaliście. W grudniu zresztą też.
— Była inna sytuacja...
— Jutro znowu może być „inna”. To wy decydujecie, kie-

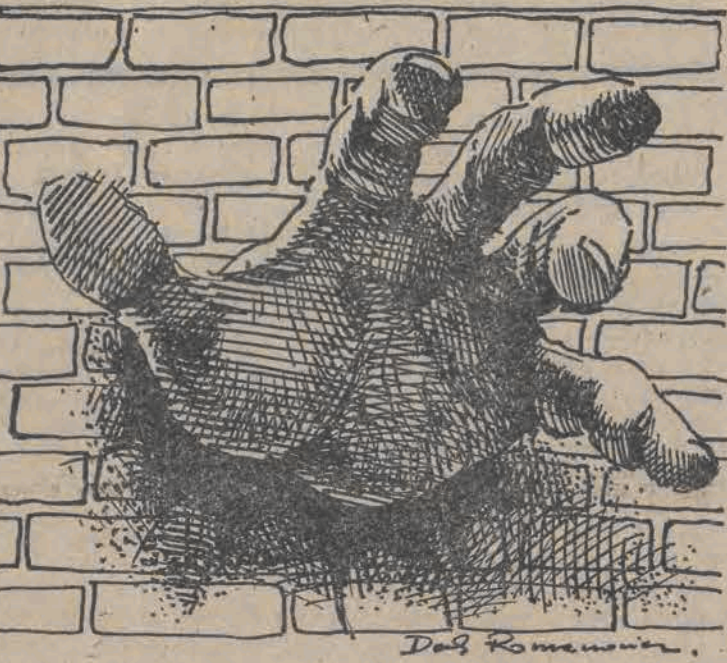
dy jest „inna”. Ale to teraz nieważne. Był Bałuka pobity czy nie? I za co? Czy z tego powodu głoduje?
— Nie wiem, o co głoduje. Jak go pytałem, to powiedział, że sam powinienem wiedzieć, dlaczego głoduje i nie chciał ze mną gadać. A z dokumentów nie wynika, że był pobity.
— Można zażądać w te dokumenty?
— Nie można. To nie są dokumenty udostępniane skazanym.

— Szkoda, ale to i tak bez znaczenia. Sam pan wie, jak się takie dokumenty robi. Jak żęście pobili Słowika...
— Ja nie biłem!
— Siuszenie. Gdy funkcjonariusze tego zakładu pobili Słowika — też w dokumentach nic nie było. Obdukcja stwierdziła „drobne starcie naskórki na policzku, prawdopodobnie od oprawki okularów” — a sam widziałem siniaki od kopniaków w tyłek i udo i „lipa”

Fragmenty książki wydanej przez „Aneks” w Londynie, w 1987 roku (2)

Zapis protestu

JERZY KROPIWICKI



Rys. Dariusz Romanowicz

pod okiem. A okulary to Słowik zakłada tylko do czytania. Wtedy nie miał. Niech mi pan nie opowiada o dokumentach sporządzonych przez służbę więzienną. Niech pan powie po prostu: za co pobili? Czy to prawda, że polamał mu zębra?
— Mówiłem, że ja nic nie wiem. On nie chce mówić.
— To niech mnie pan wpuszcza do niego.
— Nie wolno.
— Może pan przy tym być — jedno pytanie — i już...
— Nie wolno. Kropiwnicki, choćbym chciał...
— Jakby pan chciał, to poszedłby pan ze mną do niego...
— Powiedziałem, że nie wolno.

— Kto zabronił?
— Coście się tak uparli. Kropiwnicki? Powiedziałem, że nie wolno. Zwróćcie się pisemnie do naczelnika — jak się zgodzi, to zobaczycie się z Bałuką. I przestańcie mnie męczyć. Ja wam mówię, że nie — a wy swoje.
— Mam pomysł — niech go pan teraz tu poprosi. Spytam go tu, w pana gabinecie, w pana obecności — o to nikt nie może mieć pretensji. W końcu — gabinet wychowawcy... I nie będę pytał, czy głoduje.
— Nie wolno.
— Proszę pana, przecież nie tu go pobito. Co pan tak się troszczy o tych z Gdańska? Gdyby to było tutaj, to jeszcze bym rozumiał. Ale w innym zakładzie karnym... Co to — sympatyzuje pan z tamtymi ludźmi? Czy może z ich metodami?
— Z nimi nie sympatyzuję. Powiedziałem, że nie wolno, to nie wolno.

Porucznik stał się już bardzo zdenerwowany. Nic więcej już z niego nie wyciągnę. Trzeba kończyć rozmowę.
— Trudno, szkoda, spróbuję się inaczej dowiedzieć.

— Właśnie, właśnie — zwróćcie się do naczelnika...
— Pomyśl o tym. Wie pan, bardzo mi chciałbym pytać twarzą do drzwi i podnosić się na łóżku. Skrzyp drzwi dyżurki. Tupot nóg oddziałowego. Krzyże jeszcze raz, wściekły i zrozpaczony — Odpowiadaj! Zaraz mnie zwiną! Patryk krzyczy:
— Pobili, uszkodzili zębra, głoduje od 13 i dalej trzyma.
— Mundeck, potwierdzasz?
— Oddziałowy jest już przy mnie. Rzućmy jeszcze raz.
— Patryk, pomyśl, o robić, rzymski się zdecydowali. Mundeck, potwierdzasz? Oddziałowy, lekko zdyszany, łapie mnie za ramię. Próbuje jeszcze raz spojrzeć w kukiel. Może to autosugestia, ale wydaje mi się, że Mundeck kiwnął głową. Oddziałowy odciąga mnie od drzwi.

— Kropiwnicki, to nie ważać. Wracajcie. No jak tak można?
— Czasem trzeba.
— Potulnie wracam do celi. Andrzej siada na łóżku. Podchodzi.
— No i co?
— Wychówek kręci, ale jasne, że Bałuka głoduje, i że w Gdańsku go pobili. Byłem pod celą Mundeck. Nie odzywa się, nie reaguje, ale Patryk potwierdza, że było pobicie — Mundeck ma coś z zębami — i że Mundeck trzyma głodówkę.
— A co Patryk?
— Chyba nic. Zdaje się w celi coś „nie tak”. Pokiścił się, czy co?
— Mundeck ma dziwnactwa. Siedziałem z nim, może do Patryka też się nie odzywa, ale układ dziwny: jeden głoduje, a drugi nie...
— Rozmawiałem z Władkiem. Mundeck rzeczywiście nie odzywa się do nikogo. Do Patryka też nie.
— A co Władek?
— Ze Łuciu go zapewnił, że pobicia nie było i że Mundeck powinien sam nas poinformować — bo tak, to niejasna sprawa.
— A Piotrek?
— Piotrek słuchał mojej rozmowy z Władkiem, ale nie wtrącał się. Pogadam jeszcze jutro. W sprawach ogólnych — Władek jest rozszalały na „chłopców z 18” (Moczulski, Stański, Szeremietiew) o koskę i spacernik.

— Fakt. Deklarowali, że jak coś będzie im nie pasowało, to nie będą schodzili.
— To samo mówi Władek. Chyba na razie w ogóle nie ma chęci na cokolwiek. Może się mylę. Zresztą nie drażnięm dziś temat, bo sprawa Bałuki pilniejsza. Ale to, co mówił wczoraj, przedwczoraj... Na razie nie ma co liczyć na wejście w cokolwiek. Musi jeszcze „dojrzeć”.

— To co — jedziemy z naszym tematem?
— Nie da się uniknąć. Z cukrem stoimy nieźle — choć przydałby się jeszcze kilogram albo dwa. Papierosy starczy — trzeba zacząć chować.
— Kiedy start?
— Sądze, że tak jak myśleliśmy — tuż przed widzeniem. Żeby zdążyć wypchnąć grypsy. Może w niedziele ktoś będzie. Ale, cholera, Bałuka już dziesiąty dzień głoduje. To silny imperatyw moralny. I to pobicie. Nie darowaliśmy sobie. A jeszcze, gdyby przerwał, zanim my wejździemy... Głupio.

— No to trzeba wchodzić już. Zresztą rozmawialiśmy wczoraj.
— Dobra, pogadajmy.
— Andrzej zsuwa się z górnego łóżka. Siadamy obok siebie. Nadal rozmawiamy bardzo ścisłymi głosami.

— Andrzej: — Zaraz zaraz, to też ma zalety. Dziś mamy głodówkę, to poćwiartujemy.
— Ja: — Dobra, tylko zanim zrobimy „manifest” do naczelnika, trzeba napisać do „papuga” (adwokatów), żeby przyjechali. Jak ogłosimy głodówkę, mogą zablokować całą korespondencję. Wprowadzić to nielegalne, ale...
— Akurat się tym przejmam... to co, piszemy?
— Sięgamy po adresy adwokatów i pracowidła wyptujemy na pocztówkach:
„Uprzejmie proszę o możliwie najszybsze skontaktowanie się”.

Napisane. Ja znalazłem wszystkie trzy adresy. Andrzej tylko jeden. Nie zgodził, jakos przekazał sobie. Wiedzą, że takie prośby piszemy tylko w alarmowych sytuacjach. Skończono. Dawaliśmy na oddziałowego. Może zdąży jeszcze przekazać do kancelarii. Teraz „memoriał” do naczelnika. To oddamy po „zmianie” oddziałowego — dyżur kończy się o godzinie ośmiastej.

— Czy zostali pobity w Gdańsku? Co ci jest?
— Spoglądam w kukiel. Brak reakcji. Patryk odwraca się twarzą do drzwi i podnosi się na łóżku. Skrzyp drzwi dyżurki. Tupot nóg oddziałowego. Krzyże jeszcze raz, wściekły i zrozpaczony — Odpowiadaj! Zaraz mnie zwiną! Patryk krzyczy:
— Pobili, uszkodzili zębra, głoduje od 13 i dalej trzyma.
— Mundeck, potwierdzasz?
— Oddziałowy jest już przy mnie. Rzućmy jeszcze raz.
— Patryk, pomyśl, o robić, rzymski się zdecydowali. Mundeck, potwierdzasz? Oddziałowy, lekko zdyszany, łapie mnie za ramię. Próbuje jeszcze raz spojrzeć w kukiel. Może to autosugestia, ale wydaje mi się, że Mundeck kiwnął głową. Oddziałowy odciąga mnie od drzwi.

— Kropiwnicki, to nie ważać. Wracajcie. No jak tak można?
— Czasem trzeba.
— Potulnie wracam do celi. Andrzej siada na łóżku. Podchodzi.
— No i co?
— Wychówek kręci, ale jasne, że Bałuka głoduje, i że w Gdańsku go pobili. Byłem pod celą Mundeck. Nie odzywa się, nie reaguje, ale Patryk potwierdza, że było pobicie — Mundeck ma coś z zębami — i że Mundeck trzyma głodówkę.
— A co Patryk?
— Chyba nic. Zdaje się w celi coś „nie tak”. Pokiścił się, czy co?
— Mundeck ma dziwnactwa. Siedziałem z nim, może do Patryka też się nie odzywa, ale układ dziwny: jeden głoduje, a drugi nie...
— Rozmawiałem z Władkiem. Mundeck rzeczywiście nie odzywa się do nikogo. Do Patryka też nie.
— A co Władek?
— Ze Łuciu go zapewnił, że pobicia nie było i że Mundeck powinien sam nas poinformować — bo tak, to niejasna sprawa.
— A Piotrek?
— Piotrek słuchał mojej rozmowy z Władkiem, ale nie wtrącał się. Pogadam jeszcze jutro. W sprawach ogólnych — Władek jest rozszalały na „chłopców z 18” (Moczulski, Stański, Szeremietiew) o koskę i spacernik.

— Fakt. Deklarowali, że jak coś będzie im nie pasowało, to nie będą schodzili.
— To samo mówi Władek. Chyba na razie w ogóle nie ma chęci na cokolwiek. Może się mylę. Zresztą nie drażnięm dziś temat, bo sprawa Bałuki pilniejsza. Ale to, co mówił wczoraj, przedwczoraj... Na razie nie ma co liczyć na wejście w cokolwiek. Musi jeszcze „dojrzeć”.

— To co — jedziemy z naszym tematem?
— Nie da się uniknąć. Z cukrem stoimy nieźle — choć przydałby się jeszcze kilogram albo dwa. Papierosy starczy — trzeba zacząć chować.
— Kiedy start?
— Sądze, że tak jak myśleliśmy — tuż przed widzeniem. Żeby zdążyć wypchnąć grypsy. Może w niedziele ktoś będzie. Ale, cholera, Bałuka już dziesiąty dzień głoduje. To silny imperatyw moralny. I to pobicie. Nie darowaliśmy sobie. A jeszcze, gdyby przerwał, zanim my wejździemy... Głupio.

— No to trzeba wchodzić już. Zresztą rozmawialiśmy wczoraj.
— Dobra, pogadajmy.
— Andrzej zsuwa się z górnego łóżka. Siadamy obok siebie. Nadal rozmawiamy bardzo ścisłymi głosami.

— Andrzej: — Zaraz zaraz, to też ma zalety. Dziś mamy głodówkę, to poćwiartujemy.
— Ja: — Dobra, tylko zanim zrobimy „manifest” do naczelnika, trzeba napisać do „papuga” (adwokatów), żeby przyjechali. Jak ogłosimy głodówkę, mogą zablokować całą korespondencję. Wprowadzić to nielegalne, ale...
— Akurat się tym przejmam... to co, piszemy?
— Sięgamy po adresy adwokatów i pracowidła wyptujemy na pocztówkach:
„Uprzejmie proszę o możliwie najszybsze skontaktowanie się”.

Napisane. Ja znalazłem wszystkie trzy adresy. Andrzej tylko jeden. Nie zgodził, jakos przekazał sobie. Wiedzą, że takie prośby piszemy tylko w alarmowych sytuacjach. Skończono. Dawaliśmy na oddziałowego. Może zdąży jeszcze przekazać do kancelarii. Teraz „memoriał” do naczelnika. To oddamy po „zmianie” oddziałowego — dyżur kończy się o godzinie ośmiastej.

— Czy zostali pobity w Gdańsku? Co ci jest?
— Spoglądam w kukiel. Brak reakcji. Patryk odwraca się twarzą do drzwi i podnosi się na łóżku. Skrzyp drzwi dyżurki. Tupot nóg oddziałowego. Krzyże jeszcze raz, wściekły i zrozpaczony — Odpowiadaj! Zaraz mnie zwiną! Patryk krzyczy:
— Pobili, uszkodzili zębra, głoduje od 13 i dalej trzyma.
— Mundeck, potwierdzasz?
— Oddziałowy jest już przy mnie. Rzućmy jeszcze raz.
— Patryk, pomyśl, o robić, rzymski się zdecydowali. Mundeck, potwierdzasz? Oddziałowy, lekko zdyszany, łapie mnie za ramię. Próbuje jeszcze raz spojrzeć w kukiel. Może to autosugestia, ale wydaje mi się, że Mundeck kiwnął głową. Oddziałowy odciąga mnie od drzwi.

— Kropiwnicki, to nie ważać. Wracajcie. No jak tak można?
— Czasem trzeba.
— Potulnie wracam do celi. Andrzej siada na łóżku. Podchodzi.
— No i co?
— Wychówek kręci, ale jasne, że Bałuka głoduje, i że w Gdańsku go pobili. Byłem pod celą Mundeck. Nie odzywa się, nie reaguje, ale Patryk potwierdza, że było pobicie — Mundeck ma coś z zębami — i że Mundeck trzyma głodówkę.
— A co Patryk?
— Chyba nic. Zdaje się w celi coś „nie tak”. Pokiścił się, czy co?
— Mundeck ma dziwnactwa. Siedziałem z nim, może do Patryka też się nie odzywa, ale układ dziwny: jeden głoduje, a drugi nie...
— Rozmawiałem z Władkiem. Mundeck rzeczywiście nie odzywa się do nikogo. Do Patryka też nie.
— A co Władek?
— Ze Łuciu go zapewnił, że pobicia nie było i że Mundeck powinien sam nas poinformować — bo tak, to niejasna sprawa.
— A Piotrek?
— Piotrek słuchał mojej rozmowy z Władkiem, ale nie wtrącał się. Pogadam jeszcze jutro. W sprawach ogólnych — Władek jest rozszalały na „chłopców z 18” (Moczulski, Stański, Szeremietiew) o koskę i spacernik.

— Fakt. Deklarowali, że jak coś będzie im nie pasowało, to nie będą schodzili.
— To samo mówi Władek. Chyba na razie w ogóle nie ma chęci na cokolwiek. Może się mylę. Zresztą nie drażnięm dziś temat, bo sprawa Bałuki pilniejsza. Ale to, co mówił wczoraj, przedwczoraj... Na razie nie ma co liczyć na wejście w cokolwiek. Musi jeszcze „dojrzeć”.

— To co — jedziemy z naszym tematem?
— Nie da się uniknąć. Z cukrem stoimy nieźle — choć przydałby się jeszcze kilogram albo dwa. Papierosy starczy — trzeba zacząć chować.
— Kiedy start?
— Sądze, że tak jak myśleliśmy — tuż przed widzeniem. Żeby zdążyć wypchnąć grypsy. Może w niedziele ktoś będzie. Ale, cholera, Bałuka już dziesiąty dzień głoduje. To silny imperatyw moralny. I to pobicie. Nie darowaliśmy sobie. A jeszcze, gdyby przerwał, zanim my wejździemy... Głupio.

— No to trzeba wchodzić już. Zresztą rozmawialiśmy wczoraj.
— Dobra, pogadajmy.
— Andrzej zsuwa się z górnego łóżka. Siadamy obok siebie. Nadal rozmawiamy bardzo ścisłymi głosami.

— Andrzej: — Zaraz zaraz, to też ma zalety. Dziś mamy głodówkę, to poćwiartujemy.
— Ja: — Dobra, tylko zanim zrobimy „manifest” do naczelnika, trzeba napisać do „papuga” (adwokatów), żeby przyjechali. Jak ogłosimy głodówkę, mogą zablokować całą korespondencję. Wprowadzić to nielegalne, ale...
— Akurat się tym przejmam... to co, piszemy?
— Sięgamy po adresy adwokatów i pracowidła wyptujemy na pocztówkach:
„Uprzejmie proszę o możliwie najszybsze skontaktowanie się”.

Z różnych szuflad.

Palec króla Stanisława

ANDRZEJ KEMPA

W 1884 r. powtarzano rozpowszechnioną przez petersburski „Kraj” pogłoskę, jakoby w krypcie kościoła św. Katarzyny w Petersburgu znajdowały się obok spoczywającej tam trumny ze zwłokami Stanisława Augusta Poniatowskiego także doczesne szczątki innego polskiego monarchy — Stanisława Leszczyńskiego. Sensacja była to nie lada, bo dotychczas wiadomym było powszechnie, że nieszczęśliwy pretendent do korony polskiej, to strącony z tronu, to znów nań powracający, spoczywa w Nancy, stolicy odległej Lotaryngii, którą władał z łaski swego zięcia Ludwika XV, króla Francji.

Nieznanym z nazwiska autor owej sensacji, wyczytawszy w pamiętnikach Romana Wybranowskiego (Lwów 1882) informacje o przeniesieniu w 1814 r. części zwłok króla Stanisława z Nancy do Warszawy, podjął próbę ustalenia miejsca ich wiecznego spoczynku. Istotnym szczegółem był zapis pamiętnikarza, iż dar mieszkańców Nancy złożony został w Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk w sierpniu 1814 r. przez gen. Michała Sokolnickiego, eskortującego również zwłoki ks. Józefa Poniatowskiego. Wiedząc o tym, że zbiory Towarzystwa trafiły po upadku powstania listopadowego do Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu, korespondent „Kraju” tam właśnie spodziewał się znaleźć rozwiązanie dręczącej go zagadki zwłok królewskich. Okazało się, że dobrze trafił. Dyrektor Biblioteki, tajny radca Afanasij F. Byczkow, przypomniał sobie, że przed laty bibliotekarz Antoni Iwanowski, rozpakowując złożone tam od dawna książki, stanowiące ongiś własność Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, dostrzegł wśród nich niewielką blaszaną skrzyneczkę w kształcie trumienki, nie większą nad ćwierć arszyna (ok. 20 cm). Otworzył tajemniczą trumienkę ujrzał na jej dnie, wyłożonym pasowym aksamitem, małą kostkę, wielkości małego palca, a obok niej karteczkę z napisem „l'ossement du roi Leszczyński” (kość króla Leszczyńskiego). Owczesny dyrektor Biblioteki, baron Modest A. Korf, pospiesznie doniósł carowi Aleksandrowi II o niezwykłym odkryciu. Rewelację „Kraju” potwierdził niebawem pewien, zachowujący incognito, dostojnik Kościoła, jak się okazało naczynny świadek powtórnego pochówku króla Leszczyńskiego. Dziś wiadomo, że owym tajemniczym duchownym był biskup wileński Adam Stanisław Krasinski, od 1853 r. asesor kościoła św. Katarzyny, w latach 1864-1883 na zesłaniu w Wiatce za patriotyczną i bezkompromisową postawę podczas powstania styczniowego.

W maju 1857 r. z polecenia cara, w najgłębszej tajemnicy, złożono opieczetowaną trumienkę w krypcie Stanisława Augusta w katolickim kościele św. Katarzyny. W tej potajemnej ceremonii uczestniczyli: z ramienia cara dyrektor jego kancelarii hr. Sievers, metropolita Wacław Zylinski, przeor dominikanów Stanlewski (późniejszy biskup) oraz Krasinski, jako urzędnik parafii. Artykuł „Kraju” i ważne uzupełnienie Krasinskiego przyczyniły się do publikacji kolejnych opracowań, na podstawie których można zrekonstruować burzliwy los doczesnych szczątków „króla-filozofa”, jak go nazywali współcześni.

W lutym 1766 r. sędziwy, 89-letni monarcha zatrzymał się przy kominku, ogrzewając zniebnięte ciało, jako że zima, nawet w tej słonecznej krainie była przenikliwie chłodna. Nagle poły szlafroka, w który król był przyodział, zajęły się od buzującego ognia. Przerazony starzec pragnąc ugasić płomienie pochylił się zbytnio i straciwszy równowagę upadł na rozżarzone węgle. Gdy przerażona służba wbiegła do komnaty, ich oczom ukazał się widok straszliwie poparzonego monarchy. Sprowadzony lekarz stwierdził rozległe oparzenia i zwęglenie lewej dłoni. Po kilku dniach straszliwych cierpień król zmarł, egzekwia pogrzebowe odprawiono w kościele katedralnym Notre Dame de Bon Secours w Nancy, ciało pochowano obok zwłok wiernej towarzyszyłki życia Katarzyny z Opalińskich. Nie było danym spoczywać spokojnie prochom królewskim w podziemiach kościoła. Wybuchła rewolucja francuska, zrewoltowany tłum wdarł się do kościoła i sprofanował leżące tam zwłoki. Jeden z uczestników napadu porwał głowę zmarłego i zbiegł unosząc czaszkę królewską niby trofeum wojenne. Na szczęście namiętni pamiętali swego dobrodziejnego władcy i jeden z nich błąchacz Mikołaj Kranz odzyskał szrawona głowę Leszczyńskiego i gdy się uspokoiła ruchawka złożył ją na powrót w rodzinnym grobowcu.

11 czerwca 1814 r. odbyła się w Nancy podniosła uroczystość pożegnania przez mieszkańców stacjonujących w mieście wojsk polskich pod dowództwem Sokolnickiego. Na pożegnaniu niezbyt dokuczliwych widocznie Polaków ojcowie miasta postanowili podzielić się z nimi szczątkami wspólnego władcy, które żołnierze chcieli zawięzać do kraju niczym relikwie. W podzięce za ten symboliczny dar ufundowano z żołnierskich składek marmurową tablicę z napisem: „Szczęśliwa wojska polskiego, szukając po całym świecie swej ojczyzny, gdy przez swoje męstwo i wytrwałność odzyskać ją mają, powracając do swoich siedzib pod wodzą Michałem Sokolnickim, dobrego i mądrego króla polskiego Stanisława Leszczyńskiego popiołom ostatnie czynią pożegnania”.

W sierpniu oddziały polskie znalazły się w Poznaniu i tu nastąpił pierwszy podział szczątków Leszczyńskiego. 5 sierpnia, na życzenie Rady Departamentowej Sokolnicki przetrząsnął dla katedry poznańskiej „ulomki wnętrzości czczonego mego, świętej pamięci Stanisława Leszczyńskiego, ziomka, niegdyś wojewody poznańskiego, króla polskiego, księcia Lotaryngii i Baru, księcia Ludwika XV, króla francuskiego, pana wysokimi przytomiami duszy i rozumem obdarzonego, a któremu lud, monarchowie i mędrce zadrości godnie imię filozofa dobroczynnego nadał”.

Kolejna dyspozycja dotyczyła złożenia na wieczny spoczynek fragmentu szczątki króla: „Szczęka, jako członek główny i narzędzie prawdy, które w każdej dobie życia Stanisława, z nieporównaną odwagą i czułością głosiło, że czcija należy i za wysokim uszanowaniem Aleksandra dozwoleniem, między grobami królów naszych w Krakowie złożona będzie”.

I wreszcie: „palec nieskazitelny, co do historycznych zbiorów należy, będzie tłumaczył w Sybilli polskiej te rzy, które sam Józef dla wzoru swych naśladowców i uczestników sławi”. Wynikałoby stąd, że Sokolnicki zamierzał złożyć palec zmarłego monarchy w Puławach, w tamtejszej Świątyni Sybilli, założonej w 1801 r. przez ks. Izabelę Czartoryską skarbnicę narodowych pamiętek, założycielką muzeum historycznego. Było to tym bardziej uzasadnione, że właśnie w Świątyni Sybilli zgromadzono wkrótce pamiętki po ks. Józefie i po Kościuszcze. Stało się inaczej, bo cenna relikwia trafiła z niewytłumaczalnych przyczyn do zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie uległa całkowitemu zapomnieniu, by w 1832 r. znaleźć się w magazynach Cesarskiej Biblioteki w Petersburgu. Wynika stąd, że doczesne szczątki króla Stanisława Leszczyńskiego znalazły się w czterech miejscach: w kościele Notre Dame de Bon Secours w Nancy, „ulomki wnętrzości” w katedrze poznańskiej, szczęka w grobach królewskich na Wawelu, a palec, przechowywany początkowo w Warszawie trafił po latach do królewskiej krypty w kościele św. Katarzyny.

Okazało się, że i tym razem nie zakończyła się ziemską wędrówka królewskiego palca. W 1925 r., wskutek prac specjalnej komisji rewidykującej dobra polskie zagrabione przez Rosjan podczas zaborów, palec królewski z podziemi kościoła św. Katarzyny wrócił do kraju, ale jest to już temat odrębnego szkicu.



Masz temat dla reportera?
Cos cie drażni, niepokoi,
szlag cie trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Opinie, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

8 lutego 1990 r. — **BOGDA MADEJ** — godzina 10—15.

15 lutego 1990 r. — **DARIUSZ DOROŻYŃSKI** — godzina 10—15.

TELEFON 36-77-70 CZEKA NADAL NA CIEBIE.

TEMATY NA DYŻUR RED. BOGDY MADEJ

- Czy interesujesz się najbliższą ci formą samorządu terytorialnego a jeśli nie, to dlaczego?
- Jak sobie wyobrażasz pracę samorządu, od którego powinno zależeć twoje codzienne życie?
- Jacy ludzie powinni pracować w samorządach i czy znasz takich ludzi w twoim otoczeniu?
- Jakie nadzieje wiążesz z wyborami samorządowymi?

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO Z DNIA 1 LUTEGO 1990 R.

W dniu dyżuru reportera zaczęliśmy podwójnie płacić za przejazd komunikacją miejską. Pan Czesław Makowski z Retkini przeczytał w nr 3 „Odgłosów” rozmowę, w której MPK skarży się na biedę i dotację. Postuluje więc, aby każdy kierowca autobusu i motorniczcy tramwaju poczuli się prawdziwym gospodarzem swojego wozu, dbał o kulturę i uprzejmość wobec pasażerów, o każda wyrwaną śrubkę lub uchwyt, ot-

rzymując w zamian wyższe wynagrodzenie a wówczas MPK zyskałoby, bo wozy nie ulegałyby dewastacji. Myślimy, że gdyby każdy pracownik był akcjonariuszem MPK, to wozy byłyby tak sprawne i zadbane, jak rower p. Makowskiego, którym jeździ do pracy już od 15 lat. Ponadto p. Makowskiego zauważa, że przyszła kryzys na Matyska, czyli sprawiedliwość stało się zadość. Nie ma kolejki pasażerów, jest kolejka taksówkarzy, którzy kiedyś w sposób arogancki wybierali sobie pasażerów na Widzew lub Chojny i nie chcieli im się otworzyć bagażnika, żeby włożyć bagaż pasażera. Nie ma to jak zdrowy rynek i zdrowa konkurencja.

Pani Anna Cuchrowska, od lat nasza Czytelniczka, zrezygnowała już z „Przekroju”, lecz pozostaje wierna „Odgłosom” uważając je za jedno z lepszych pism. Stwierdza że program telewizyjny w „Odgłosach” to świetny pomysł. Sprzeciwia się natomiast takiemu rozbojowi, jak rozprawienie na ksero w zakładach pracy co poczynniejszych gazet. Partie polityczne na wsi p. Anny nie interesują, lecz mimo to dziękujemy za uznanie i za telefon. Poza tym warto dodać że podobnie jak tysiące lodzian, p. Cuchrowska czeka na telewizję kablową i programy z innych krajów, co uzyskały już inne miasta w Polsce.

Jedną z czytelniczek pytała o dalsze losy publikacji na łamach „Odgłosów” pracy Jacka Kubitzky'ego pt. „Szwecja od środka”. Redakcja, co jest czymś zwykłym, naturalnie wybrała z całości co cenniejsze fragmenty i zamieszcza je na swych łamach między nadzieję, ku zadowoleniu Czytelników.

Kolejny już dyżur reporterski wskazuje, iż Czytelnicy nie przepadają za z góry proponowanym tematem. Interesują ich problemy z tzw. realnej rzeczywistości, co jest bez wątpienia efektem niemal półwiecza tzw. realnego socjalizmu. A więc do usłyszenia w nowej i — miejmy nadzieję — umacniającej się Rzeczypospolitej Polskiej.

RYSZARD BINKOWSKI

BIEDNY MARKIZ

Dopiero w 1968 r. mogły się ukazać we Francji dzieła zebrane markiza de Sade'a, pisarza i filozofa, który poszerzył naszą wiedzę o najmroczniejszych zakątkach ludzkiej psychiki. Scigany przez teściową, wiele lat spędził w więzieniach, aby zakończyć wreszcie życie w szpitalu dla umysłowo chorych.

W 250 rocznicę urodzin autora „Justyny” łódzki sąd odrzucił wniosek grona miłośników twórczości nieszczęśliwego markiza o rejestrację stowarzyszenia im. de Sade'a.

Wracamy do Europy, byle tylko nie średniowiecznej.

ko

KURA CZY JAJKO?

Na łamach odnowionego „Głosu Porannego” Krystyna Majda opierając się na opinii anonimowej rozmówczyni, zamieszcza informację, która pozwoli podnieść głowę członkom byłej PZPR. Za stalinowskie wypaczenia przewodniej siły narodu odpowiedzialne jest bowiem ZMP.

To prawda, że PPR już w lipcu 1948 r. objęła ideowe i faktyczne kierownictwo nad przymusowo skomasowanym w jedną organizację ruchem młodzieżowym, nie zawsze zresztą sympatyzującym z komunizmem, podczas gdy sama wchłonęła PPS dopiero w grudniu tegoż roku obierając sobie za symbol cztery litery — PZPR. Zaś na czele tej partii, wywodzącej się z partii Lenina, stanął Bolesław Bierut, który nigdy do ZMP nie należał, podobnie jak Jakub Berman i Hilary Minc.

Tak więc spór na temat, co było najpierw: kura czy jajko, trzeba rozstrzygnąć dość jednoznacznie — najpierw było NKWD.

id.

OSTATKI

Do wsi G. w Łomżyńskim przyszło na ostatki czterech przebranych: Król, Śmierć z kosą, Diabeł i Pastuch z gwiazdą. Wszyscy je-



Przekrycie mi to, dobry człowieku, na lemeż

dli, pill, tylko Diabeł bronił się przed trunkiem jak przed święconą wodą. Wieś była zyciwa, gościnna, ale i złorzecząca. Od Króla domagano się detronizacji naczelnika gminy, który panoszył się jak kaczy i bierze łapówki. Baby prosiły Śmierć, by wycięła kosą melniarzy i chuliganów, co niszczy wiaty na przystankach autobusowych. Dewotki błagały Diabła, aby postraszył proboszcza, gdyż ten ściga coraz wyższe ofiary i zamiast budować kaplicę, wznosi luksusową plebanie dla wikarego. A młodzi naciskali ostro Pastucha, żeby trzasnął gwiazdą sekretarza partii, który nie chce ustąpić z lokalu a oni nie mają pomieszczenia na dyskotekę.

Finał ostatnich nastąpił w remizie przy zbiorowym poczęstunku, gdy przebrani zdjęli maski. Król okazał się naczelnikiem, Śmierć — komendantem posterunku, Diabeł — młodym wikarym, Pastuch zaś — sekretarzem ustępującej partii.

Wieś bez większej konsternacji uznała to za wredny chwyt reklamowy gminnej nomenklatury, która próbowała nawiązać pożegnalny kontakt ze społeczeństwem przed wyborami do samorządu terytorialnego.

BEZ ŚNIEGU I PIENIEDZY

Wysokie ceny skierowań na zimowiska spowodowały wyraźny spadek zainteresowania tą formą wypoczynku. Według rozeznania kuratorium na 20 grudnia 1989 r. poza miasto powinno wyjechać 11 tysięcy dzieci, czyli o 6,5 tysiąca mniej niż w 1989 roku. Duże zakłady pracy (m.in. ZPB im. J. Marchlewskiego, Drukarnia Dzielowa i Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”) rezygnują z organizacji kolonii. W tym roku z 800 ofert wykorzystano zaledwie 150.

M.M.

SŁOŃCE NA ULICY PIWNEJ

Jak będzie rynek, to może i będzie piwo nie tylko łódzkie. Tym bardziej, że z Żywca donoszą, jakoby tamtejszy browar zakupił maszynę do puszkowania piwa. A więc jest nadzieja, że i na ulicy piwnej zaświeci słońce i można będzie wybierać: „Żywiec” w butelce, „Żywiec” w puszcze, do tego piwo tyskie, poznańskie, gdańskie, wrocławskie... Oj, marzenia...

ZENEK P.

„WESTA” NIE UPADNIE

Po Łodzi krąży plotka o rychłym upadku Spółdzielczego Zakładu Ubezpieczeń „WESTA”, który znalazł się na skraju bankructwa za sprawą ogromnego odszkodowania, jakie musi wypłacić po pożarze pawilonu „CHEMIA” przy ul. Traugutta. Dobrze poinformowani stanowczo zaprzeczają. „WESTA” ma się dobrze, ponieważ firma wykupiła... polisę PZU. Przewornie zawsze ubezpieczony...?

M.J.

KUMPEL Z WOJSKA

Paweł P. nie gardził wódką. Miewał też „sześcioludówki”. Właśnie suszyło go po ostatniej, gdy spotkał Mirka D. — kumpła z wojska. Kumpel był przy forsie. Obalili połówkę i Paweł P. zauważył brak zegarka. Od dyskusji doszło do bójki, w czasie której zdenerwowany Paweł P. posłużył się nożem kuchennym. Cios był celny. Mirek D. już nigdy nie weźmie cudzego zegarka, a Paweł P. długo będzie czekał na następną „sześcioludówkę”.

Morał: Uni'aj kumpli z wojska albo chowaj noże kuchenne do szuflady.

A.G.

DROBLAZGI

— Smyczek do skrzypiec kosztuje 1 mln, pensja — 200 tys. więc muzycy wyjeżdżają z kraju. Nie po to, by obcować z muzyką i sztuką, tylko żeby dorobić, oszczędzając podczas trwania tournée na dietach.

— Elektrociepłownia im. Lenina zatrudni mężczyzn do obsługi łaźni i szatni. Kobiety nie wolno, bo cała para poszaby w gwizdek?

— Jary i wawozy pod Łaskowicami zamieniają się w gigantyczny pablanicki śmietnik. „Życie Pablanie” donosi, że po zakończeniu inwestycji skorzystają na tym okoliczni mieszkańcy. Gratulujemy!

R.B.



RELACJE — REWELACJE

Wycieczki zagraniczne (Air Tour):
— Tajlandia — 10 dni — 13.600.000,—
— Singapur — 10 dni — 15.750.000,—
— Brazylia — 15 dni — 21.800.000,—
— Kalifornia — Hawaje — 17 dni — 28.000.000,—
Średnia płaca w gospodarce usp. — ?!...
OTV „HELIOS 20” — 4.960.000,—
OTV „HELIOS 22” — 5.930.000,—
Magnetowid „Kasprzak” — 4.235.000,—

OPINIE

Marian Kwiecień — dyrektor naczelny ZPP „Feniks”:

— Nie muszę tłumaczyć, iż zwolnienia, przesunięcia, redukcja to szalenie delikatne i skomplikowane sprawy. A my duże cięcia administracyjne, we wszystkich grupach mamy już właściwie za sobą; w latach 1985—1987 takimi działaniami objęto grupę 500-600 osób. Ale i teraz przymierzamy się do sporych korekt, tak bym je określił. Nie ulega kwestii, iż lenie i obiboki z produkcji jako pierwsi pójdą „pod młotek”. Szereg osób zostanie przesunie-

tych do innych zawodów. Mamy choćby nadmiar pakowaczek, układaczek i część z nich będzie musiała przekwalifikować się na szwaczki. Będą również zmiany i korekty w administracji, w działach pośrednio produkcyjnych Przymiarki osobowe czynamy robić i nie unikniemy tego, choć wiem, że psychocha wśród ludzi jest straszna...

Paweł Tobiasz — zastępca dyrektora do spraw techniczno-produkcyjnych ZZPO „Wólczanka”:

— Taka jest „naga” prawda: od września ubiegłego roku li-

cząc do lutego obecnego roku z naszej administracji odejdzie około 60 osób. Ale na tym nie koniec, fundusz płac jest jaki jest i 31 stycznia pożegnaliśmy kolejną grupę, ponad dwudziestuosobową, pracowników naszego biuro i służb pomocniczych. Inaczej zgoła przedstawia się sytuacja w sektorze produkcyjnym. Mamy tu nieco wolnych miejsc, zapewnioną kontraktami produkcję eksportową i praktycznie w tej chwili możemy przyjąć w Łodzi około 30 szwaczek. Być może wróca ci, którzy kiedyś zrezygnowali do firm prywatnych...

D.D.

Gdzie po zakupy?

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



POLEMIKI



Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

IZBA PAMIĘCI DLA WSZYSTKICH, ALE...

W lokalu Komendy Chęragwi ZHP im. Bohaterskich Dzieci Polskich od ponad dwudziestu lat istnieje Izba Pamięci, która założyli instruktorzy harcerscy-seniorzy, byli członkowie „Szarych Szeregów”, więźniowie hitlerowskich i rosyjskich obozów koncentracyjnych itp. Przez długie lata gromadzono tu drogie i unikalne dokumenty, mające nieocenioną wartość historyczną dla harcerstwa. Jest ich około 7 tysięcy. Izba tę opiekunowie udostępnił drużynom i szczerpom harcerskim, które uczą się poznawać swoje korzenie. Niedawno organizatorzy izby na podstawie zaistniałego wydarzenia (które nastąpiło w tej izbie), zaczęli się zastanawiać, czy posiadane dokumenty i pamiątki można i warto udostępnić do wglądu zainteresowanym?

Któregoś dnia zgłosił się do Izby Pamięci harcerski instruktor z nowo powstałego Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej prosiąc o udostępnienie zbiorów dotyczących historii ZHP. Kierownik Komisji Historycznej hm Marian Bilecki, były więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego, zawsze darzący zaufaniem odwiedziających Izbę, pokazał żądane dokumenty, nie zezwalając jednak na ich wypożyczenie. Harcerze zabrali się do studiowania okazanych dokumentów, zaś dh Marian Bilecki zajął się innymi sprawami. Po pewnym czasie podkiewkowali za pomoc i wyszli. Dh Marian Bilecki składając na miejscu wypożyczone dokumenty zauważył, że brakuje w nich unikalnego już dzisiaj „Statutu ZHP z r. 1918”, który korzystając z chwilowej niedwaj przywłaszczili sobie przybyli.

W r. 1980 skradziono z wystawy poświęconej 75-leciu ZHP planszę zawierającą wiersz „Przyrzeczenie” pisany w r. 1944 Dziwnym zbiegiem okoliczności w obydwu tych „bojowych akcjach” uczestniczyli niemal te same osoby.

Instruktorzy — seniorzy zawsze mieli duże zrozumienie dla czynności „młodych i gniewnych” starających wylamać się spod nacisku partyjno-organizacyjnej „góry” z Warszawy. Ostatnio jednak partycypacje zostały poważnie naruszone. Odczuwa to nie tylko obserwując „wyskok” instruktorów ZHR, ale i stosunek Naczelnika „Szarych Szeregów” Stanisława Broniewskiego „Orszy”, który pochłonięty kiedyś idealami ZHR poparł ją, ale później opuścił te organizację przechodząc do ruchu „ZHP-1918”. Starzy instruktorzy harcerscy (bynajmniej nie „pogrobownicy partyjni” jak dla zamyslenia oczu twierdzą różni „odnowiciele”) są mocno zaniepokojeni tym, że pewne odiami „odnowiciele” harcerstwa” w imię wymyślonych przez siebie celów żądają bezpłatnych subwencji, państwowych lokali itp. przywilejów.

MIECZYSLAW KOZAK

Z DZIEJÓW PARAFII EWANGELICKO-AUGSBURSKIEJ W ZGIERZU

Zainspirowany wspomnieniami Henryka St. Roźniaty — „Sam na szosie” — w numerze 46 (1650) z 12.11.1989 r., jako obecny proboszcz Parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Zgierzu chcę podzielić się paroma refleksjami, dotyczącymi zburzenia kościoła ewangelicko-augsburskiego w Zgierzu 3 września 1939 r.

Kościół ten został wybudowany staraniem sukienników, przybyłych do Zgierza na początku XIX w. Poświęcony został 10.09.1826 i przez wiele lat służył ewangelikom zgierskim. Przybywali oni do Królestwa Polskiego w poszukiwaniu pracy i chleba z Pomorza, Prus, Saksonii i innych krajów. W związku z tym, że używali na co dzień języka niemieckiego, język ten był też używany w liturgii nabożeństw. Natomiast akta chrztów, ślubów i pogrzebów spisywane były w języku polskim i od 1828 r., blisko przez 40 lat podpisywane przez pierwszego duszpasterza parafii zgierskiej ks. Henryka Bando, który zamiast tytułu proboszcza używał tytułu pastora.

Z biegiem czasu niektóre rodziny zaczęły używać języka polskiego. Organizować zatem nabożeństwa liturgiczne w języku polskim. Już w XIX w. ukazały się księgi liturgiczne w języku polskim i niemieckim, a także zbiory pieśni; śpiewniki dla Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Królestwie Polskim.

Według posiadanych przeze mnie notatek spory narodowościowo w parafii ewangelickiej w Zgierzu rozpoczęli duszpasterstwo wojskowe, którzy w latach II wojny światowej przybyli na te tereny. Konflikt na tle narodowościowym utrudniał pracę kościelną w całym dwudziestoleciu międzywojennym i był prawdopodobnie bezpośrednią przyczyną zburzenia kościoła parafialnego w Zgierzu. Pomimo to, iż autor wspomnień „Sam na szosie” pisze, iż wokół kościoła skupiali się całe niemieckie życie, trzeba stwierdzić, że właśnie przekonania narodowościowo proboszcza zgierskiego ks. rady Aleksandra Falzmana były przyczyną aresztowania i stracenia go w czasach hitlerowskich. Oprawy zarzucał mu, że był „prawą ręką” ks. biskupa Juliusza Bursche, zwierzchnika Kościoła ewangelicko-augsburskiego w II Rzeczypospolitej. Biskup Bursche stał na gruncie polskiej racji stanu, czuł się Polakiem i należało mu na rozwoju polskiego Kościoła ewangelickiego.

Henryk St. Roźniata pisze, iż połowa mieszkańców Zgierza to ziemiaństwo najezdźców. Nie znam statystyki z 1939 r. W czasie urzędowego spisu w 1931 r. w Zgierzu do języka niemieckiego, jako mowy ojczystej, przyznawało się 2.380 osób, do języka polskiego przynależało 19.865 osób, a do języka jidysz 4.408 osób. W tym samym roku w Zgierzu zamieszkiwały 2.483 osoby wyznania ewangelicko-augsburskiego, a Zgierz liczył 26.618 mieszkańców.

Po wojnie nie udało się odbudować zombardowanego kościoła przy ul. Szczyńskiej (obecnie Gabriela Narutowicza). Życie parafialne w polskiej szacie językowej zaczęło się rozwijać w Zgierzu od 1947 r. Nabożeństwa odbywały się w drewnianej kaplicy cmentarnej. Pomimo usilnych starań ówczesne władze nie wyraziły zgody na zbudowanie w latach 70. kościoła na dawnym miejscu. Plac na którym stał kościół ewangelicki jest do dziś pusty i widać na nim tylko ślady fundamentów. Parafia Ewangelicko-Augsburskiej wyrażono natomiast zgodę na budowę kościoła przy cmentarzu parafialnym. Kościół ten pod wezwaniem Opatrzności Bożej w Zgierzu, przy ul. Spacerowej 2, został poświęcony 18.06.1972 r. przez ks. biskupa Andrzeja Wantulę. 3.09.1989 r. odbyło się w kościele Opatrzności Bożej uroczyste nabo-

żeństwo, w czasie którego zwierzchnik Diecezji Warszawskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego ks. senior Jan Walter dokonał oddania tablicy upamiętniającej życie proboszcza zgierskiego ks. Aleksandra Falzmana. Napis na tablicy głosi:

Sp. ks. Aleksander Falzmann
Proboszcz Parafii Ewangelicko-Augsb. 1920—1939
Rada Konsystorza 1938—1939
Zginął za wiarę Ewangelii i Ojczyznę w obozie koncentracyjnym Dachau 4.V. 1942 w wieku 55 lat. W 50 rocznicę zombardowania kościoła tablicę tę ufundowała zgierska Parafia Ewangelicko-Augsburska 3.IX. 1989 r.
Dobry bój bojowałem, błąd dokonałem, wiarę zachowałem
(2 Tym. 4.7).

W czasie nabożeństwa wspomniano poległych w czasie wojny i prozono Boga o dar nawrócenia i życia w pokoju w Europie i na świecie.

Dalsze wspomnienia autora dotyczą postaw zajmowanych przez konkretnych ludzi w trudnych i przełomowych czasach. Sądzę, że oprócz przytoczonych przykładów warto także wspomnieć takich, którzy odmówili podpisania listy narodowościowej przypięcia swym życiem. Ich groby wskazywano mi swego czasu na cmentarzu na Dotach. W czasie kampanii wrześniowej 1939 r., w obronie Polski poległ między innymi Maks Ernst, lekarz, porucznik Wojska Polskiego, członek Parafii Ewang.-Augsb. w Zgierzu.

Książkę pt. „Wszystko co mogę ci powiedzieć” Witold Konczarek opublikował pod swoim własnym nazwiskiem i z tego, co wiem, jest to zbeletryzowana próba przedstawienia fragmentu zgierskiej historii.

Ks. mgr MARCIN UNDAŚ

CZY ADAM OCHOCKI POMYLIŁ SIĘ?

Dla nas w Łodzi, w naszym prowincjonalnym (Boże, co za słowo) podwórku, szczególne znaczenie mają pamiętniki, wspomnienia o Łodzi. Tym bardziej, że nie jest ich dużo, a o historii Łodzi piszą przede wszystkim nieoładzanie. Dlatego z dużym zainteresowaniem czytam materiały, jakie wychodzą spod pióra Adama Ochockiego. Niektóre z nich mogę weryfikować (zestawiać z moimi osobistymi wspomnieniami). Jednakże moje uznanie dla Adama Ochockiego nie może powstrzymać mnie przed pewnymi krytycznymi uwagami.

W nr 38/39 „Odgłosy” ukazał się materiał A. Ochockiego pt. „Euforia i rozczarowanie”. Sądziłem, że może ktoś zabierze w tej materii głos, ale ponieważ tak się nie stało, więc ja pozwalał sobie zabrać głos odośnie jednego z sekcji tego artykułu. A. Ochocki pisze w niniejszym artykule „Jan Grobelniak”: „Dodatkowo pisał on u nas funkcję „sitredaktora”, czyli redaktora od siedzenia. Każda konfiskata gazety pociągała za sobą sprawę sądową, a że wydawcy nie mieli ochoty na odstąpić, wprowadzili instytucję „redaktora odpowiedzialnego”, który za minimalną dopłatą do pensji stawał przed obliczem Temidy. Grzywny płacili wydawcy, ale za krótki wredował „odpowiedzialny”.

A. Ochocki pisze w tym artykule, jak i w wielu poprzednich, podając nazwę dziennika — „Republika”. Tymczasem dziennik ten, wychodzący w Łodzi, nie miał nazwy „Republika”, tylko „Ilustrowana Republika”. Tak pisano w tytule i pod tą nazwą figuruje on w Katalogu Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi (sygnatura P.50415).

Wprawdzie, jak przypominam sobie, na ul. Piotrkowskiej nr 49, na froncie kamienicy, w której mieściła się redakcja, figurował duży szyld (ponad parterem, a na poziomie podłogi pierwszego piętra) z napisem „Republika”, ale to w niczym nie zmieniło nazwy gazety. Była to informacja niejako, hasło wywoławcze.

A. Ochocki pisząc o „sitredaktorze” nie umieszcza sprawy (zadaniem) w czasie, ale z kontekstu wynika, że miało to mieć miejsce przed samym wybuchem wojny 1939 r.

Informacja ta jest myląca. Chyba pamięć A. Ochockiego zawiodła. Na terenach wchodzących w skład Polski „redaktor odpowiedzialny” występował w niemieckiej ustawie prasowej z 7.V.1874 r. (Dz.U. Rzeszy niem., str. 65), w paragrafach 8, 10, 11 i 21. Obowiązywały one na ziemiach zachodnich do wejścia w życie Prawa prasowego. Przepisy karne ustawy z 1874 r. przewidywały możliwość wymierzenia redaktorowi odpowiedzialnemu kary pozbawienia wolności. Stąd powstało niemieckie słowo (rzeczownik) — „Sitredacteur”.

Przed wojną obowiązywało w Polsce Prawo prasowe, ustanowione dekretem Prezydenta Rz.P. z 21.XI.1938 (Dz.U. Nr 89, poz. 608). Weszło ono w życie 28.XII.1938 (art. 75). Operowało ono tylko pojęciem „redaktor”. Przepisy prasowych przewidzianych była cała gama. Spraw sądowych było natomiast niewiele. Z dniem wejścia w życie Prawa prasowego utraciły moc przepisy kodeksu karnego z 1903 r. obowiązujące w b. Kongresowce (szczególnie pomijam), a utrzymane w mocy przez art. 2 pkt 1. Przepisów wprowadzających kodeks karny z 1932 r. Te przepisy operowały pojęciem „redaktor” lub „wydawca”, ale nie „redaktor odpowiedzialny”.

Niemniej przed wejściem w życie Prawa prasowego z 1938 r. w stopce redakcyjnej „Ilustrowanej Republiki” figurowało nazwisko „redaktora odpowiedzialnego”. Było to sformułowanie metaprawne. Mogło ono służyć za parawan (za „chłopca do bicia”) wydawcom.

Już po wydaniu Prawa prasowego z 1938 r., a przed jego wejściem w życie, nie figurowało w stopce „Ilustrowanej Republiki” nazwisko „redaktora odpowiedzialnego”. Przedtem jednak nie figurowało nazwisko „Jan Grobelniak”, jak pisze A. Ochocki. Ostatni „redaktor odpowiedzialny”, to Stefan Dymek (od 1937 r.), a przed nim jako „redaktor odpowiedzialny” figurował Wacław Smólski. A więc nie „Jan Grobelniak”.

Przeładając ostatnie przedwojenne roczniki „Ilustrowanej Republiki” jakoś nie natrafiłem na dane o konfiskatach, co nie wyklucza, że jednak były.

Jak dalece podejście do redakcji było wówczas w Polsce liberalne, niech świadczy fakt, że jak napisałem wyżej Prawo prasowe weszło w życie 28.XII.1938 r., a „redaktor odpowiedzialny” (Stefan Dymek) figurował po raz ostatni w stopce w numerze 335 z 6.XII.1938 r., natomiast od numeru 336 z 7.XII.1938 r. figurowali w stopce redakcyjnej jedynie redaktorzy stron i działów. A więc w czasie „vacatio legis” (po wydaniu przepisu, a przed jego wejściem w życie), ten metaprawnie istniejący „redaktor odpowiedzialny” był zbędny.

Myślę, że byłoby dobrze, aby Adam Ochocki napisał w oparciu o publikacje w „Ilustrowanej Republice” o procesach „redaktorów odpowiedzialnych”, oczywiście z podaniem dat i numerów gazet. Wówczas można by informacje A. Ochockiego weryfikować i zastanowić się na temat podstaw odpowiedzialności tych osób. Podejmując się to uczynić. Również byłoby dobrze, aby napisał o konfiskatach tej gazety. Jeśli były. Oczywiście również z podaniem dat i numerów.

Moje uwagi w niczym nie zmieniają mojego poglądu, że artykuł wspomnieniowy Adama Ochockiego uważam za ciekawy i mogący służyć za przyczynek do historii prasy łódzkiej. Historii szczegółowej, do dziś nie napisanej.

Nie mogę jednak powstrzymać się od ogólnej uwagi. — O ile była bardziej żywa i interesująca, pulsująca dniem bieżącym, dawna przedwojenna „Ilustrowana Republika” w porównaniu do dzisiejszej łódzkiej prasy codziennej. To tylko umyślowić sobie można przeglądając przedwojenne roczniki „Ilustrowanej Republiki”.

LESZEK ŚLUGOCKI

Nie pomyliłem się „Republika” przez lata ukazywała się bez nadtytułu. Nadtytuły pojawiały się po konfiskatach i oprócz „Ilustrowanej” (do wojny) czytelnicy okresami otrzymywali „Nową Republikę”, „Młodą Republikę”, „Łódzką Republikę”. O przywiązaniu wydawców do właściwego tytułu świadczy fakt, że owe nadtytuły zamieszczano niki, ledwo czytelną czcionką na tle tytułu „REPUBLIKA”, drukowanego na czerwononielkach i literami. Nikt nie prenumerował ani nie żądał w kioskach „Ilustrowanej”, „Młodej”, czy „Łódzkiej” — po prostu pytano o „Republikę” i pod tą firmą nasze wydawnictwo wszędzie występowało.

Jan Grobelniak z całą pewnością był naszym „redaktorem odpowiedzialnym”; od kiedy do kiedy, nie pamiętam. W latach pięćdziesiątych, gdy zabierałem się do tego tomiku wspomnień „Reporter przed konfiskacją” (jest tam cały rozdział poświęcony „sitredaktorom”), odwiedziłem pana Jana w jego mieszkaniu przy ul. 22 Lipca. Powspominaliśmy dawne dzieje, m.in. jak to nasz były „odpowiedzialny” przesiadział w kicju za jakąś kolejną konfiskatę.

„Redaktorzy odpowiedzialni” koncernu „Republika” zmieniali się mniej więcej tak często jak nadtytuły gazety. Poza wymienionymi przez autora listu — Stefanem Dymkiem i Wacławem Smólskim funkcje te pełnili jeszcze metrapaź Józef Burman, zecer Stefan Pietrzak i inni — zarówno w „Republice”, popołudniowym „Expressie” i innych tytułach naszego wydawnictwa. Nazwisko Jana Grobelniaka jako „redaktora odpowiedzialnego” do 1939 r. figurowało w stopce wszystkich kilkunastu wydań mutacyjnych „Expressu Ilustrowanego”. Nie wiem tylko, dlaczego L. Ślugocki sugeruje, że Jan Grobelniak pełnił swą dodatkową funkcję przed samą wojną. Ja tego nie napisałem. W dzień wybuchu wojny pan Jan spalił listy czytelników „Expressu” z karykaturami Hitlera — jako b. „odpowiedzialny”.

Bardzo dziękuję L. Ślugoickiemu za ciekawe informacje o dawnych ustawach prasowych oraz za słowa uznania dla mojej twórczości i dla naszej przedwojennej „Republiki”. To prawda, że była ona żywiej i ciekawiej redagowana niż obecna codzienna prasa łódzka.

ADAM OCHOCKI

NAZYWAŁ SIĘ BOLESŁAW GERAGA

Oto uwagi do listu E. Kaźmierczaka („Odgłosy”) nr 49-59. 1. Mgr Edward Kaźmierczak nazywa swego poprzednika na stanowisku przewodniczącego Prezydium RN m. Łodzi B. Giergą. Jest to błąd co jakiś czas powtarzający się. Były ojciec Łodzi nazywał się Bolesław Geraga. Urząd swój pełnił w latach 1954—1956. Wcześniej był przewodniczącym Prezydium WRN w Rzeszowie (1950—1952) i Gdańsku (1952—1954). Zmarł w Łodzi w 1986 roku.

2. Być może przypadkiem z sekretarką i krzesłem nie było, ale przypomina to opinie o byłym przewodniczącym Rady Narodowej, które kiedyś krążyły po Łodzi.

Większość byłych działaczy wysokiego szczebla chciałyby czytać pochwały i jest uczulona na głosy krytyczne. Gdy byli u władzy, to myśleli, iż przelona pokolenia będącymi im pomniki. A tu figa...

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

ODPOWIEDZIELI NA KRYTYKĘ

— Dyrektor Łódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku — mgr Jerzy Góralczyk, wyjaśnia, że Ogród Botaniczny otwarty jest od marca do października, a wprowadzenie opłaty za wejście do OB wynikało z konieczności opłacenia strażników. OB posiada bowiem rzadkie okazy roślin, a zdarzały się przypadki ich niszczenia. Otwarcie wejścia od strony Retkini spowodowało, że po raz pierwszy nie zniszczono w tym rejonie ogrodzenia.

— Rzecznik prasowy MPK — mgr Danuta Salamacha wyjaśnia:

1. Przystanki u zbiegu ulic Fabiańskiej i Stanisława Dubois będą uprzątane. Ze swoich obowiązków nie wywiązała się Młodzieżowa Spółdzielnia Pracy „PRYZMAT”, z którą umowa została zerwana.

2. Likwidacja linii „74” wynikała z małej frekwencji. Tabor tej linii przekazano do obsługi linii „83” czego dokonano po uzgodnieniu z władzami dzielnicy i komisji RRM. Linia „83” lepiej spełnia swoją rolę niż poprzednio linia „74”.

3. Sprawa przystanku na ul. Pojezierskiej przy ul. Grunwaldzkiej miejskiej terenowej i powinny ją rozstrzygnąć samorządy miejskie tego rejonu wspólnie z władzami dzielnicy Bałuty.

4. MPK nie posiada możliwości uruchomienia autobusów na linii „73 bis” w dni wolne od pracy. Linia „79 bis” przemianowana na linię „59” i na tej linii autobus kursuje w dni wolne od pracy. Autobusy tej linii stwarzają dobre połączenia między osiedlami Radogoszcz Wschód i Zachód.

— Zastępca dyrektora do spraw eksploatacji PGM Łódź Górna — mgr inż. Włodzisław Zajackowski informuje, że lokal nr 6 przy ul. Fabiańskiej 106 zajmuje Andrzej Olejnik — niebylewale uciążliwy lokator. PGM Łódź Górna posiada prawomocny wyrok sądu o ekamizacji z października 1988 roku, który przekazano do Wydziału Gospodarki Mieszkaniowej i Spraw Lokalowych UD Łódź Górna.

— SM „OSIEDLE MŁODYCH” wyjaśnia, że podane w „Dzienniku Łódzkim”, „Łódzkich Wiadomościach Dnia” i „Odgłosach” dane o zadłużeniu SM „Osiedle Młodych” w Elektrociepłowni Łódzkiej są nieprawdziwe. Dane te według zapisów posiadanych przez SM „Osiedle Młodych” na 13.10.1989, wynoszą dokładnie: 36 815 414, — złotych. Przy okazji SM „Osiedle Młodych” informuje, że obecnie nie posiada żadnych zaległości w zapłacie dla Elektrociepłowni, natomiast budżet miasta winien jest SM „Osiedle Młodych” 120 milionów złotych.

— Zastępca naczelnika dzielnicy Polesie mgr inż. Janina Tropińska informuje, że Beżna Zdanowska zajmująca lokal funkcjonalny przy ul. Adama Próchnika 54 — dla gospodarza domu — będzie ekamitowana z tego lokalu w 1990 roku. PGM Łódź-Polesie otrzymało niezbędne w tej sprawie polecenia.

— Naczelnik Urzędu Telekomunikacji Międzydzielowej, inż. Roman Suszycki wyjaśnia, że pracownik winny nietaktownego potraktowania Romana Lekkińskiego podczas zamawiania rozmowy do Izraela został ukarany zmniejszeniem premii, a przypadek ten omówiono z pracownikami centrali międzydzielowej.

— Zastępca dyrektora do spraw technicznych Wydziału Gospodarki Komunalnej UML — mgr inż. Bogdan Wójtkowiak poinformował „Odgłosy”, że prowadzi się prace porządkowe na cmentarzu komunalnym „Doty”. Uporządkowana będzie też mogiła ofiar hitleryzmu.

SPROSTOWANIE

W n-rze 4 brzydnki ehochicki drukarski wkradł się do mojej redakcji z koncertu na rzecz funduszu premiera Mazowieckiego. Oczywiście powinno być: na koncert ściągnęło wielu słuchaczy, nie zaś — ściągnięto.

J.J.

Runał o 6 rano, we wtorek 30 stycznia 1990 roku. 2,5-metrowy, trzytonowy, wykonany z brązu — dar leningradzkich robotników, dzieło Szwarcza Najstarszego i jak mówią znawcy problemu — najładniejszy pomnik Włodzimierza Lenina w Polsce.

Do Poronina wyruszą rano.

W podmiejskim, zatłoczonym autobusie mówił się tylko o przewróconym pomniku. Górale komentują to wydarzenie na wszelkie możliwe sposoby.

Przed budynkiem Muzeum w Poroninie zebrał się spory tłumek. Wszyscy chcą na własne oczy zobaczyć pusty, granitowy cokół.

Na bramie wejściowej prowadzącej do muzeum widnieje ogłoszenie. Dyrekcja Muzeum Lenina informuje, że na polecenie Wydziału Kultury i Sztuki w Nowym Sączu od 28.01. do 18.02. Muzeum jest nieczynne z powodu przeprowadzanej inwentaryzacji związanej ze zmianą funkcji obiektu.

Dyrektor muzeum Kazimierz Lichnowski jest rozgoryczony, wzburzony tym co się wydarzyło.

— Jestem przyparty do muru! Najpierw mieli pretensje, że pilnowałem, a teraz, że nie upilnowałem! — stwierdza. Na moje pytanie — co stanie się teraz z nim, dyrektorem placówki? — odpowiada:

— Mam nadzieję, że mnie nie rozstrzelają.

Budynki Muzeum Włodzimierza Lenina w Poroninie — to drewniana góralska chata w stylu zbliżonym do witkiewiczowskiego. Wybudowano go w 1901 r. Mieściła się w nim karczma i pokoje gościnne — własność Pawła Guta Mostowego. Dom sąsiadował z pocztą.

Czy rzeczywiście przebywał tu Lenin?

Jedni twierdzą, że owszem mieszkał w pensjonacie Guta i codziennie bywał na poroninckiej poczcie. Inni — a jest ich ostatnimi czasy coraz więcej — uważają, że Lenin nigdy tu nie był.

Powstanie muzeum w końcu lat 40. uważa należy niewątpliwie za sprawę polityczną. O tym, że ma ono być utworzone właśnie tu, w Poroninie zdecydował wpływowy oficer radziecki, któremu — mimo pewnych wątpliwości co do trafności miejsca — nikt nie śmiał się sprzeciwić. Nie było rady — odkupiono karczmę od Gutów Mostowych przydzielając im w ramach rekompensaty parcelę na Kośnych Hamrach. Stara poczta spłonęła. W latach 50. przywieziono z Leningradu ów nieszczęsny — jak się okazało — pomnik. Górale tak naprawdę nigdy go nie pokochali. Co najwyżej przyzwyczaili się, przywykli. Ale dziś są poruszeni.

Jak to się stało?

Dyrektora Kazimierza Lichnowskiego mieszkającego w pobliżu muzeum obudził o godzinie 6. potężny loskot. Sądził, że to wybuch, awaria w budynku socjalnym, w którym mieszka wraz z innymi pracownikami. O 7.10 przybiegli strażnik z wiadomością, że „zerwał Lenin”. Dyrektor natychmiast pobiegł na miej-

sce zdarzenia, gdzie zastał lebiódkę, linę, tańcuch L. przewróconego Wodza. O 7.30 zawiadomił milicję, poinformował o incydencie Wydział Kultury i Sztuki, oraz zwierzchników w Warszawie i Zakopanem.

W jaki sposób można przewrócić trzytonowy pomnik przy pomocy tak prymitywnych narzędzi, bez użycia dźwigu? Dyrektor Kazimierz Lichnowski zapewnia, że sprawcy nie mieli specjalnego problemu z „wyrwaniem” pomnika. On autentycznie nadawał się do

Galica. — 4 czerwca, w dniu wyborów wspólne zasiadliśmy przy jednym stole Komisji Wyborczej — on, przedstawiciel PZPR, ja — „Solidarności”. Tego dnia poznaliśmy się bliżej, aż w końcu zrozumieliśmy się i zaprzyjaźniliśmy. Już wtedy poruszaliśmy kwestię dalszego funkcjonowania muzeum. Wkrótce przekonałem się, że dyrektor popiera potrzebę ewolucyjnego przekształcenia tej placówki. Zaakceptował projekt utworzenia ogródka jordanowskiego na terenie należącym do muzeum.

— Można było temu incydentowi zapobiec — mówi J. Kasprus. — Pomnik trzeba było zdjąć. Nie należało czekać. My z księdzem proboszczem czuliśmy już od dawna co się tu może wydarzyć. Strącenie pomnika to wi- na wojewody!

30 stycznia w Urzędzie Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzkańskiej odbyło się spotkanie przedstawicieli Komitetów Obywatelskich „Solidarności” z Zakopanego i Poronina.

W spotkaniu wzięli również udział wojewoda nowosądecki J.A. Wiktor, przedstawiciele WRN, postowie W Skalski, S. Zurowski, senator K. Pawłowski, dyr. Gabinetu Ministra A. Halla — B. Komorowski. Zebrani uzgodnili zmianę przeznaczenia znacznej części obiektów Muzeum Lenina, gdzie zostanie utworzony Ośrodek Kultury oraz muzeum o charakterze regionalnym, w ramach którego będą eksponowane dotychczasowe zbiory. Zebrani zgodnie stwierdzili, że dewastacja pomnika jest przykrym i politycznie szkodliwym incydentem. Głos serca dyktuje usunięcie pomnika, ale należało to zrobić dyplomatycznie, w odpowiednim czasie. Pomnik Lenina w Poroninie jest naprawdę ważny — jego sprawę poruszano nawet w czasie wizyty premiera w Moskwie.

W zebraniu wzięli udział również dyrektor Kazimierz Lichnowski i Andrzej Galica. Dyrektor wytrwał do końca, natomiast Andrzej Galica został zmuszony do opuszczenia Urzędu Miasta. Czuję się pokrzywdzony.

— Nie sądzę, że nie będzie tam dla mnie miejsca. Liczba uczestników zebrania nie była przezeń ograniczona, nie było oficjalnych zaproszeń.

— Andrzej Galica to kumpel, agent dyrektora muzeum. Obaj próbują rozbić plany KO. Jest członkiem KO, a działa przeciwko nam! — stwierdza Józef Kasprus.

Wiceprzewodniczący KO „Solidarność” w Poroninie St. Dawidek przyjmuje mnie na ganek swojej willi. Wyraźnie boi się dyktafonu.

— KO w Poroninie odcina się od tego incydentu — stwierdza. — Nie, nie ubolewamy, że pomnik już nie ma.

Twierdzi, że aby ze mną porozmawiać, musiałby zwołać zebranie KO. Przepraszam, ale właśnie obiad mu stygnie...

Ksiądz proboszcz Jan Łasut również unika rozmowy.

— Zdam duchownego w tej sprawie niczego nowego nie wniesie — przekonuje mnie jeden z księży parafii w Poroninie — ks. Wiesław Wolski.

— Nie wie pani, że księża nie powinni zajmować się polityką?

I ksiądz proboszcz się nią nie zajmuje.

W Poroninie trudno nie politykować. Mówi się nawet, że są tu dwie „Solidarności”, jedna Kasprusa, druga Galicy. Obie nieoficjalne, których członkami są jedynie sympatycy jednego czy drugiego polityka. Wszyscy z niecierpliwością czekają na wybory.

Pomnik runął 30 stycznia 1990 roku, o godzinie 6.

Niespokojnie w małej wsi Poronin

MARZENA MRÓZ

konserwacji. Jest nawet orzeczenie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w tej sprawie. W muzeum zatrudniano 25 osób, w tym 6 wartowników straży przemysłowej i 9 junaków OC. Pomnik był pilnie strzeżony. W budynku administracyjnym straszą jeszcze do dziś drzwi opatrzone tabliczką: „Wartownia, wstęp uzbrojony”.

Jak to się stało, że 30 stycznia 1990 r. o 6 rano strażnik i junacy nikogo nie widzieli i nic nie słyszeli?

— Trudno się im dziwić, gdyby było twardszeli byliby przeciwko sobie cały Poronin. — stwierdza dyrektor.

Poronin to mała wieś, ale wiele się tu dzieje.

Dobrego i złego.

— Za dużo tu polityków — mówią starzy górale.

— To przez nich „runął” pomnik. I zamiast „kto to zrobił?” warto się zastanowić: „kto mu to kazal zrobić?”

Kazimierz Lichnowski to postać niewątpliwie kontrowersyjna. Już choćby dlatego, że jest dyrektorem Muzeum Lenina. Jest, czy był? Na razie on sam jeszcze tego nie wie, jednoznaczna decyzja w tej sprawie nie zapada. Dyrektorem w Poroninie został przed dwoma laty i jak to określa — „przez przypadek”.

— Przede wszystkim jestem harcerzem — stwierdza. — Nigdy nie pełniłem żadnych funkcji partyjnych, a nawet straciłem rok studiów za udział w wydarzeniach marcowych w 1968 roku.

Studiował na AGH, teraz uzupełnia jeszcze swoje wykształcenie — w zakresie muzealnictwa.

— Przez półtora roku krzywo patrzyłem na dyrektora — mówi członek Komitetu Obywatelskiego w Poroninie i Zakopanem Andrzej

Mogę powiedzieć, że dyrektor absolutnie nie utrudniał sprawy nam, „Solidarności”.

— Ale Kazimierz Lichnowski ma w Poroninie wrogów. Są nimi wszyscy ci niecierpliwci, którzy za wszelką cenę i jak najszybciej chcą doprowadzić do likwidacji Muzeum Lenina.

— To kasinioki (obcy) — określa ich Andrzej Galica. — Przyklejeni do KO w Poroninie. To ci, którzy dopiero teraz włączyli się do działalności społecznej i politycznej — dla własnych ambicji jedynie. Zrobili z dyrektora wroga, a on działał przecież w naszym kierunku. Jak władze się do niego ustosunkują? On bronil placówki jako dobra materialnego, po gospodarstwu, uczciwie. Wykończył stych — piękne salki z przeznaczeniem do nauki języków obcych. Ale i to było źle. Zaraz wykrzyknął mi, że szykuje tam mieszkanie dla siebie. Nikt już nie pamięta, że to Lichnowski zlikwidował w muzeum straż z bronią, zredukował do minimum liczbę wartowników. Nikomu nie był potrzebny pomnik i muzeum, ale demontaż trzeba było przeprowadzić w sposób rozsądny i logiczny. Wypowiadałem się na ten temat na zebraniu KO w Poroninie, kilka dni przed tym incydentem. Nie chciałem tu Nowej Huty. Wiedziałem, że nasz pomnik chociaż mniejszy, może narobić więcej szumu. Dyrektor muzeum chciał przekształcić obiekt i zlikwidować pomnik bez rozgłosu.

Sprawą pomnika żywo interesuje się proboszcz parafii poroninckiej ksiądz Jan Łasut. Jest on zwoleńnikiem szybkich, radykalnych posunięć. Jak mnie poinformował przewodniczący KO w Poroninie Józef Kasprus — proboszcz wynegocjował u wojewody nowosądeckiego zgodę na demontaż pomnika w sobotę, 27 stycznia. Przygotowano już nawet dźwig. Jednak wieczorem wojewoda zmienił zdanie. Ksiądz proboszcz został telefonicznie poinformowany o zmianie decyzji. Nie ruszał pomnika!

OGŁOSZENIA DROBNE

- expressowe (z dnia na dzień)
- przyspieszone (3 dni oczekiwania)
- zwykłe (do 3 tygodni oczekiwania)

OGŁOSZENIA RAMKOWE

- reklamy
- komunikaty
- przetargi

Na życzenie klienta wykonujemy opracowania graficzne do trzech dzienników:

- GŁOSU PORANNEGO
- DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO
- EXPRESSU ILUSTROWANEGO

oraz do tygodników:

- ODGŁOŚY
- ŻYCIE PABIANIC
- TYGODNIK PIOTRKOWSKI
- NAD WARTĄ
- WIADOMOŚCI SKIBIENIOWICKIE

i do miesięcznika

● TV-SAT MAGAZYN

BIURO PODROŻY I TURYSTYKI ZNP „LOGOSTOUR” w tożdy proponuje:

- Rejsy po Morzu Egejskim na trasie Odessa - Pireus - Kreta - Kusadosi - Stambuł - Odessa w terminie: 1-10 04 90 i 10-19 04 90. Cena od 2,8 do 3,3 mln. zł.
- Wczasy lecznicze w Międzynarodowym Domu Naukowca w Drużbie w Bułgarii
- Wycieczki na Zamek Królewski w Warszawie i Panorama Racławicka we Wrocławiu

Czekamy w naszym Biurze
ŁÓDŹ ul. PIOTRKOWSKA 137 tel. 36-21-12

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

AKCJE „Drewbudu” — sprzedam 36-65-16. 4533-g

„MISIA” sprzedam. Zgierz, Robotnicza 2. Cena konkurencyjna. 4420-g

VIDEO — sprzedam 48-73-93. 4460-p

DZIANINĘ bawełnianą — pały — sprzedajemy. Zgierz Chelmy, Zagajnikowa 7. 4458-g

NAUKA-PRACA

CHAŁUPNICTWO — przyjmę. 43-35-58. 4559-g

MEDYCZNE

APO — Pielęgniarstwo dyżury, opieka, masaż, rehabilitacja. 86-89-89. 3809-g

USŁUGI

BIELENIE, barwienie ciemniolowe (elano-bawełna, poliester, wełna) Edward Antczak, Zgierz-Proboszczewice, Relaksowa 1. 4103-g

POGOTOWIE elektryczne „Blysk” 26-38-34 po 18. 8970-g

SUPERWYCISZANIE, zabezpieczanie drzwi, 87-42-20. 2516-g

„ELDA” — porady prawne, zakładanie spółek, joint-ventures. Łódź, Lampego 3 tel. 55-88-92 (10-18). 3007-g

ZE SLAJDOW — zdjęcia wykonuje: MIG Rycel, Łódź, Wojska Polskiego 120, tel. 87-40-87. 2715-g

RÓŻNE

UNIEWAŻNIAM skradzioną pieczęć: „MODUS” spółka z o.o., Łódź, Ogrodowa 28”. 4272-g

UNIEWAŻNIAM pieczęć: „I z-ca Prezesa ds. Techniczno-Produkcyjnych mgr inż. Wiesław Bobowski”. 4259-g

ZGUBY

ZAGUBIONO pieczęć „O-CHEMAKOR” — Zakład Usługowo-Projektowy spółka z o.o., 94-223 Łódź, Partyzantów 34 87-64-14. 4260-g

ANNA Gruzeli zgubiła leg. studencką 65152/S UŁ. 4145-g

JACEK Andrys zgubił leg. studencką 12583/56118/S UŁ. 3990-g

ZGINEŁA pieczęć „Agent Urszula Sobkiewicz, sklep 722, Łódź”. 4004-g

RYSZARD Cieślak zgubił leg. studencką 56032 PŁ. 3761-g

GRZEGORZ Wasilewicz zgubił legitymację studencką 59067/S UŁ. 16249-g

ZGUBIONO zaświadczenie nr 3024 na nazwisko Małgorzata Kacprzak. 4691-g

MAGDALENA Marczevska zgubiła indeks 66476 UŁ. 4689-g

ZAGINEŁA pieczęć „Życie Toreb Gospod., Sportowych Kraw. Lekkie Damskie i Męskie Wytwarzanie Galanterii Maciej Dyrala Łódź, ul. Tomaszewicza 6 m. 30”. 4693-g

Biuro Ogłoszeń

ŁÓDZKIEGO WYDAWNICTWA PRAWOWEGO

Zapraszamy do naszych punktów przyjęć:

- Piotrkowska 96, tel. 36-49-70,
- Sienkiewicza 3/5, tel. 32-59-11.

Przyjmujemy również zlecenia do wszystkich tytułów RSW na terenie kraju.

UWAGA!
nie pobieramy opłat za pośrednictwo

ZAPRASZAMY!

Spółka Państwowa
* „BUDREMEX” *
O F E R U J E:

- ▶ glazurę,
- ▶ grzejniki żeliwne,
- ▶ tarcicę iglastą,
- ▶ prodlitę, odzież importowaną

Atrakcyjne ceny!!!

ZAPRASZAMY na ulicę Piotrkowską 67 I piętro, tel. 36-21-90, 37-19-80.

od środy do środy PROGRAM TV

ŚRODA 7.II.1990 r.

PROGRAM I

- 9.00 Dt - wiad.
- 9.10 Domowe przedszkole
- 9.35 Teleferie TDC
- 10.15 Kino Teleferit: „Zakochany świat Disneya” - film anim.
- 10.45 „Czarne wałki” - chiński film fab.
- 16.20 Program dnia - Telegazeta
- 16.25 TELE - TO - Wielki plebiscyt na najlepszy program dla dzieci
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Gry wojenne
- 17.55 Telew. Inform. Wydawn.
- 18.15 Dawniej niż wczoraj
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Plus - minus
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „Dziecinne pytania” - polski film fab. reż. Janusz Zaorski
- 21.50 Sport
- 22.00 Program publ.
- 22.30 Dt - Echa dnia
- 22.45 Doron Mazar - recital
- 23.20 J. angielski

PROGRAM II

- 16.55 J. francuski
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Magazyn „102”
- 19.00 „Pokój niżej” - odc. ang. ser.
- 19.30 Publicystyka kulturalna
- 20.00 Czarne na białym - przegląd PKF
- 20.40 Przegląd muzyczny (5)
- 21.00 Ze wszystkich stron „Dzwonili im kajdany” - rep. z Syberii
- 21.30 Panorama Dnia
- 21.45 „Wyznania hochszaplara Feliksa Krulla”

- Pięćodcinkowy serial prod. RFN, zrealizowany w 1982 r. na podstawie znanej powieści Tomasa Manna.
- 22.50 Telewizja nocą
 - 23.35 Komentarz dnia

CZWARTEK 8.II.1990 r.

PROGRAM I

- 9.00 Dt - wiad.
- 9.10 Domowe przedszkole
- 9.35 Teleferie TDC
- 10.15 Kino Teleferit: „Zakochany świat Disneya” - film anim.
- 10.45 „Policjanci z Miami” - odc. ser. kryminal.
- 16.20 Program dnia - Telegazeta
- 16.25 TELE - TO - Wielki plebiscyt na najlepszy film animowany dla dzieci
- 17.30 Z mikroskopem i lancetem
- 17.55 „Poza rok 2000” - austral. ser. dok.
- 18.25 Magazyn katolicki
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Interpelacje (1)
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „Policjanci z Miami” - odc. ameryk. ser. kryminal. pt. „Blues przemytnika”
- 20.55 Interpelacje (2)
- 21.35 Sport
- 21.45 Pegaz
- 22.30 Dt - Echa dnia
- 22.50 J. angielski

PROGRAM II

- 16.55 J. rosyjski
 - 17.25 Program dnia
 - 17.30 Psychostudio
 - 18.00 Program lokalny
 - 18.30 Program na życzenie
 - 19.30 Zielone Kino: „Ekologia owadów” - czech. film przyrodn.
 - 20.00 Program publ.
 - 20.30 Studio sport
 - 21.15 Ekspres reporterów
 - 21.30 Panorama Dnia
 - 21.45 Studio Teatrálne Dwójki: Woody Allen - „Bóg”
- Akcja toczy się w nowojorskim teatrze, gdzie odbywają się próby sztuki wymyślonego, nie istniejącego greckiego dramaturga. Zderzenie starożytnych idei z mentalnością przeciętnej Amerykanki daje wielopiętrową satyrę o wymowie jak zwykle u Allena - nie zawsze jednoznacznie potencjalnej. Autor przedstawił w Wojciech Biedron, spolszczył realia, a głównym tematem uczynił krytykę stanu polskiej tv.
- 22.40 Studio sport
 - 23.10 Komentarz dnia

PIĄTEK 9.II.1990 r.

PROGRAM I

- 9.00 Dt - wiad.
- 9.10 Domowe przedszkole
- 9.35 Teleferie TDC
- 10.15 Kino Teleferit: „Zakochany świat Disneya” - odc. film anim.
- 10.45 „Słynne historie zbrojeckie” - odc. czech. ser.
- 16.20 Program dnia - Telegazeta
- 16.25 TELE - TO - Plebiscyt na najlepszy serial fab. dla dzieci
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Raport
- 18.00 „Tryptyk biecki” - odc. 1 filmu dok. pt. „Witold”

18.25 Rzeczpospolita samorządna

- 18.45 Weekend w Jedynce
 - 19.00 Dobranoc
 - 19.10 Teraz - tyg. gospod.
 - 19.30 Wiadomości
 - 20.05 Akademia filmowa: „Anna Karenina” - ameryk. film fab.
- W połowie lat dwudziestych po raz drugi sięgnięto po „Kareninę”, angażując do tytułowej roli Gretę Garbo. W 1935 r. ponownie zaplanowano jej rolę Anny z powieści Tolstoj’a i tę udźwiękowioną wersję zobaczymy w cyklu Akademii Filmowej. Boskiej Grecie partneruje w filmie stanny Fredric March.

PROGRAM II

- 21.45 Sport
 - 21.55 Program publ.
 - 22.25 Dt - Echa dnia
 - 22.30 Otwarte studio
 - 17.25 Program dnia
 - 17.30 Wzrockowa Lista Przebojów Marka Niedzwieckiego
 - 18.00 Program lokalny
 - 18.30 O czym się mówi?
 - 18.50 Program rozrywk.
 - 19.30 Dookoła świata: Północą na Daleki Wschód
 - 19.30 Tele-dziwiątka
 - 20.50 Antyczny świat prof. Krawczuka
 - 21.30 Panorama Dnia
 - 21.45 „Antonio Veneziano” - włoski film fab.
- Pełen wrzuszającego ciepła film o miłości, zrealizowany w mało-wicznych plenerach Wenecji.
- 23.10 Komentarz dnia

SOBOTA 10.II.1990 r.

PROGRAM I

- 8.00 Tydzień na działce
 - 8.20 Na zdrowie
 - 8.55 Program dnia
 - 9.00 Kino Teleferit: „20 tys. mil podmorskiej żeglugi” - ameryk. film fab.
 - 11.05 Dt - wiad.
 - 11.15 „Azjatycka mozaika” - odc. 2 filmu dok.
 - 11.45 Bellona
 - 12.15 Laboratorium: Ruch - życie
 - 12.45 Telew. Teatr Prozy: Erskine Caldwell - „Jenny”
 - 14.30 Życie - mag. ekol.
 - 15.00 Polityka, politycy
 - 15.30 Filmy o miłości: „Nie kochana” - polski film fab. reż. J. Nafeter
 - 16.45 Flesz - mag.
 - 17.15 Teleexpress
 - 17.30 Telewizyjna Giełda Piosenki - Premie i premiery
 - 18.30 Butik
 - 19.00 Dobranoc
 - 19.10 Z kamera wśród zwierząt
 - 19.30 Wiadomości
 - 20.05 „Dawno temu na Dzikim Zachodzie” - włosko-ameryk. film fab.
- Ten spaghetti-western opowiada o prehistorii Ameryki, walce farmerów na Dzikim Zachodzie z budowniczymi linii kolejowej, która miała przebiegać przez żyzne ziemie uprawne. Znakomite kreacje Henry’ego Fondy, Jasona Robarda Jr., Charlesa Bronsona i Claudii Cardinale.

- 22.40 Sport
- 23.00 Tydzień w polityce
- 23.10 Goście Festiwalu Karbshann
- 23.45 Telegazeta
- 23.50 Kino sensacji: „Niebezpieczne zabawy” - ang. film fab.

PROGRAM II

- 13.30 Czas akademicki - Katolicki Nurt Stowarzyszeń Akademickich
- 14.00 W świecie ciszy
- 14.25 „3 + 10 - 15” - program dla dzieci i młodzieży
- 15.55 Małe kino: „Złota, srebrna, brązowa” - film dok.
- 16.25 Studio sport
- 17.05 Program dnia
- 17.10 Ballada o drodze
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Program rozrywk.
- 19.30 Alfa i Omega
- 20.00 Nie tylko muzyka: Ideal sięgnął bruku - Rzec o Powstaniu Styczniowym
- 21.05 Muzyka i polityka - Szczypanie Kiepur
- 21.30 Panorama Dnia
- 21.45 Program rozrywk.
- 22.40 „Znowu w Brideshead” - odc. 6 ang. ser.
- 23.35 Komentarz dnia

NIEDZIELA 11.II.1990 r.

PROGRAM I

- 7.00 Witamy o siódmej
- 7.30 Notowania
- 7.55 Tydzień
- 8.55 Program dnia
- 9.00 Kino Teleferit: „Rikki Tikki Tavi” - film fab.
- 10.30 Dt - wiad.
- 10.35 „Rybolów” - ang. film przyrodn.
- 11.25 Kraj za miastem
- 11.55 Koncert żywcem
- 12.40 Teatr dla dzieci: „Przedziwna opowieść o Staryjce i Placy-dzie”
- 13.35 Sportowa niedziela

- 14.15 Świat umykający
- 14.45 Pieprz i wanilia: „Z wiatrem przez świat - Tam gdzie rośnie eukaliptus”
- 15.55 „Panna dziedziczka” - odc. brazyl. ser.
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Antena
- 17.50 Muzyczna telewizja
- 18.40 Morze - mag.
- 19.00 Wieczorynka
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 „Dekalog, dziesięć” - ostatni odc. filmu reż. K. Kiesłowski
- 21.10 7 dni - świat
- 21.40 Sport
- 22.20 Filmy Józefa Blachowicza

PROGRAM II

- 9.40 Przegląd tygodnia
- 10.15 „Dekalog, dziesięć” - ostatni odc. filmu reż. K. Kiesłowski
- 11.15 Peryskop
- 11.45 Jutro poniedziałek
- 12.15 Powitanie
- 12.20 Polska Kronika Filmowa
- 12.30 100 pytań do...
- 13.10 Maciej Niesiołowski - Z białą i z humorem
- 13.25 „Polacy” - film dok.
- 14.15 Kino familijne: „Bajarz” - odc. 7 ser. pt. „Zolnierz i śmierć”
- 14.40 Program rozrywk.
- 15.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Biblia a historia” - odc. 4 ser.
- 15.50 Nad Niemnem, Piną i Pryncipia: Nowogródek
- 16.10 „Burgess o D. H. Lawrence” - ang. film dok.
- 17.10 Studio sport
- 17.30 Blizy świata
- 17.50 Wywiady Ireny Dziedzie
- 19.30 Galeria Dwójki
- 20.00 Studio sport
- 21.00 Jaka telewizja? - progr. rozrywk.
- 21.30 Panorama Dnia
- 21.45 Jaka telewizja? - progr. rozrywk.
- 22.15 „Czas obojętności” - włoski film fab.
- 23.45 Komentarz dnia
- 23.50 Akademia wiersza

PONIEDZIAŁEK 12.II.1990 r.

PROGRAM I

- 16.20 Program dnia - Telegazeta
- 16.25 LUZ - program dla nastolatków
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Gorące linie
- 17.55 Wądrowki dalekie i bliskie: „W stronę Prousta” - belg. film dok.
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 W Sejmie i w Senacie
- 19.30 Wiadomości
- 20.05 Teatr TV: Gabriela Zapolska - „Ich czworo”
- 21.35 Sport
- 21.45 Kontrapunkt
- 22.15 Echa dnia
- 22.30 XXXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Jazzowej - Jazz Jamboree '89
- 23.15 J. francuski

PROGRAM II

- 16.55 J. angielski
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
- 17.45 Ojczyzna - polszczyzna
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Zmagania o Polskę: „Jasna przyszłość” - ang. film dok.
- 18.40 Życie muzyczne
- 20.00 Auto-Moto Fan Klub
- 20.40 Studio Hi-Fi
- 21.30 Panorama Dnia
- 21.45 „Heimat” - ser. obycz. prod. RFN
- 22.45 Komentarz dnia

WTOREK 13.II.1990 r.

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Dt - wiad.
- 9.25 „Kir Royal - z życia reporterów kroniki towarzyskiej” - odc. 3 ser. RFN
- 16.20 Program dnia - Telegazeta
- 16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
- 16.50 Kino Tik-Taka: „Opowieści byczka” - odc. ser. anim.
- 17.15 Teleexpress
- 17.30 Spożycia
- 17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
- 18.15 Business
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Od A do Z
- 19.30 Wiadomości
- 20.15 „Kir Royal - z życia reporterów kroniki towarzyskiej” - odc. 3 ser. RFN pt. „A plebs nie wie, jak się żyć”
- 21.15 Sport
- 21.25 Zawsze po 11.
- 22.05 Kinomania
- 22.45 Echa dnia

PROGRAM II

- 16.55 J. angielski
- 17.25 Program dnia
- 17.30 Klub ludzi z przeszłością
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Modlitwa wieczorna
- 18.50 Program publ.
- 19.30 Kolorowy zawrót głowy - mag.
- 20.00 Non Stop Koior: „Koncert T'Pau” - film ang.
- 21.00 W kregu sztuki: „Wielcy fotograficy - Jeannot Sieff”
- 21.30 Panorama Dnia
- 21.45 Studio im. K. Rzykowskiego: „Koniec” - polski film fab. reż. Bogusław Linda
- 22.30 Komentarz dnia

lewym okiem

Dajcie fajkę

Na pytanie: czy jesteś pesymistą - odpowiada dziś każdy: - nie, jestem realista. „Realista” to brzmi ładniej niż „pesymista”, chociaż oznacza to samo. Do optymizmu przynajmniej się jeszcze uczniowie szkół średnich, śmieją się przy tym do mikrofonu podtykanego im przez ulicznego reportera - i to jest prawidłowo. Osoby w trzecim wieku już są bezapelacyjnie nastawione realistycznie, a gdy kończy się wiek trzeci, a zaczyna czwarty - realizm przechodzi w ataraksję. Jest to postawa najbardziej godna mędrca jak twierdził starożytny filozofowie. Ataraksja czyli spokojna, choć jeszcze pełna zainteresowania światem, obojętność na toczące się obok wydarzenia. Obojętność czy raczej stoicki spokój, to wszystko przecież już w takiej czy podobnej otoczce było, były wielkie burze, zapasły i katastrofy. W obliczu spraw wiecznych wszystkie one tracą na wymiarze i na ostrości swych kantów. Co robi mędrzec w stadium ataraksji? Często siada i formuluje złote myśli. Nie zawsze są one złote, czasem tylko ciekawość pozłacane, ale czasami bywają dopowiedziane. A oto ślady, jakie pozostawiły na papierze chwile mojej niepoważnej nad światem zadumy:

O mój rozmarynie, rozwijaj się, skoro nic innego u nas rozwijać się nie chce.

Szumiały jodły na gór szczyt - ja też bym poszumiał, ale za co?

Ja w tej izbie spać nie mogę skarzył się urzędnik, siedząc przy biurku.

Był sobie dziad i baba, bardzo starzy oboje, więc ich emerytury też były z bardzo starego portfela.

Jeśli nie chcesz mojej zguby krokodyla kup mi luby - tylko pośpiesz się, bo zdrożeje.

Podkówekczki dajcie ognia, bo zapalaki nie chcą.

Brodę ich długie, kręcone wasiska, znowu zabrakło kremu do golenia.

Poloneza czas zacząć, kiedy się z Malucha wyrosło.

Dajcie fajkę, precz te płacze

Fajka mniej szkodzi (jak powiada „Przekrój” w każdym od kilkudziesięciu lat).

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

nagłe zastępstwo

Political fiction

Obserwując uważnie co się w kraju ostatnio dzieje można, stosując metodę lustrzanego odbicia (już gdzieś niedawno stosowaną), napisać scenariusz filmu science fiction o wydarzeniach, które mogłyby zdarzyć się w pierwszych latach XXI wieku. Spróbujmy puścić wodze fantazji - dla niektórych będzie to również niespełniony sen...

Wyobraźmy sobie, że w wyniku poważnej recesji, dekonstrukcji światowej itd. itp. wybory do Sejmu i Senatu wygrywa nowa partia lewicy - socjalistyczna. Wprawdzie nie ma w parlamencie bezwzględnej większości, ale przylączają się do niej PSL „Odrodzenie” i Stronnictwo Demokratyczne. Ten nowy alians pozbawia siły OKP, rozbite zresztą na chadeków, endeków, prawicowych socjalistów, zielonych itp.

Nowa koalicja zaczyna -

oczywiście - od dwóch podstawowych ustaw: o reformie rolnej i nacjonalizacji przemysłu. Niejako pochodną tych ustaw jest zażarta dyskusja nad nacjonalizacją majątku partii politycznych, organizacji społecznych i innych instytucji „starego reżymu”. Koalicję parlamentarną wspomagają w tej dyskusji zrewoltowane grupy młodzieży, zwłaszcza najbardziej wojownicze Socjalistyczne Zrzeszenie Studentów. Nie czekając na sejmowe rozstrzygnięcia studenteria zajmuje gmach kurii biskupiej, żądając oddania go na potrzeby Wicelozowego Uniwersytetu Luksenburgizmu i Trockizmu. Biskup i jego współpracownicy przenoszą się do seminarium duchownego.

Były wicepremier Leszek Balcerowicz staje przed Trybunałem Stanu. Jednocześnie pojawiają się nowe postacie na politycznej scenie: wraca z emigracji Mieczysław F. Rakowski, z podziemia wychodzą Albin Siwak i Stefan Olszowski. Szefem Komitetu ds. RTV zostaje Waldemar Krajewski, który obiecuje, że nie przeprowadzi żadnej czystki wśród dziennikarzy. Na zastępców wyznacza Irene Falską i Tadeusza Samitowskiego. Prezydent Alfred Miodowicz dostaje mnóstwo depesz gratulacyjnych, zwłaszcza z krajów zaprzyjaźnionych: Chin, Korei Północnej, Wietnamu i Albanii. Pierwszą wizytę zagraniczną składa w Kampuczy, rządzonej od niedawna przez Czerwonych Khmerów.

Do kilku krajów kapitalistycznych wybiera się minister spraw zagranicznych, Jerzy Urban. Nowy rząd, kierowany przez generała Mirosława Hermaszewskiego zapowiada daleko idące reformy. Premier otrzymuje listy od funkcjonariuszy Policji Państwowej, którzy masowo wstępują do partii i deklarują lojalność. Związek zawodowy policjantów ulega rozwiązaniu.

Sejm, któremu marszałkiem rolnik indywidualny z PSL „Odrodzenie” zatwierdza odebranie Orłowi Białemu Korony i innych dodatkowych atrybutów. Nad głową Orła umieszcza się czerwoną gwiazdę. Wzruszeni senatorowie, po zatwierdzeniu tej ustawy odpiewują „Czerwony Sztandar”.

Kapitałści zachodni likwidują swoje interesy w Polsce. Wzrastają niepokoje społeczne - w stoczni imienia Romana Dmowskiego w Gdańsku wybuchają strajki, kierowany przez Lecha Wałęsę. Michał Walczak donosi z Paryża, że francuskie związki zawodowe z SGT nie popierają polskich stoczniowców.

W całym kraju trwa akcja likwidacji pomników Józefa Piłsudskiego i innych patronów duchowych poprzedniego reżymu. Zmienia się nazwy ulic. W Warszawie pojawia się aleja Władysława Gomułki i pasaż Romana Zambrowskiego. W Katowicach nawet ulica Edwarda Gierka i skwer Andrzeja Zabińskiego.

Nowy rząd ma kłopoty. Głównie finansowa. Powstaje fundusz na rzecz paroparcia premiera. Trwa akcja „Artyści dla Ludowej”. Bohdan Poręba kręci film „Człowiek z betonu”. Aktorka Ewa Ziętek ogłasza w dzienniku telewizyjnym koniec kapitalizmu w Polsce.

Kolejki po darmowe zakupi rosła. Wicepremier Jacek Kuron apeluje do społeczeństwa o pomoc dla najsłabszych...

ANDRZEJ KAROL

Tuś mnie bratku zaskoczył

Cholera - pomyślałem sobie. - Za wierzchnie okrycie już nic nie zarobię.

Pozostało liczyć tylko na herbatę i toaletę. Ale i tu się zawiodłem. Znajomy bowiem wniósł do pokoju dużą torbę i po chwili, gdy zapytałem czy napiłby się herbaty, on spokojnie wyciągnął z owej torby termos.

- Nie fatyguj się - powiedział. - Jestem dzisiaj samowystarczalny.

I nie uwierzycie, zanurzył rękę ponownie w torbis i wyjął... nocnik.

- Tuś mnie bratku zaskoczył - powiedziałem i wlepiałem smutny wzrok w dodatkowy rachunek za gaz i elektryczność.

W ten sposób upadł mój oszczędnościowy plan gospodarczy.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

— Pić „Black and White” w oddzielnych szklankach.

A jaki jest szczyt polskiej tolerancji? Jestem przekonany, że nikt nie wie. W Polsce nie ma bowiem tolerancji, pytanie jest więc bez sensu. Aha, to wcale nie jest dowcip.

Jesteśmy bardzo sentymentalni, lubimy powoływać się na historię i kiedyś na pewno można było mówić o tolerancji. Słynęliśmy z niej ponoć w całej Europie, ale to było bardzo dawno temu i teraz nikt już tego nie pamięta. Chyba więc tolerancji, podobnie jak demokracji, trzeba zacząć się uczyć od początku. I muszę powiedzieć, że jesteśmy wyjątkowo pojętnymi ludźmi, a postępy już są widoczne. Na przykład ostatnio w Krakowie grupa młodych ludzi sterroryzowała i zdemolowała centrum miasta i nikt ich za to nie potępił, siły porządkowe nie interweniowały, a nawet zdziwilem się nieco, że jeszcze bardziej otwarcie nie zostali pochwaleni w „Wiadomościach”. To się nazywa zrozumieć młode, gorące głowy! I to właśnie jest tolerancja.

Jak tak dalej pójdzie, to szybko osiągniemy także szczyt wolności, o którym marzyli w pierwszych swoich manifestach surrealiści. Otóż, twierdził on, iż największą wolność zapanuje wtedy, kiedy każdy będzie mógł wyjść na ulicę z pistoletem i strzelać do tiumu. Niemniej, wolałbym nie być w o-wym tłumie i sądzę, że nie tylko ja. Na razie pocieszający jest fakt, że u nas ciągle trudno dostać broń palną i musi zastępować ją kamień a przed nim jest zawsze większa szansa ucieczki.

Zostawmy jednak z boku sprawy związane z tolerancją i wolnością, bo one na szczęście rozwijają się same, a przejdźmy do drugiego wesołego tematu, jakim jest nasza wspaniała zaradność, mimo trudnej sytuacji w gospodarce. Uczono nas tego przez całe lata i dlatego jesteśmy w tej dziedzinie naprawdę dobrymi specjalistami. Kiedy w jednym z ostatnich felietonów ogłosiłem swój domowy plan gospodarczy (przypomnę tylko, że postanowiłem od gości odwiedzających moje mieszkanie pobierać opłaty właściwie za wszystko, to znaczy za pozostawienie płaszcza, ubikację, herbatę i nawet oglądanie telewizji), nie spodziewałem się, że ktoś wymyśli sposób, by obejść wszystkie te restrykcje. Opowiem po kolei jak było.

Otóż, któregoś dnia siedząc sobie wieczorem w domu, pijąc herbatę i wpatrując się w dodatkowy rachunek za gaz i elektryczność, na którym widnieją jakaś obiedna suma równa prawie połowie moich poborów. I nagle z tej egzystencjalnej zadumy wyrwywa mnie dzwonek do drzwi. Biegne szybko, licząc w skrytości ducha, że to jakiś gość, z którego będzie można gedrzeć przynajmniej dwa tysiące - dobre i to na początek... I rzeczywiście, w drzwiach stoi jeden z moich znajomych. Ale już od samego początku zaniepokoił mnie lekko fakt, że człowiek ten nie miał na sobie kurtki, mimo że na zewnątrz duszno wcale nie było. Wszedł, przywitaliśmy się bardzo serdecznie.

— Cholera - pomyślałem sobie. - Za wierzchnie okrycie już nic nie zarobię.

Pozostało liczyć tylko na herbatę i toaletę. Ale i tu się zawiodłem. Znajomy bowiem wniósł do pokoju dużą torbę i po chwili, gdy zapytałem czy napiłby się herbaty, on spokojnie wyciągnął z owej torby termos.

— Nie fatyguj się - powiedział. - Jestem dzisiaj samowystarczalny.

I nie uwierzycie, zanurzył rękę ponownie w torbis i wyjął... nocnik.

— Tuś mnie bratku zaskoczył - powiedziałem i wlepiałem smutny wzrok w dodatkowy rachunek za gaz i elektryczność.

W ten sposób upadł mój oszczędnościowy plan gospodarczy.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

— Czy to gra sztabowa?
 — Trafieś. Nie tak nie rozwija. Jak wojenne gry. Analiza, synteza, decyzja. Całe kierownictwo czy tylko część?
 — Sześć nigdy nie wali wprost, uświadamia sobie Gajdacz, zawsze woli rykoszet. Więc nie o mnie tu chodzi.
 — Ja bym dał ludziom auta — odparł totem równie figlarnym. — Polityczne decyzje to oni — wskazał na współbiedniaków.
 — Kogo ty byś rozstrzelał? — zwrócił się Naczelny do Rajskiego.
 — Nikogo. Nigdy nie kończy się na jednej egzekucji. Lud wymusza następne.
 — Albo sam wódz odkrywa, że to najskuteczniejsze — powiedział Marat. — Strach i radość.
 — Czyja radość? — zapytał Gorban, palając banany w czekoladzie.
 — Radość tłumy — wyjaśnił Marat. — Nie tak nie cieszy, jak salwy plutonów egzekucyjnych. Tłum popada w ekstazę na widok krwi swoich wrogów. Zarazem każda jednostka drży, by nie zostać uznana za wroga. Związują się z nią nie zna kryteriów ani mechanizmu selekcji. Historia potwierdza skuteczność tej metody, wszyscy wielcy ją stosowali, od biblijnych królów poczynając, a kończąc na...
 — Dokończ — zachęcił Naczelny.
 — Tego się nie da dokończyć — odparł Lucjan Marat i spojrział na Ikar. — Wielkie nazwiska w historii to niemal bez wyjątku despoty. Ludzie o żelaznym charakterze i bez skrępowań, dla których liczył się tylko Bóg i historia. Tłum ich wieleb.
 — A dlaczego? — zapytał Ikar, patrząc spodzie ła prosto w oczy Maratowi.
 — Bo w braku skrępowań jest pierwiastek boskości — odparł profesor. — Słaby wątpli, lęka się, szuka uzasadnień, odwołuje do greków, żeby mieć podpórki. Mocny jest sam, jak Pan Bóg. Kto zaś czuje się Panem Bogiem, ten nim jest.
 Naczelny zmarszczył się, nie lubił bluźnierstw. To w nim zostało w lat chłopięcych. Zgodnie ze swym światopoglądem uważał, że Boga nie ma. Gdyby jednak był, wybaczy mu ów pogląd w swym nieskończonym miłosierdziu.
 — Czy nie przesadziłeś? — zapytał.
 — Jest nim we własnych odczuciach i w odczuciach tłumy — powiedział Lucjan Marat. — Tu obiektywne parametry nie istnieją. Wódz wszechwładny to był ten, kto każdemu mógł odebrać życie. Nawet własnemu synowi, jak Iwan Groźny. Więc każdy, kto żył, czuł się wyróżniony, opromieniony łaską bożą. Dlatego despotów kochano, a demokracje są bezimienne.
 — Dziś to nie przejdzie — mruknął Gajdacz. — Lud się wycwaniał.
 — Nie podobnego — zareplikował profesor, popijając kawę ze śmietanką. — Daleko nam do sytości, a lud, zlakniony, chce cudu. Sprawiedliwość społeczna wyklucza cud, każe wszystkim ciągnąć pod górę krok po kroczku. A teraz wyobraźcie sobie demagoga, który zakrzyknie: „Zwróćcie Odeon!”
 — Gdzie to? — zapytał Gorban.
 — Nieważne. Opozycja pod ścianę, kilka pokazowych procesów, zdrajcy biją się w pierś. Ultimatum wobec sąsiadów, którzy nam psują rzeki i powietrze. Portrety wodza w szamrowanym mundurze. Modlitwa do niego przed wyjazdem przed rozpoczęciem lekcji. Batożenie parlamentu, rozpędzenie stronnictw. Publiczne piętnowanie bumelantów. Pochody ze śpiewem. I już nie trzeba myśleć, zastanawiać się, wybierać. Donos drogą do kariery...
 — To akurat... — przerwał mu Gajdacz i nie dokończył.
 — Co akurat? — zapytał pogodnie Naczelny.
 — Nie akurat, tak mi się chlapięło.
 — On bierze na siebie i gwarantuje — ciągnął Marat. — W zamian za ekshibicjonistyczną miłość i bezwarunkowe posłuszeństwo. Kto nie tęskni, żeby go odciążyć? Kto w najgłębszej głębi nie czuje się dzieckiem, spragnionym surowego ojca? Jednostka, moi drodzy, jest słabutka, wystraszona i bezradna. Boi się ciemności, niespodzianek, złych mocy, walki o byt i śmierci na końcu. Bóg daleko. Rozumieli to już faraonowie, nadając sobie boskość.
 — Teoretyk z ciebie — zauważył Naczelny.
 — Chciałbyś tak powodzić na boską modłę, co, Lucek? — odezwał się znad serdek Gajdacz, spokojny już, bo znalazł się poza.
 — Nie mam charyzmy — odparł krótko Marat.
 — Mit — mruknął Ikar. — Każdy może mieć. Byłoby twardy, szedł jak taran i grzmiał na wiecach.
 Naczelny popatrzył na Gorbana. Skinął sobie niedostrzegalnie.
 — Był miał twardą rękę i nie był wypalony w środku?
 — Tak jest, szefie — przytaknął Ikar.
 Naczelny podniósł się za stołu, był to znak że śniadanie skończono. Dziewczęta podały wilgotne, parujące serwetki z lnu do wytarcia twarzy i rąk. Gorban poszedł za szefem na górę. Kiedy znalazł się w gabinecie, Naczelny opadł w swój ulubiony głęboki fotel i z dołu w górę popatrzył na sekretarza.
 — Co ty na to? — zapytał.
 — Sprawa jasna — odparł krótko Emil.
 — Ikar?
 — Na pewno.
 Naczelny ogarnęła czułość. Jego syn, zabity przez hitlerowców jako zakładnik, byłby dziś w wieku Emila. Jedyny syn, oczko w głowie Leopoldii. Tylko własnemu dziecku mógł Naczelny ufać bez granic Zapewne. Im starszy robi się człowiek, tym głębiej i smutniej pojmuje, że nie wolno oddawać się w niczyje ręce. Są lepkie, pazerne, śliskie albo słabe. Z biegiem lat rozrasta się samotność oklebiając wszystko mgłą, pięścią i chłodem. Jak w grobowcu. Ucieczką z tego grobowca, namiastką uczuciowych związków z ludźmi, bliskości innym jest posiadanie władzy. Dlatego starcy tak kurczowo trzymają się stanowisk. Dlatego są tak przebiegli, podstępni i bezlitośni walczą o życie. Naczelny nie czuł się stary, ale żył dostatecznie długo, by wiedzieć, że gdyby zrezygnował, zostanie sam. Jedni odwrócić się demonstracyjnie, cisną kamieniem lub spłuną, inni umkną cichcem niekiedy w zawstyżeniu. Emil Gorban opuścił go chyba ostatni. Przedtem był musiał przetrwać publiczne zarzuty pod adresem szefa, przypomniać sobie różne małe żale czy upokorzenia — jak! podwładny nie zazna tego? — roz-

dmuchał je, uznał w końcu, że to nie on się odwraca, lecz szef. Młody Rafał przeżył to podobnie, jako asystent i ulubieniec dawnego przywódcy. Szczerze bolał nad upadkiem szefa, choć ów upadek otworzył drogę Jemu. Trzeba bardzo chcieć władzy, aby ją zdobyć. Aby bardzo chcieć, trzeba oglądać ją z bliska, na co dzień. Zobaczyć prawo na kolanach, umizgi i płaszczenie się sławnych, kaprysy zmieniające się w rozkaz, uwielbienie wokół fikcyjnej godności, pokorę, służalczość. Zobaczyć młodzieńców, gotowych na śmierć za władzę. Zobaczyć teoretyków, którzy uzasadniają naukowo każdą tezę władzy. Zobaczyć wreszcie swój własny pomnik, muzeum, ulicę, miasto.
 Władza jest wszystkim, daje wszystko. Tak to widział, asystując szefowi. Nie widział jego bezsilności i osamotnienia, ale tego władza nie pokazuje nikomu. On Gorbanowi również.
 — Nie nie jest pewne — powiedział do Emila głosem lekko ochryplym, starając się ukryć wzruszenie. — Strzeż się, chłopcze. Boga ci pamiętać, że traktowałem cię jak ojciec. Ikar nie powinien być przytaknął, kiedy go zacytowałem, powinien był się zmieszać choć odrobina. Ta twardą ręką może być równie dobrze Marat.
 — Profesor historii nie nadaje się do tego

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (10)



Rys. Janusz Szymanski-Glanc

— powiedział Gorban. — Wie, że jest bez sensu. Jemu wystarczy znajdować się blisko was i świecić odbitym blaskiem.
 — Nie doceniasz profesorów historii.
 — A jeśli to był głos Barda? — odezwał się nagle sekretarz marszcząc rzadkie wyplwiałe brwi.
 Zaległa cisza. Naczelny bawił się przyciskiem do papieru, kryształową piramidą z wtopionym w nią posążkiem. Obracał ją w palcach, ważył w dłoni, ugniatał.
 — Skąd ci to przyszło do głowy? — zapytał po pauzie.
 — Ikar i Bard mają głosy podobne — powiedział Gorban. — Dźwięczna barytony z leciutką chrypką.
 — Prawda — zgodził się szef. — Czy Marat wspominał coś o Bardzie?
 — O nikim. Ikar nie wymienił także. Puścił mi tylko taśmę i zaraz ją skasował. Ja sam uznałem, że poznaję Ikar.
 — Marat potwierdził.
 — Nie. To miał być tylko dowód, że są nastroje przeciwko wam. Ze niektórym wydaje się...
 — Mają rację — przerwał mu raptem Naczelny. — Jestem wypalony w środku.
 — Szef?
 — Nigdy tego nie zauważyłeś? — szef zamiał się cicho, jakby do środka. — Nie potrafię sprawować rządów twardą ręką. Inaczej: jestem temu przeciwny. Czy jestem przeciwny, bo nie potrafię? Kto wie. To zresztą nie ma znaczenia. Uważam, że umęczonym pokoleniom nie wolno znowu nakładać kagańca. Trzeba szukać innych rozwiązań. Szukam ich i znajduję; tylko ja, niestety, mogę temu podać. Zaden z nich.
 — Zaden z nich — potwierdził Emil Gorban.
 — Ani z nimi, Emilu. Ich już nie ma.
 Sekretarz poczuł wpięki na policzkach. Naczelny zwrócił mu oto epokowy sekret. Gdyby puścił parę...
 Nie puścił. Naczelny wie, że może polegać na Emilu Gorbanie.
 „Mają rację, jestem wypalony w środku. Szef?”
 Nigdy tego nie zauważyłeś? Nie potrafię sprawować rządów twardą ręką. Inaczej: jestem temu przeciwny. Czy jestem przeciwny, bo nie potrafię? Kto wie. To zresztą nie ma znaczenia. Uważam, że umęczonym pokoleniom nie wolno znowu nakładać kagańca, trzeba szukać innych rozwiązań, szukam ich i znajduję. Tylko ja, niestety, mogę temu podać. Zaden z nich.
 Zaden z nich.
 Ani z nimi, Emilu. Ich już nie ma.”
 Major zatrzymał magnetofon, cofnął taśmę i przelistał raz jeszcze końcowy fragment

rozmowy. Potem zamknął kasety w stalowym pojemniku, zaplombował, nakleił numer z datą i schował do szafy pancernej. Teraz dopiero, po wykonaniu rutynowych czynności, mógł uporządkować balagan myśli. Nad balaganem urosił się niepokój. Domniwał. Major miał dość doświadczenia, aby odróżnić rozmowę sondażową od wyznań. Szef nie podpuszczał swego sekretarza. To była spowiedź.
 Major musiał zdecydować, czy powiadomi Centralę. Tajna instrukcja nakazywała, żeby informacje ważne kablować natychmiast. Nie precyzowała, co to jest ważna informacja. Major mógł więc, a nawet musiał, decydować samodzielnie, czy nasiłuch, prowadzony dla bezpieczeństwa osób chronionych, ma wartość szczególną.
 Uznał, że nie. Plany Naczelnego, dotyczące metody kierowania oraz intencji personalnych, nie miały wpływu na jego bezpieczeństwo. Przełożony Majora z Centrali nie przedstawił tego poglądu, ale tam dmuchają na zimne. Po raz pierwszy od bardzo dawna Major pomyślał o Naczelnym, jak o kimś bliskim. Przypomniał sobie sytuacje bojowe, dwa ocalenia, które zabrał z siebie dowódcy. Teraz ma okazję się zrewanżować.
 Dlaczego rewanz? A dlatego, że posłuszni!

Major połączył się z posterunkiem przy bramie:
 — Liga, tu Lagos, daj Larwę.
 — Larwa zgłasza się.
 — Co u was?
 — Wiosna.
 — Na pewno wiosna? — zapytał z naciskiem Major.
 — Ścisłej mówiąc, przedwiosnie, ale nie takiego, norma.
 Major włączył dwa monitory i uzyskał obraz panoramiczny przestrzni przed bramą. Przestrzeń była wypełniona ludźmi.
 — Larwa, tu Lagos. Co ja w takim razie widzę na monitorach?
 — Spacerowiczów. Ładna pogoda, słoneczko świeci...
 — Larwa, co ty pieprzysz?
 Kłedy łazik Majora zarył kołami przy bramie, tłum rzeczywiście spacerował. Pamięć trzymała panów pod rękę, wachlowały się transparentami na kijkach. Transparenty protestowały przeciwko zbrodniom ekologicznym, były podpisane KOZO. Major wysiadł z wozu, nikt nie zwracał na niego uwagi. Przespercerował się lustrując grupy i grupki, bez trudu odróżnił miejscowych od przyjezdnych. Przyjezdnych tym razem było zdecydowanie więcej, może setka. W głębi, pod wierzbą, oparte o pień stały transparenty jeszcze nie używane. Dopominały się swobód, praw, związków i partii oraz zlikwidowania cenzury. „UWOLNIC DYSYDENTÓW!” — głosił czerwony napis na białym tle.
 — Siedzą jacyś? — zapytał Major kruczowłosą dziewczynę w dżinsach, która podniosła transparent, bo się obsunął.
 — Nie. Ale nie czują się wolni.
 Major zawrócił w gąszczu tłumy, wspiął się na omszały głaz.
 — Proszę państwa! — zawołał. — To jest teren zamknięty! Widzicie tablicę przy moście? Przypominam: „Terytorium wojskowe, wstęp surowo wzbroniony!”
 — Nauczyciście nas czytać i pisać — naprzeciw Majora stanął pierwszy brodac, o bok czuwał drugi, gotów przyjąć mu w sukurs.
 — Dajcie nam ziemię, chleb i lekarstwa. Ale co dalej? Jeśli nie wiecie, odejdźcie.
 — To wy odejdźcie — zareplikował Major.
 — Tutaj wstęp jest wzbroniony. Nie zmuszajcie nas do użycia siły.
 — Ani wy nas — powiedział głośno drugi brodac. — Niech tu przyjdzie Naczelny!
 — Nie przyjdzie.
 — To pożałuje. Została mu godzina.
 Major wykrzywił się drwiąco i zszedł z kamienia, kończąc w ten sposób dialog. Nim wrócił za bramę i wydał rozkaz usunięcia, przeszedł się jeszcze raz wśród zgromadzonych i wtedy w gąszczu krzewów zauważył ukryty transparent z inskrypcją: „TO WY JĄ ZABILISCIĘ!”
 Zza bramy wyszła tyraliera zielonych mundurów. Major nie czekał na dalszy bieg wydarzeń. Za dwadzieścia minut zaczynało się polowanie.
 Rem zebrał ludzi. Wszyscy byli przetestowani, sprawdzeni, aż po kuzynów i stryjów. Nikt z ich bliskich nie walczył z władzą, wielu w trudnych chwilach walczyło po jej stronie. Przeszli pojedynczo korytarzykiem aparatury rentgenowskiej, jednego wyłowili oficer:
 — Pozwólcie, Co tam macie?
 — Piszczalkę, panie — odpowiedział łysawy w szarym drellichu i gumniakach.
 — Z metalu?
 — Odpustową taką, blaszana, panie. Hałas robi większy niż trajkotka.
 — Wyjmijcie, tylko powoli. Dajcie tutaj.
 Dwóch cywilnych obejrzało srebrnożółtą piszczałkę. Opukali, popatrzyli pod światło i zwrócili łysawemu. Rem zarządził zbórkę nagonki już za ostatnim posterunkiem, na skrajku młodniaka, od którego mieli popędzić dziłki. Rozdał gregle, trzeszczoty, dudy, bębniaki.
 — Ruszycie na mój sygnał. Najpierw puszczać dużego dzika, popędzą go Rudak z Szymonem, ku Jajowatej.
 — Ku Jajowej, znaczy się? — zapytał Rudak.
 Owalna polana miała dwie nazwy, Jajowa była dawniejsza.
 — Ku Jajowej — potwierdził Rem. — Byłoby nie za ostro. Naczelny ma strzelać.
 — A gadali, że go tu nie ma — powiedział Szymon, ów łysawy w drellichu.
 — Bo nie ma — odparł leśniczy. — Dla tych, co gadali, i dla tych, co go wywołują. Władza wie, dla kogo być a dla kogo nie być.
 — Zgadza się — poparł Rudak. — Mówił ci coś Major o cencie?
 — Dostaniecie cement.
 — Wróżył czy pocieszasz?
 — Widzę worki z cementem przy pogorzeliisku — uciął Rem. — Za blisko do Jajowatej nie podchodzić. Żeby postrzału nie było.
 — Nawet za lekki postrzał wypiacają wielkie odszkodowanie — odezwał się stary Zientara. — Wartoby nadstawić tyłka, he...
 — Pewność skąd, że będzie lekki? — zapytał Szymon. — Pamiętam, dwóch naczelnych temu Czarnal nadstawił zadek na śrutu, a jemu jaja odstrzelił. Niby rentę dostał, ale renta za jaja to nie interes, jak chłop młody.
 W kieszeni Rema brzęknął radiotelefon:
 — Liga, tu Lagos, Rem?
 — Rem — odpowiedział Majorowi Rem.
 — Gotowi?
 — Mhm.
 — Prowadź podmioty ku Nabiałowej. Za kilka sześć minut zajmą stanowiska.
 — Za jakie kilka? — zapytał bezradnie leśniczy.
 — Tak się mówi. Rem, puść dużego o dziesiątej czterdzięci siedem. Reszta dopiero po strzale jak ci dam znać.
 Radiotelefon umilkł. Swój aparat Major schował w kieszeń na pierś, by w razie czego odebrać natychmiast. Posłał swojego człowieka w okolice bramy, rozkazał wnieść się w tłum. Wartom przestał wierzyć. Zachowywały się tak, jakby im polecono wyłaczyć Majora z obiegu informacji albo nakazano zmniejszoną czujność. Możliwe? Jeśli istnieje zwiększona, a przecież istnieje, musi w okolicznościach specjalnych istnieć jej przeciwnieństwo.
 C.D.N.